

STUDENT

Walczy o dobro
Socjalistycznej
Ojczyzny

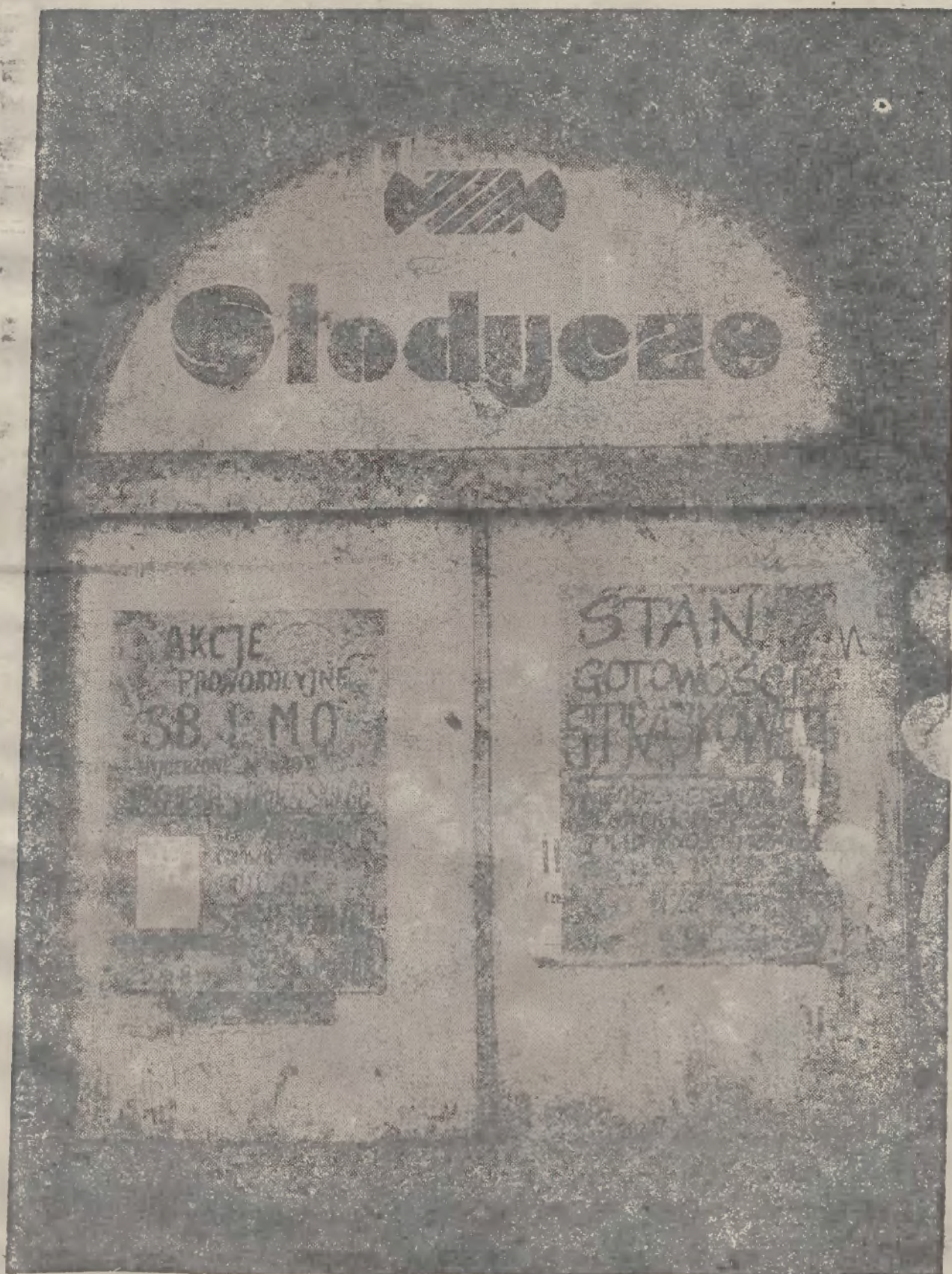
DWUTYGODNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

kraków

NR 26 (313) 17 XII — 6 I 1982

JAK NAJMNIJ TAKICH SŁODYCZY W CZASIE NADCHODZĄCYCH ŚWIĄT
ORAZ W NOWYM 1982 ROKU ŻYCZY WSZYSTKIM „STUDENT”

J. DUTKOWSKI —
ZAPIS GRUDNIA
70 ● P. LEGUTKO
— Z NOTATNIKA
STRAJKUJĄCYCH
STUDENTÓW
● ROZMOWA ZE
STANISŁAWEM
STROMMĄ
● D. KRZYWICKA
— NA STALINOW-
SKĄ NUTĘ
● LESZEK A.
MOCZULSKI —
WIERSZE ZWYKŁE
● STEFAN
ZEROMSKI — PO
56. LATACH
PUBLIKOWANY
ZA
WYDAWNICTWEM
ABC.



Gdyby jakiś czytelnik czasopism społeczno-kulturalnych i literackich brał na serio to, co od roku drukuje się na ich łamach, miałby do wyboru albo uwierzyć w wielkość literatury polskiej, albo ostatecznie zważyć w jej istnienie. Przywrócono prawo obywatelstwa całemu pokoleniu, pojawiły się teksty do niedawna prawie niedostępne i jakaś możliwość rozmowy z nimi, w aurze sakry wkroczył Miłosz (dawniej: „autor Ocalenia”), tymczasem prócz pożytecznych rewindykacji i też pożytecznych, ale niemilosiernie akademickich dywagacji, żadnej prawie nowej myśli, nowego spojrzenia, zmian hierarchii, rozmowy. Jedno z dwojga albo literatura polska i jej świadomość jest tak potężna, że bez przeszkód wchłonąć może Miłosza, Wata, Herlinga-Grudzińskiego, Hostowca (a każdy z nich, wprowadzony do powszechnego obiegu, zawiera potężny materiał wybuchowy), a nadto to jeszcze, co zdarzyło się w Sierpniu, przed i po Sierpniu, albo jest tak słaba, że ani jej to pomoże, ani zaszkodzi. Coraz oczywistsze jest, że i literatury nie omija kryzys. Całe szczęście, że przynajmniej tu można liczyć na wsad dewizowy. Rewindykacji wystarczy jeszcze na długo.

BIERNIK POSTULATYWNY

TADEUSZ KOMENDANT

Dlaczego tak trudno dziś, w ostatnich miesiącach 1981 r., uprawiać literaturę, dlaczego tak trudno pisać o literaturze? Najprostsza odpowiedź brzmi: literatura nie rozwija się w próżni, jest aranżacją słów w przestrzeni praktyk społecznych. Niemce jej wskazywają, że owy teatr mowy jest cichy. W istocie, można czuć wręcz, że wszystko, co teraz w nim obserwujemy, jest pośmiertnym triumfem nowomowy. Jedną z jej konstrukcji — biernik postulatyczny — stała się nagle wszechwładna. Parę lat temu wolano o „dalszy dynamiczny rozwój”, o „systematyczne pogłębianie”; dziś coraz częściej wystarcza samo „o” — raz groźnie buńczuczne, innym razem natłumione, coraz częściej po prostu przerażone...

Jak to się stało, że tak szybko, w ciągu jednego roku przeszliśmy od świata wywołanych słów do stanu absolutnej niemocy słowa — biernika postulatycznego? Odpowiedź na to pytanie jest nakażeniem chwili — bo żeby podejmować jakąkolwiek działalność znaczącą, trzeba znać prawa, jakie rządzą imperium znaków; odpowiedź na to pytanie pozwoliłoby też odsłonić to, co ma być przedmiotem tych rozważań: martwe pole polskiej kultury.

Prawda, długo, jeszcze można zachować się „Człowiekiem z żelaza”. Zawieszać kolejny bukiet wierszy na stołowej brannie. Mówić wszystko, to znaczy prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Myśleć ha-

Wspomina ANNA WALENTYNOWICZ:

— W sobotę była zapowiadana podwyżka cen przez Gomulkę, w niedzielę wszystkie sklepy pracowały w związku z przeceną artykułów. U nas na Wybrzeżu panowała jakaś taka grobowa cisza zapowiadająca wielką burzę. Niewiele ludzie ze sobą rozmawiali, chodzili z opuszczonymi głowami — tak odczułam tę niedzielę.

NIEDZIELA — 13 GRUDNIA

Wieczorem radio i telewizja przekazały Uchwałę Rady Ministrów z posiedzenia w dniu 12 grudnia 1970 roku w sprawie cen detalicznych.

JAROSŁAW DUTKOWSKI

DRODZY CZYTELNICY

Numer ten — grubszy, bo 20-stronicowy dzięki „zapasom” uzyskanym w czasie wakacji, kiedy to „Student” ukazywał się co 3 tygodnie — jest już ostatnim w bieżącym roku. Następny ukaze się dopiero na początku 1982 — drukowany 5 stycznia.

Od nowego roku ukazywać się będziemy w innym, trochę większym formacie (takim, jak obecnie „Literatura”), co choć częściowo rekompensuje zmniejszoną objętość naszych łamów. Nadal jednakże jedynie co dwa tygodnie; nadal też w obojętnym, zbyt niskim — o czym świadczą liczne listy i telefony do redakcji — nakładzie. Przepraszając naszych Czytelników za kłopoty z nabywaniem „Studenta” możemy, niestety, raz jeszcze stwierdzić, iż nie mamy na to żadnego wpływu. Tak więc do spotkania ze „Studentem” w przyszłym roku.

REDAKCJA

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

CIĄG DALSZY NA STR. 12

KOMU POLACY UFAJĄ? Oto jak rozkładały się odsetki osób deklarujących swe zaufanie w badaniach OBOPSP w maju 1981 (cyt. za „Ekran” nr 48): Kościół Katolicki — 94, NSZZ „Solidarność” — 90, Wojsko — 89, Sejm — 82, Rada Państwa — 73, Rząd — 69. Najwyższa Izba Kontroli — 69, Prokuratura — 60, Sąd — 59, Branzowe Związki Zawodowe — 56, Stronnictwo Demokratyczne — 53, Front Jedności Narodu — 50, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe — 46, Milicja Obywatelska — 42, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza — 32. Jak wyglądałyby te proporcje dzisiaj?!

SYTUACJA ZNÓW NAPIĘTA w kraju. 28 XI zakończył się VI plenum KC PZPR. Oto fragment uchwały — *Komitet Centralny uznaje za konieczne wyposażenie rządu PRL w pełnomocnictwa niezbędne do skutecznego przedstawiania się destrukcyjnym akcjom niszczącym kraj i jego gospodarkę, zagrożającym socjalistycznemu państwu, porządkowi i bezpieczeństwu publicznemu. W związku z tym KC zobowiązuje Klub Poselski PZPR do wystąpienia z inicjatywą natychmiastowego wdrożenia postępowania w sprawie projektu ustawy „o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa”. KC PZPR potwierdza niezłomną wolę kontynuowania procesu socjalistycznej odnowy i używa wszystkich patriotów stojących na gruncie konstytucyjnych zasad ustrojowych PRL do mobilizacji sił w ramach Frontu Porozumienia Narodowego dla przezwyciężenia kryzysu wspólnymi siłami klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji — siłami całego narodu.*

3 XII obradujące w Radomiu Prezydium KK NSZZ „Solidarność” poszerzone o szefów regionów przyjmuje oświadczenie, w którym stwierdza się m. in.: — *Wydarzenia ostatnich tygodni są świadectwem, że rząd wybrał drogę przemocy, a odrzucił możliwość dialogu ze społeczeństwem. (...) Zapowiadane przez władze partyjno-państwowe wprowadzenie tzw. środków nadzwyczajnych oznacza próbę likwidacji praw obywatelskich i pracowniczych wywalczonej w 1980 r. W tej sytuacji Prezydium KK stwierdza, że władze przekreśliły obecnie szanse porozumienia narodowego. Wobec groźby uchwalenia przez Sejm środków nadzwyczajnych, równających się w praktyce stanowi wyjątkowemu, Prezydium*

KK postanowiło na posiedzeniu w Radomiu (...) rozpatrzyć sprawę strajku powszechnego jako odpowiedź Związku na wypadek wprowadzenia tych środków. Przypomnijmy tu, iż w polskim ustawodawstwie nie ma pojęcia „stanu wyjątkowego”; jest „stan wojenny” — i takie też słowa padną w trakcie spotkania w ZM „Ursus” ze S. Olszowskim, który określi wprowadzenie tego stanu jako ostateczność.

7 XII — prasa przynosi Oświadczenie rzecznika prasowego rządu: ostre sformułowania oskarżają władze naczelne „Solidarności” o słamanie Porozumień z ub. roku i własnego statutu. Tego samego dnia radio i tv nadają, wielokrotnie powtarzane, fragmenty ze spotkania „Solidarności” w Radomiu. Wynika z nich, iż związek pragnie konfrontacji, że chce przejąć władzę. Nadawanym fragmentom towarzyszą jednoznaczne komentarze. „TL” drukując te fragmenty daje im tytuł „Szczerość, która musi przetrwać”. „Echo Krakowa” do tego tytułu doda „...czy kompilacja dyskusji”. Wszak trwała ona paręnaście godzin. Kto wynosił taśmy, kto przekazał je naszym publikatorom? J. Sadecki z „Gazety Krakowskiej” w swej relacji z Radomia informował, iż na salę nie wpuszczony został żaden dziennikarz, iż prowadzona jest ścisła selekcja uczestników, iż uczestnicy obrad chcą dyskutować bez obecności kogokolwiek z zewnątrz. Przewodniczący „Małopolski” powie jedynie dziennikarzowi „Krakowskiej” w przerwie: — *Głosy są zbyt rozstrzelone, aby można było już formułować jakieś stanowisko.* 8 XII w tym samym dzienniku mówi wiceprzewodniczący KK — S. Wądołowski: — *...doprawdy nie wiem, jak radio i tv otrzymały tę taśmę...? Posiedzenie miało charakter zamknięty i nie brał w nim udziału nikt postronny. W każdym razie nagrania prezentowane słuchaczom i telewizjom nie są pełne. (...) Powstał w efekcie taki schematyczny i tendencyjny skrót. (...) My żadnego pociągnięcia w stronę konfrontacji nie zrobimy. Nam ją można tylko narzucić. Jak? Po prostu lekceważąc społeczeństwo. Bo my przecież społeczeństwo reprezentujemy. (...) Ale są też warunki, od których nie możemy odstąpić. Dla nas nie będzie do przyjęcia ustawa o związkach zawodowych wykluczająca pracowników cywilnych MON i MSW. Albo inna sprawa — ta proponowana przez VI Plenum KC ustawa o środkach nadzwyczajnych... A swoją drogą nasuwa się tu refleksja: „Solidarność” dobija się o dostęp do środków masowego przekazu — czy jednak taki, jak owe taśmy? Czy znów musiało dojść do atmosfery zastraszania i niepewności w społeczeństwie? Czy*

nie można było — jeżeli już — prezydentować tych taśm z komentarzem „na gorąco” władz Związku?!

WARUNKIEM WSTĘPNYM POROZUMIENIA jest nieobecność krzyku, straszenia i gróźb. Wie o tym każdy, kto ma za sobą doświadczenie chociażby jednej sprzeczki rodzinnej. Dziwnie zatem, że zapominają o tym ludzie, którym wydaje się, że są politykami. (...) Ważne jest przy tym, aby partner mógł uwierzyć w szczerą intencję proponującego porozumienie. (...) Największymi wrogami porozumienia są ci, którzy nie stosują zasady fair play. — J. Kalabiński, szef stołecznego SDP w „Muzycie i aktualnościach”.

W PÓŁ GODZINY ODDZIAŁY ZOMO zdobyły niebroniony budynek WOSP. Zamiast mediacji — desant — ten tytuł, znów z „Echa Krakowa”, najlepiej chyba oddaje to, co zaszło 2 XII w Warszawie. Czyż potrzebne były aż porządkowe siły z hełmami, tarczami i wyrzutnikami gazów łzawiących? Czyż potrzebne metalowe zapory, helikoptery? Co miało wykazać ta demonstracja siły? Jak to się stało, że jeszcze przed decyzją Prezydium rządu o rozwiązaniu WOSP, komendant główny SP ogłosił nabór do nowej szkoły oficerów pożarnictwa? Dlaczego wmiawiano opinii publicznej, iż podchorążowie chcieli odcierania uczelni od MSW, skoro oni pragnęli jedynie utrzymania status quo, a więc podwójnej podległości? (Dyskutowany w Sejmie projekt ustawy o szkolnictwie wyższym wyłącza te uczelnie zupełnie z resortu MNSWiT).

W UCZELNIACH NADAŁ STRAJKI. Pisze o nich obok — tu więc jedynie opinia Senatu Politechniki Krakowskiej, który podtrzymując swe wcześniejsze stanowisko postuluje dodatkowo odsunięcie prof. Hebdy od kandydowania na stanowisko rektora jako osoby naruszającej godność nauczyciela akademickiego nie tylko poprzednią swą działalnością, ale i obecnym zachowaniem. Cóż, nie każdego stać na decyzje ala K. Waldheim. Ile jeszcze misji i komisji rozbije się o upór jednego człowieka?

WŁADZE CSRS zdecydowały, iż prywatnie będziemy mogli do tego kraju jeździć jedynie posiadając zaproszenie potwierdzone przez kompetentne organy CSRS. Wprowadzono też dalsze ograniczenia w wywozie towarów z tego kraju, a także rozszerzono na tranzytowy ruch osobowy obowiązujące dotąd zakazy wywozu z CSRS towarów i artykułów żywnościowych. Tak więc po ZSRR, NRD i nasz południowy sąsiad zamknął wstęp Polakom do swego kraju. Pozostaje świadomość, że jesteśmy otoczeni przyjaciółmi. Poczyszczająca?

NICZYM BUMERANG powraca sprawa Komitetu Rady Ministrów ds. Młodzieży, z którym opowiada się od czasu swego zjazdu ZSMP, a przeciw czemu — naszym zdaniem słusznie — opowiadają się ZHP, ZSZP, i ZMW. Mówi w „TL” szef ZMW W. Swirgo: — *Powoływanie komitetów, ministerstw czy rad do każdej trudnej, dotychczas nie załatwionej sprawy jest starą manierą biurokratyczną. Są to rozwiązania pozorne, odwracające uwagę od istoty rzeczy, tworzące problemy zastępcze, angażujące ludzi w spory nieistotne. (...) Sprawy młodzieży nie można rozpatrywać w oderwaniu od ich środowiska, klas robotniczych. (...) Nie pozwolimy tym sprawom sztucznie poszatkować, bo nie da się załatwić spraw młodego rolnika nie załatwiając spraw rolnika starego.* Mówi A. Ornat — nacelnik ZHP: — *...rząd powinien myśleć o problemach młodzieży globalnie, o nie wydzielać części ministrów do załatwiania jej spraw. ZSMP jest jednak uparte: i tak od miesięcy zamiast rozwiązywać problemy młodego pokolenia toczy spór o ministerialne gabinety!*

ZJAZD NZS, zapowiadany na grudzień, z powodu strajków w uczelniach został przesunięty na inny termin.

BYŁY PREZES SP „Grunwald” Z. Ciesiołkiewicz za działalność niezgodną ze statutem tej organizacji został z niej wydalony. Czyżby coś z pochodzeniem nie tak?

STRAJK SKIEROWANY DO ŚW. MIKOŁAJA! W jednej ze szkół podstawowych w Przemysku 16 uczniów najstarszych klas weszło na dach, po czym ogłosili żądanie... mikołajowych prezentów. Wobec nieskuteczności rozmów interweniowali rodzice. Oddziały ZOMO nie były potrzebne.

NA KONIEC O SOBIE. Reporter „GK” odwiedził oddział PUPiK RSW w krakowskiej dzielnicy Krowodrza, by przekonać się, jakie tytuły prasy się sprzedaje, a jakie nie znajdują nabywców. Z dzienników słabo sprzedaje się „Żołnierz Wolności” (1/4 zwrotów), z kolei np. zwroty dzienników państw socjalistycznych są zwykle równe dostawie. Z tygodników najmniej chętnych znajdują „Płomień”, „Życie Literackie”, „Rzeczywistość”. Najlepiej sprzedają się „Polityka”, „Tygodnik Solidarności”, „STUDENT” i „Tygodnik Powszechny”. Cieszyłby nas ten fakt jeszcze bardziej, gdyby tak dysponent papieru (może wreszcie w ramach samodzielności finansowej) wyciągnął z tego wnioski i zwiększył nakład „STUDENTA” zgodnie z oczekiwaniami naszych Czytelników. Bo inaczej, to i jaki sens tej statystyki?! INFORMACJE, TE DEDYKUJEMY WRAZ Z ŻYCZENIAMI MŁODZIEŻOWEJ AGENCJI WYDAWNICZEJ!

POROZUMIENIE CZY FASADA?

Aby się porozumieć, trzeba w pierwszej mierze wyznaczyć sobie w miarę wyczerpująco i bez niedomówień, na czym polega istota nieporozumienia. Tymczasem coraz częściej zaobserwować można, iż pod pretekstem budowania odpowiednio sprzyjającej atmosfery dla porozumienia narodowego zamazywana bywa istota samego sporu bądź też sprowadzana do zupełnie powierzchownych objawów.

Utrzymujący się nadal posierpniowy konflikt polityczny nie przebiega więc w pierwszym rzędzie, jak to od pewnego czasu sugerują oficjalne środki przekazu, pomiędzy przywódcami związkowymi a rządem, pomiędzy miastem a wsią, inteligencją a klasą robotniczą, pomiędzy młodą a starszą generacją, prawdziwymi i mniej prawdziwymi Polakami, czy wreszcie pomiędzy członkami

partii a bezpartyjną większością społeczeństwa. Konflikt ten przebiega nadal głównie pomiędzy przedsierniowymi strukturami władzy, a więc spuścizną po stalinowskim centralizmie politycznym, a społeczeństwem aspirującym do swej podmiotowości. Jego przedmiotem nie jest, jak głosi oficjalna propaganda, sprawa przejęcia władzy a tylko złamanie jej monopolu. Pozostałe konflikto- towe podziały w społeczeństwie mają w obecnej chwili drugorzędne znaczenie i mogą znaleźć rozwiązanie tylko w przypadku rozstrzygnięcia tego generalnego nieporozumienia.

Mimo więc upływu ponad półtora roku od sierpniowego przełomu w naszym społeczeństwie utrzymuje się ciągle przedsierniowy podział obywateli na „my—oni”, „góra—dół” czy „społeczeństwo—władza” niezależnie od przynależności organizacyjnej, wyznaniowej, wieku itp. Najbardziej znamiennie jest przy tym, iż ów podział występuje także wewnątrz partii, która przecież w trakcie swojego nadzwyczajnego zjazdu dosyć głęboko się zdemokratyzowała.

Pojawiły się ostatnio głosy, że zapoczątkowany po Sierpniu proces demokratyzacji m. in. w postaci wielu zmian instytucjonal-

no prawnych jest już na tyle głęboki, iż wykroczył daleko poza treść porozumień z Gdańska. Owszem, zapoczątkowane zostały po Sierpniu liczne demokratyczne przeobrażenia w partii czy umocnienie kontrolnej funkcji Sejmu, tyle tylko, że przebiegają one na razie bardziej wewnątrz układu władzy — choć też z różną skutecznością — aniżeli na linii społeczeństwo—władza i w tym sensie daleko im do wyczerpania porozumień z Gdańska. Jeżeli nawet wprowadzone zostały rewolucyjne uregulowania prawne, to w sytuacji, gdy nie następuje generalna przebudowa struktury politycznej, w praktyce ulegają one degeneracji pod przemożnym ciśnieniem starych mechanizmów politycznych. Dlatego właśnie przeobrażenia te nie mogą być namacalnie odczuwane przez przeciętnego obywatela.

Przeciętny obywatel odczuwa natomiast w dalszym ciągu nieudolność lokalnej władzy, bezkarność miejscowych klik i koterii, natomiast szlachetną w zamierzeniu działalność wojskowych grup operacyjnych traktuje bardziej jako dowód niewydolności aktualnego systemu oraz próbę doraźnego łatania w nim dziur, aniżeli choćby gruntownego uspołecznienia lokalnej władzy.

Skumulowanie ciężaru władzy na najwyższym szczeblu odbija się w paradoksalny sposób na przebiegu konfliktów społecznych. Obserwujemy wręcz zjawisko centralizacji wszelkich nieporozumień, co jest rzeczą nieuchronną w przypadku braku samorządności terytorialnej czy pracowniczey. W coraz większym stopniu ów centralistyczny styl działania narzucony bywa pośrednio „Solidarności”. Nieprzypadkowo wśród propagandowych zarzutów wobec tego związku pojawiły się ostatnio oskarżenia o zapędy totalitarne. „Solidarność” dała sobie narzucić centralistyczny styl propagandy, kiedy jej działacze tracąc cierpliwość odpowiedzieli władzy równie jednostronną kampanią propagandową.

Tak więc utrzymujący się konflikt polityczny jest zbyt głęboki, aby go można było zbyc tylko hasłami w rodzaju „linia” czy „front porozumienia”. Istniejący układ sił w społeczeństwie rozsądza coraz bardziej przestarzałe struktury i zmusza do jak najszybszego przebudowania modelu władzy. Tym razem o zabiegach kosmetycznych nie może być mowy.

JANUSZ ZARĘBA

WOJNA POZYCYJNA

Prezydent Reagan zniósł zaatakował pierwszy, uprzedzając spodziewane uderzenie Związku Radzieckiego. Według ostatnich doniesień konflikt między mocarstwami przeszedł w fazę wojny pozycyjnej. Zapowiada to długotrwały impas z wymianą ognia i przerywaną okrasami zawieszenia broni. Trwa działalność dywersyjna na tyłach wroga. Podpisanie rozejmu nie jest spodziewane w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Pesymiści przewidują, że obecny konflikt zakończy się, podobnie jak kilka poprzednich, wycofaniem się przeciwników na przednio zajmowane pozycje. Linia frontu ostatecznie ustali się 30 listopada br. na wysokości Genewy.

Konkretnie front przebiega w poprzek stołu, za którym z jednej strony zasiada z pokerowymi twarzami delegacja amerykańska na rozmowy w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych w Europie, z

drugiej przypominająca sfinksę delegacja radziecka. Tym razem bowiem nie jest to wojna ani nuklearna, ani zinnna, ani nawet dyplomatyczna, chociaż też ostatnią najbardziej przypomina. Na razie na ten typ zmagania nie ma namowy. Można by je ochrzcić wojną rozbrojeniową, albo pokojową, skoro najistotniejszym jej elementem stała się tzw. pokojowa ofensywa.

Głównym orężem zaczepnym w tej wojnie są pokojowe deklaracje i pojednawcze gesty, a najważniejszą bronią defensywną obnażanie obłudy przeciwnika. Kto zrażanie posługuje się tymi narzędziami i czyje z lepszego wykuje się krusiec, ten uzyska przewagę.

Do prehistorii nie będziemy wracać, przypomnę tylko ważniejsze etapy: KBWE i porozumienie SALT I, SALT II podpisane i nie ratyfikowane, Afganistan, Angola i Kambodża, oskarżenia ZSRR o ekswansjonizm i ukazywanie niebezpieczeństw rozbudowy radzieckiego potencjału militarnego, podwójna decyzja NATO (Pershing II i cruise) oraz kampania prezydenta Reagana na rzecz modernizacji sił NATO, radzieckie oskarżenia USA o rozkręcanie spirali zbrojeń, ruch pokojowy w Europie.

Teraz działania zaczepne poprzedzające obecną kampanię — USA publikują liczby wskazujące militarną przewagę ZSRR, Breżniew

również prezentując liczby (twierdzi, że przewagę ma NATO i deklaruje gotowość podjęcia rokowań, z Waszyngtonu płyną sygnały, że również Amerykanie gotowi są podjąć rokowania).

Pierwszym sygnałem pokojowej ofensywy radzieckiej jest zapowiedź wizyty L. Breżniewa w RFN. Na kilkadziesiąt godzin przed przybyciem Breżniewa do Bonn prezydent Reagan organizuje wielką konferencję prasową oglądaną na żywo dzięki satelitarnej telewizji przez około 200 milionów ludzi na całym świecie. Jego wystąpienie okazuje się prawdziwym majsterstwykiem. Jest sugestywne, przekonujące. Przede wszystkim zaś zawiera amerykańskie propozycje rozbrojenia. Wydają się one bardzo konkretne i zasadne. Po pierwsze NATO nie instaluje nowych rakiet, o ile ZSRR rozmontuje swoje nowe instalowane rakiet tej samej kategorii (tzw. opcja zerowa, ani jedna, ani druga strona nie miałaby rakiet średniego zasięgu z głowicami jądrowymi). Po drugie w 1982 roku rozpoczyna się rozmowy na temat rakiet i bombowców o zasięgu międzykontynentalnym, ale z odróżnieniem od SALT zmierzające nie do określenia górnej pulapu, lecz redukcji ilości głowic i środków przenoszenia. Po trzecie R. Reagan wezwał do ograniczenia wojsk konwencjonalnych

w Europie. Po czwarte wezwał ZSRR do akceptacji europejskich planów zmniejszenia ryzyka wywołania wojny „przez pomyłkę” którejs ze stron.

L. Breżniew zadeklarował „gest dobrej woli” na czas rokowań w Genewie zamrożenie rozmieszczenia dalszych radzieckich rakiet, a gdyby tejsze rozmowy przebiegały po myśli ZSRR, kraj jego zgodziłby się w Genewie wycofać z Europy „nie dziesiątki, ale setki swoich rakiet” (z około 600 wg szacunków amerykańskich).

Prasa radziecka odpowiada R. Reaganowi, że proponuje on jednostronne rozbrojenie ZSRR i znieszenie panującej według niej w Europie równowagi militarnej.

Prasa amerykańska odpowiada L. Breżniewowi, że nawet jeśli przeniesie rakiety za Ural jak obiecuje, to i tak będą one w stanie dosięgnąć każdą stolicę zachodnioeuropejską z wyjątkiem Lizbony.

Szybko podliczmy punkty. Amerykanie zasiedli do rokowań bez spełnienia przez ZSRR jakiegokolwiek warunków wstępnych, przed czym jeszcze nie tak dawno się wzburlali (punkt dla czerwonych). Opinia publiczna na Zachodzie prześlada uważać R. Reagana za kowboja, który strzela zanim pomyśli, a potem już mu się nie chce myśleć, zresztą jest na to za późno (punkt dla niebieskich). Za-

chodnieuropejczy meżowie stanu ostrzegali, że jeśli ZSRR odrzuci amerykańską ofertę, bez wahania wprowadzą w życie szyną już podwójną decyzję (mały punkt dla niebieskich). Ograniczenie zbrojeń nuklearnych w Europie zwiększyłoby znaczenie sił konwencjonalnych na tym obszarze, a ZSRR ma tutaj przewagę (mały punkt dla czerwonych). Kongres zaakceptował kosztowny i kontrowersyjny projekt rozbudowy sił i broni konwencjonalnych (punkt dla niebieskich).

Wszystkim miłośnikom szarad, krzyżówek i innych tego typu rozrywek umysłowych gorąco polecam problem rozbrojenia nuklearnego. Mój słaby umysł absolutnie nie jest w stanie dojść jak powinno wyglądać uczciwe porozumienie dwóch mocarstw w tej sprawie. Jeśli na obu stronach wchodzi w grę kilkanaście rodzajów różnych rakiet, pocisków, bomb itp. wystarczających z wody, powietrza, spod wody, z ziemi, spod ziemi... Każdy inaczej konstruowany, o różnym zasięgu, różnej sile. Mogą być zastosowane na kilkanaście różnych sposobów, zależnie od starannie ukrytych planów strategicznych, taktycznych itd. Do tego niczego dokładnie nie wiadomo na ten temat, bo różne źródła przeczą sobie nawzajem.

PIKADOR

STRAJKOWY OPŁATEK

KARTKA Z NOTATNIKA

PIOTR LEGUTKO

„Szukamy swojej drogi w życiu. Często już na jej początku wielu z nas spotyka się z pałkami milicyjnymi, szykanami i oszczerstwami. Nie chcemy, by wybór naszego miejsca w życiu wskazywany był przy użyciu siły”.

(z apelu członków Wojewódzkiego Zespołu Młodych przy OW Słow. PAN).

Dzień trzynasty — wtorek

Kolejna tura zajmuje gmach Collegium Novum. Już po raz czwarty powtarza się ten sam ceremonial. Legitymację studencką zastępuje Karta Uczestnika Strajku UJ. Za bramą przesłaje tłumy, niedoinformowany świat rozterek. Tu w środku każdy wie, o co walczy. Stawka gry jest jasna. Resztę wątpliwości rozwija pierwsza rozmowa, pierwsza znajomość, pierwsza łyżka strajkowej zupy. Ogromny gmach sprawia z początku wrażenie pustoszałego. Po prostu nikt tu nie próżnuje. Problem bezrobocia nie istnieje. Punkt pośrednictwa pracy jest przy radiowęźle.

- Kto da koncepty z matematyki?
- Czterech ludzi do ładowania koksu!
- Zbiórka sekcji porządkowej pod Convivium.

Zwyczajny harmonogram strajkowego dnia zakłada powrót plakaciarzy. Nie wszyscy wrócili. Milicyjne patrole porzuciły rolę biernych obserwatorów. Pierwsze, chętnie nie relacje. Biją. Teren „Zaczka” znowu przestał być bezpieczny. Poranne serwisy informacyjne podadzą już dokładne dane: — W wyniku szeroko zakrojonych akcji milicji i ZOMO, jakie miały miejsce w Krakowie w dniu 1.12.1981 zatrzymano ok. 40 osób z czego trzy zostały dotkliwie pobite. Osoby zatrzymane łono wulgarnymi epitetami oraz straszono pałkami. Podczas przewożenia milicyjnymi samochodami na posterunki MO, kazano im siedzieć trzymając głowę między kolanami, a ręce założone na kark. W tym

czasie bito niektórych pałkami po głowach, plecach i nogach oraz otwartą dłońmi po twarzach. Bijący byli rozwścieczeni i tylko dzięki spokojnemu zachowywaniu się zatrzymanych udało się uniknąć tragicznych następstw.

Kolejna wiadomość. KZ „Solidarność” UJ proklamuje przystąpienie 4 grudnia do okupacyjnego strajku rotacyjnego studentów. Zbieg okoliczności, czy reakcja na pobicia?

Wobec zmiany sytuacji strajkujących wieczorem odbywa się wiec. Przybywa delegacja KRH zaalarmowana informacją teleksową. Wiadomość o ogłoszeniu gotowości strajkowej w HiL wywołuje entuzjazm na sali. Rok 1968 nie powtórzy się — zapewniają hutnicy. Jeszcze tylko coś w rodzaju konferencji prasowej na temat „Moje spotkanie z organami porządku publicznego” z udziałem czterech uczestników łapanek i wracamy do spraw porządkowych.

Dzień czternasty — środa

Pierwsza wiadomość z Warszawy. Tu już pachnie prawdziwym pożarem. Blokada łączności z ZR „Mazowsze” podnosi napięcie i powoduje lawinę nieoficjalnych wiadomości o masakrze na WOSP. Po teleksie Wałęsy zarządzającym ostre pogotowie w biurach Zarządów Regionów nikt już nie ma wątpliwości co do szczyrych intencji i sprzymierzonego wojska ZOMO. Dopiero wieczorem docierają oficjalne relacje i komunikaty.

„Ten skandaliczny akt przemocy ze strony władz musi się spotkać z jasną, zdecydowaną oceną i stosowną reakcją. (...) Należy wzmocnić warunki bezpieczeństwa i dyscypliny strajku, unikać wszelkich prowokacji. Przekazujemy tylko w pełni wiarygodne ścisłe informacje o przebiegu wydarzeń na WOSP. Podpis — Jarosław Guzy, Przew. KKK NZS.

CIĄG DALSZY NA STR. 18

MINISTERSTWO JEST ZMARTWIONE

ANITA BIALIC

„Zawieszenie strajku byłoby kapitulacją w walce o niezawisłość i autonomię wyższych uczelni. Milicyjne patroli porzuciły rolę biernych obserwatorów. Pierwsze, chętnie nie relacje. Biją. Teren „Zaczka” znowu przestał być bezpieczny. Poranne serwisy informacyjne podadzą już dokładne dane: — W wyniku szeroko zakrojonych akcji milicji i ZOMO, jakie miały miejsce w Krakowie w dniu 1.12.1981 zatrzymano ok. 40 osób z czego trzy zostały dotkliwie pobite. Osoby zatrzymane łono wulgarnymi epitetami oraz straszono pałkami. Podczas przewożenia milicyjnymi samochodami na posterunki MO, kazano im siedzieć trzymając głowę między kolanami, a ręce założone na kark. W tym

Jak dotąd nie zrezygnowało z okupacyjnej formy strajku ponad 30 uczelni. Studenci są jednak zmęczeni przedłużającym się strajkiem. Początkowy entuzjazm zastąpiła obawa o perspektywy dalszego studiowania: lek przed powtarzaniem całego semestru czy nawet skreśleniem z listy studentów. Nie we wszystkich bowiem uczelniach władze rektorskie czy dziekańskie sprzyjają strajkującym. Nie wszędzie łatwo będzie studentom odrobić kilkutygodniowe zaległości...

Studenci zignorowali apele o przerwanie strajków — także zapewnienia o rozwiązaniu konfliktu w WSI i WOSP Konferencji Rektorów — z prestej przyczyny: żądają gwarancji, a nie obietnic. O autorytecie rektorów mówią: — To za mało, żeby załatwić nasze sprawy. Potrzebne są kompetencje, które posiadają jedynie władze — Ministerstwo NSZWIT. Hebda jest tylko pretekstem do strajku. Hasłem. Chodzi nam głównie o ustawę o szkolnictwie wyższym.

W dalszym ciągu nie znamy poprawek wniesionych przez rząd. A nie możemy zaufać Sejmowi — nie jest przecież reprezentantem społeczeństwa, lecz postępuje po linii rzędu. Zatwierdzi więc ustawę dogodną przede wszystkim dla władz, nie zaś społeczności akademickiej. Jak dotąd rząd nie poszedł wobec nas na żadne ustępstwa. Nawrocki nie jest „naszym” ministrem — Adam Kaleta, członek Komitetu Strajkowego w Uniwersytecie Jagiellońskim nie jest odosobniony w swoich poglądach. On i jego koledzy oceniają

dość chłodno propozycje Konferencji Rektorów. Wątpią, aby przyjęcie studentów WSI Radom czy WOSP na inne uczelnie rozwiązało problemy tych uczelni.

— Rektorzy użyli metody szantażu proponując przejęcie studentów WSI na inne uczelnie. Nie rozwiązuje to konfliktu. W uczelni radomskiej zaistniał bowiem głęboki podział, w miarę jednolite stanowisko byłoby przecież preferowane — Marek Siwiec, przewodniczący Rady Okręgowej SZSP w Krakowie uważa, że propozycja rektorów dotycząca sprawy radomskiej jest szansą dla poszczególnych osób, a nie dla tamtejszego środowiska akademickiego jako całości. Miejscem rozwiązania konfliktu musi być bowiem Radom. Jest to przecież konflikt ambicji i nieważności w radomskiej WSI i bynajmniej nie wiąże się z ustawą o szkolnictwie wyższym, w której zafunkcjonowała ona jako we wszystkich pozostałych uczelniach. Konflikt ten mógłby rozwiązać sam Hebda — mając trochę więcej szacunku dla własnej osoby...

— Rozwiązania zaproponowane przez Konferencję Rektorów a dotyczące konfliktu w WOSP traktujemy jako doraźne. Eliminują one bowiem skutki, a nie przyczynę konfliktu — nie uregulowany status szkół pożarniczych. Doceniamy dobrą wolę rektorów. Tylko, że nie korelują z nią działania władz. Nie dziwnego, przecież tylko władza wybrana demokratycznie działa na korzyść środowiska, które ją wybrało. Marek Siwiec jest przekonany, że w WOSP nie użyto by milicji, gdyby minister NSZWIT stał się stroną w tym konflikcie, przynajmniej wykazał jakiegoś zainteresowanie.

Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki nie zajęło oficjalnego stanowiska wobec postanowień Konferencji Rektorów. Wszelkie propozycje rozpatruje jednak wnikliwie — jak zapewnił mnie rzecznik ministra Nawrockiego, Marek Nowak — departament Studiów i Badań Technicznych.

— Ministerstwo szanuje autonomię uczelni i nie zamierza ingerować w wewnętrzne sprawy środowiska akademickiego. A więc także w konflikt w Radomiu. Popiera natomiast wszelkie formy mediacji. Natomiast rozwiązanie sprawy WOSP powinno nastąpić na styku dwóch resortów: MSW i MNSZWIT. Jesteśmy zmartwieni, że strajki w wyższych uczelniach przedłużają się, zwłaszcza, że apel NSZ nie odniósł wszędzie skutku! Oczekujemy od strajkujących studentów propozycji rozwiązania problemu zaległych zajęć — wszystkie spotykają się z naszą pomocą. My nie wydamy jakiegokolwiek rozporządzenia w tej sprawie. Brak rekrutacji na studia w przyszłym roku? — to są plotki. Ministerstwo nie ma takich zamierzeń.

Dziwić może ta deklaracja rzecznika prasowego, (który nb. chciał rozmawiać z dziennikarzem tylko „prywatnie”) skoro niektórzy urzędnicy z MNSZWIT nie kryją w prywatnych rozmowach możliwości anulowania przez ministerstwo semestru zimowego. Może to oznaczać zupełnie śmiało brak przyjęcia na studia w przyszłym roku i stać się przyczyną znacznie gwałtowniejszych wystąpień niż strajki...

— Podjęcie decyzji o zwolnieniu rektora Hebdy z zajmowanego stanowiska nie leży w kompetencjach ministra Nawrockiego. Minister szanuje autonomię uczelni, a wybór prof. Hebdy na stanowisko rektora został przecież zaakceptowany przez Senat WSI. Ministerstwo bynajmniej nie złamało procesu demokratyzacji w środowisku akademickim — twierdzi rzecznik MNSZWIT. Śmieszne to deklaracje, skoro nieingerowanie ministerstwa w konflikt w radomskiej WSI jest przecież jednoznaczne z nieingerowaniem w samowolę niedemokratycznie wybranego senatu WSI. A ZGODA NA PRZEDŁUŻAJĄCY SIĘ STAN CHAOSU W WYŻSZYCH UCZELNIACH BYNAJMNIEJ NIE MA WIELE WSPÓLNEGO Z POSZANOWANIEM AUTONOMII ŚRODOWISKA AKADEMICKIEGO. MINISTERSTWO NSZWIT NIE MOŻE BYĆ JEDYNIEM ZMARTWIONYM PRZEDŁUŻAJĄCYM SIĘ STRAJKIEM. A może obowiązki minister

stwa powinna w tej sytuacji przejąć Konferencja Rektorów? — wykazała przecież znacznie więcej zdecydowania w rozwiązywaniu konfliktu w WSI Radom i WOSP.

Mogłam zrozumieć sens strajkowania do momentu formalnego wpłynięcia projektu ustawy o szkolnictwie wyższym do Sejmu. Gdy możliwe były zakulisowe wpływy na treść projektu, trzeba było walczyć metodą nieparlamentarną. Teraz należałoby uszanować resztki autorytetu Sejmu — walczyć o ustawę poprzez posłów czy swoich przedstawicieli w komisjach sejmowych. Musimy więc dolożyć starań, żeby konkretny projekt ustawy stał się fizyczną własnością całej społeczności akademickiej. Muszą go poznać wszyscy zainteresowani, poznać wszelkie propozycje i poprawki. Trzeba walczyć o swoje sformułowania, a nie przeciwko cudzym. Także w komisji sejmowej. Posłowie muszą mieć świadomość, że studenci patrzają im na ręce w trakcie pracy nad ustawą.

Marek Siwiec zgodziłby się z dalszym trwaniem strajku, gdyby jego główną przyczyną był sprzeciw wobec desantu na WOSP czy brutalności milicji, która pobila rozlepiających plakaty studentów, ale nie ustawa o szkolnictwie wyższym. — Strajkując nie wywalczymy dobrej ustawy — twierdzi.

Strajki są spontanicznym odruchem, uczciwym i szczerym sprzeciwem wobec władzy. Ustawa o szkolnictwie wyższym, konflikt w Radomiu to tylko preteksty buntu, którego prawdziwą przyczyną jest brak zaufania do obecnych decydentów. Czy zaufanie to studenci odzyskają? — nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. Na pewno ważnym argumentem za budowaniem zaufania do władzy może stać się oczekiwana od wielu miesięcy ustawa o szkolnictwie wyższym.

Studenci nie znają terminu zakończenia strajku. Przygotowują się nawet do „okupacyjnej” wigilii. Czy rzeczywiście ich upór i młodzieńcza determinacja ma większy sens? CZY PRZEDŁUŻANIE STRAJKU JEST NAJWŁAŚCIWSZĄ FORMĄ WALKI O NIEZAWISŁOŚĆ I AUTONOMIE WYŻSZYCH UCZELNI? — ŚMIEM WĄTPIĆ. ROZUMIEM, ŻE ZNACZNIE ŁATWIEJ JEST PÓBIAĆ DECYZJĘ O ROZPOCZĘCIU STRAJKU, NIŻ MĄDRZE I W ODPOWIEDNIEJ CHWILI GO ZAKOŃCZYĆ. NA TO POTRZEBNA WYBRAŹNI.

CZY STARCZY JEJ STRAJKUJĄCYM? OBY.

„STUDENT”: — W Czechosłowacji i NRD działają partie chadeckie. Tymczasem w Polsce, której społeczeństwo jest na pewno bardziej religijne, takiej partii nie ma, dlaczego?

STANISŁAW STOMMA: — [— — — —] [Art. 2 p. 3 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981. Dz. U. nr 20 poz. 99]. Są to partie założone przez obozy rządzące. [— — — —] [Art. 2 p. 3 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk]. W Polsce na szczęście nie ma takiej partii.

— Jednak tuż po wojnie działała w kraju partia uważająca się za katolicką i za taką również uważana przez Kościół. Stronnictwo Pracy. Oczywiście do wyjazdu Karola Popiela.

— To była autentyczna — kontynuująca przedwojenna, stojąca na gruncie chrześcijańskiej nauki społecznej — partia, która wznosiła swoją działalność po roku 1944 i która się potem nie ostała. Można ją rozmaicie oceniać, ale była to partia, wyrastająca z naturalnej polskiej gleby.

— I przestała istnieć...

— Przestała istnieć dlatego, że względny liberalizm, który istniał na początku Polski Ludowej, ulegał stopniowo zacieśnianiu i eliminowaniu. Wtedy właśnie wyeliminowane zostało Stronnictwo Pracy i tak samo autentyczne Polskie Stronnictwo Ludowe. Stopniowo szliśmy w kierunku totalizmu politycznego. W pierwszej chwili Stronnictwo Pracy było tolerowane, choć od początku szkanowane, a niebawem uległo likwidacji. Zresztą wszyscy działacze poszli do więzienia.

— Z wyjątkiem Popiela, który opuścił kraj na dzień przed wyjazdem Mikołajczyka.

— Tak, zdążył uciec przed represjami.

— Stronnictwo Pracy formalnie istniało do 1948 roku?

— Ale już nadziewane obcymi siłami...

— Grupa Widy-Wirskiego?

— Tak. Odegrali oni rolę konia trojańskiego.

— Pan Profesor rozmawiał z K. Popielem przed jego wyjazdem z Polski?

— Tak. Był już bardzo rozgoryczony i wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Nam odradzał wszelkiej działalności. Uważał, że wszystko zostanie zgniecione, był zupełnie zrezygnowany.

— Politycy, którzy wrócili do Polski w 1945 roku i tutaj, w jakże zmienionych warunkach, próbowali kontynuować legalną działalność, wydają mi się najtragiczniejszymi postaciami naszej najnowszej historii. Obok K. Popiela, Stanisław Mikołajczyk, ksiądz Zygmunt Kaczyński. Przez emigrację okrzyczani zostali kolaborantami, w krajowej prasie oplukiwani. Ostatni z nich zmarł w więzieniu. Ludzie o nich zapomnieli... Dlaczego wtedy, w 1945 roku, zdecydowali się wrócić?

— Ja bym zaryzykował powiedzenie, że ich stanowisko było nieżyłowe. Można było powrócić do kraju, ale wtedy ograniczyć działalność do tych ram, które wtedy były możliwe i gdzie była jakakolwiek — choć bardzo mała i trudna — szansa na kontynuowanie działalności legalnej, albo pozostać na emigracji. Ale nie było wtedy miejsca na opozycję. Oni wracali do kraju z nadzieją robienia partii opozycyjnej, z założeniami nieżyłowymi i to im słusznie emigracja lodyńska wytykała.

— To znaczy, że na taką działalność nie było miejsca w kraju?

— Przecież w 1945 roku powstały trzy pisma, które uważały się za katolickie. Krakowski „Tygodnik Powszechny”, „Tygodnik Warszawski” związany ze Stronnictwem Pracy oraz „Dziś i Jutro” organ B. Piaseckiego. Miały każde inną linię. „Dziś i Jutro” było w założeniu popierającym system, natomiast „Tygodnik Warszawski” chciał być pismem społeczno-politycznym, ale opozycyjnym. „Tygodnik Powszechny” chciał być pismem katolickim niezależnym, ale z góry wiedział, że nie może wkroczyć na sferę polityki, że musi politykę zajmować się wtórnie, na ile to wchodzi w dziedzinę kultury. Z założenia został pismem kulturalno-społecznym. Okazało się że postawa opozycyjna „Tygodnika Warszawskiego” była nieżyłowa i uległ on razem ze Stronnictwem Pracy likwidacji. „Tygodnik Warszawski” miał wyraźne zaplecze polityczne i nie uwzględniał możliwości takiej, którą w założeniu przyjął „Tygodnik Powszechny”.

— W 1953 roku władze odebrały „Tygodnik Powszechny” dotychczasowemu zespołowi i przekazały go PAX-owi. Wkrótce potem został w grudniu 1956 roku. Wkrótce potem pięciu przedstawicieli środowiska „Tygodnika Powszechnego” znalazło się w Sejmie, tworząc Koło Poselskie „Znak”. Wnet też dołączyło do niego kilku innych posłów. Pan Profesor był przewodniczącym tego Koła do roku 1976. Z jakimi nadziejami wchodził Pan do Sejmu PRL w 1957 roku?

— Żywiłem nadzieję, że po 1956 roku, po Październiku, będzie się odbywała powolna ewolucja w kierunku demokratyzacji kraju. Liczyłem, że może to być ewolucja hamowana, bardzo trudna, ale że grupa kierownicza będzie jednak sterowała w kierunku demokratyzacji.

— Była to nadzieja na „ewolucję pałacową”, na dobre chęci ówczesnej grupy kierowniczej przeprowadzenia demokratyzacji.

— Tak. Na pewne przetwarzanie treści politycznych w Polsce w kierunku demokratyzacji. Oczywiście do pewnych granic, w ramach kierowniczej roli partii, w ramach przynależności, naturalnie, do obozu, wszystkich zobowiązań sojusznicych, w ramach gospodarki planowej, kierowanej. W ramach tych założeń, które uchodzą u nas dotąd za kryterium socjalizmu. Jednak miałem nadzieję, że model będzie się demokratyzował w kierunku bardziej autentycznego uczestnictwa społecznego, i w kierunku pewnej samorządności.

— Że te nadzieje się nie sprawdziły, wszyscy wiemy. Czy nie były one zatem oparte na złudzeniach, pobożnych życzeniach?

— Powiem pogląd, który prawdopodobnie nie będzie państwem satysfakcjonował. Uważam, że osiągnięcia 1956 roku były pomimo wszystko bardzo duże i częściowo wcale nie zostały cofnięte. Pozostały choćby w postaci pewnego minipluralizmu, innej polityki — pomimo wszystko — w stosunku do Kościoła. Była polityka szykan, ograniczeń, ale to nie było już tak przedtem oficjalne, formalne miażdżenie tego Kościoła i rozbijanie go, wreszcie pewien postęp w zakresie prawo-

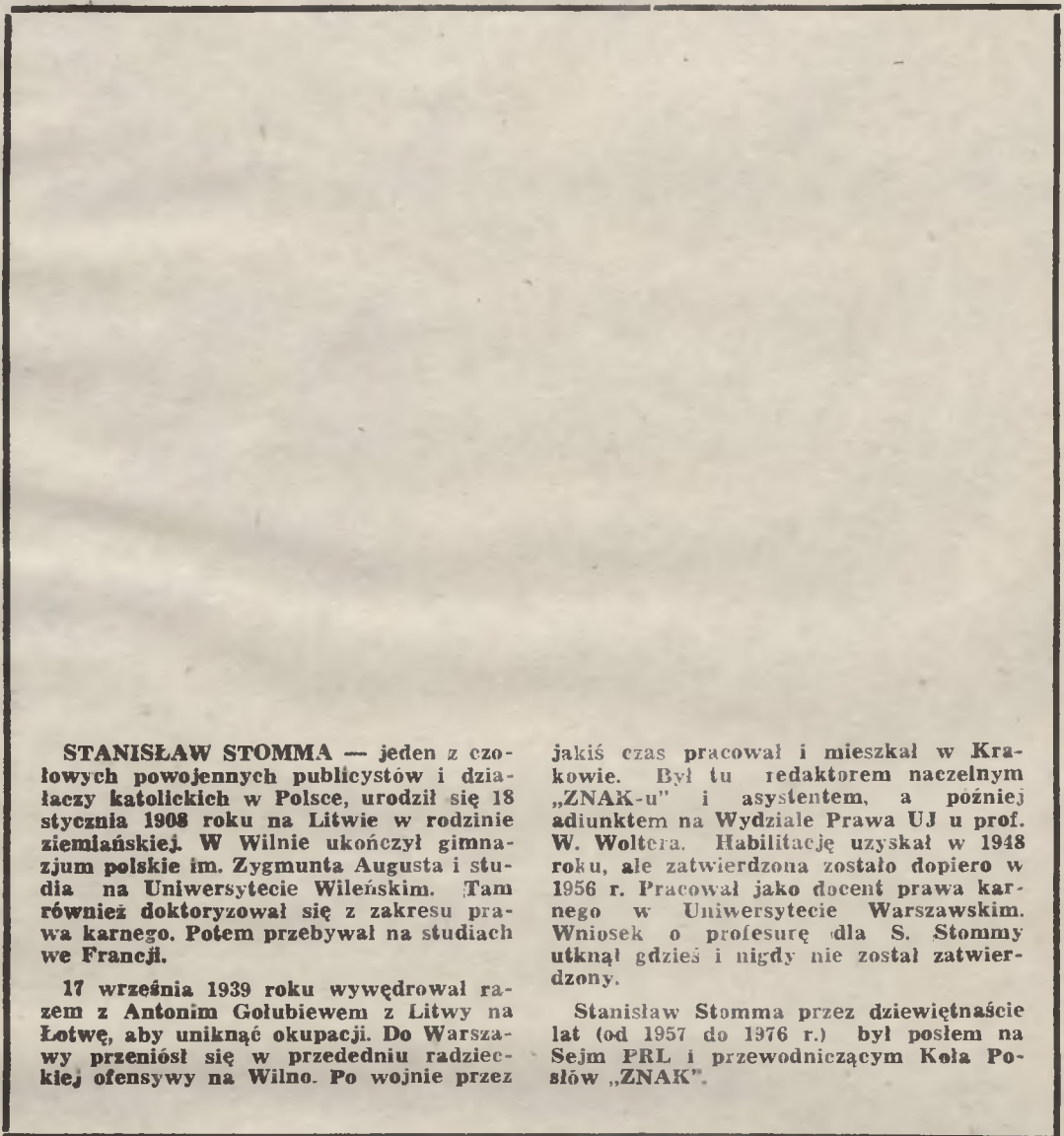
to głos za każdym razem dość szokujący. Jakikolwiek temat byśmy poruszyli, poruszyliśmy w zupełnie innym aspekcie, przy innych kryteriach. Koło Poselskie „ZNAK” na pewno nie zaszkodziło nikomu, natomiast jego głos zostanie, będzie świadectwem historycznym. Nie bez znaczenia były interwencje w sprawach ludzi, w sprawach Kościoła.

— Wynika z tego, że Pan Profesor ceni sobie szczególnie symboliczne znaczenie działalności Koła „ZNAK” w Sejmie?

— Symboliczne? Tak. To bardzo ważne. Jakkolwiek miało to także oddziaływanie na innych posłów, bezpartyjnych, czy tych z SD i ZSL.

— Czy głos posłów katolickich miał wpływ również na politykę państwową, na decyzje władz?

— Nie. Na decyzje władz nie. Miał tylko znaczenie moralne, a jeżeli coś żeśmy wytargowali czasami, były to rzeczy białe. Przez te lata zrodziła się we mnie awersja do Sejmu. Bo jeżeli udało nam się coś wytargować, coś konkretnego, to tylko wówczas, gdy przekonał się minister. Nigdy dlatego,



STANISŁAW STOMMA — jeden z czołowych powojennych publicystów i działaczy katolickich w Polsce, urodził się 18 stycznia 1908 roku na Litwie w rodzinie ziemiańskiej. W Wilnie ukończył gimnazjum polskie im. Zygmunta Augusta i studia na Uniwersytecie Wileńskim. Tam również doktoryzował się z zakresu prawa karnego. Potem przebywał na studiach we Francji.

17 września 1939 roku wywędrował razem z Antonim Gołubiewem z Litwy na Łotwę, aby uniknąć okupacji. Do Warszawy przeniósł się w przededniu radzieckiej ofensywy na Wilno. Po wojnie przez

jakiś czas pracował i mieszkał w Krakowie. Był tu redaktorem naczelnym „ZNAK-u” i asystentem, a później adiunktem na Wydziale Prawa UJ u prof. W. Woltera. Habilitację uzyskał w 1948 roku, ale zatwierdzona została dopiero w 1956 r. Pracował jako docent prawa karnego w Uniwersytecie Warszawskim. Wniosek o profesurę dla S. Stommy utknął gdzieś i nigdy nie został zatwierdzony.

Stanisław Stomma przez dziewiętnaście lat (od 1957 do 1976 r.) był posłem na Sejm PRL i przewodniczącym Koła Posłów „ZNAK”.

zadności. Oczywiście nie była to pełna praworządność, daleko do tego, ale ludzie już nie ginęli z ulicy itd. Nastąpiła sprawdzalność, dostęp adwokatów w procesie itp.

— Pan Profesor uważa, że mimo wszystko Polska roku 1969 znacznie się różniła od Polski 1955...

— Tak. Jakkolwiek następowała pewna regresja, przejawiająca się w bardzo silnym upartyjnianiu życia i pod tym względem nawet się pogorszyło. W 1953 roku było lepiej niż za Gierka pod tym względem. Nomenklatura pogłębiła się, poszerzyła, nabrała rygorów i bardzo się zmonopolizowała.

— Mimo takich czy innych przesileń biurokracji państwowo-partyjna rozwijała się bezustannie. Decydując się na wejście do Sejmu, liczył Pan Profesor na pewien postęp czy tylko na zachowanie zdobyczy Października?

— Na postęp, powolny, ale postęp.

— Ten postęp nie następował, raczej regres. Takie są przynajmniej powszechne oceny.

— No tak... pewien regres. Zgadza się.

— Jakim bilansem, chodzi o Pana prywatny bilans, zamknął Pan działalność w Sejmie w 1976 roku?

— Możliwości kręgów katolickich wówczas były niesłychanie małe. Chodzi jednak o to, jakie się stawiało przed sobą założenia. Kiedyś tworzyli Koło Posłów „ZNAK” w 1956 roku, posłaliśmy do księdza Prymasa. Mówiliśmy o tym projekcie. On był bardzo ostrożny, bardzo ostrzegał, abyśmy się nie luzili, bo nic nie zmienimy. Stanowczo mówił: nic nie zmienicie. Natomiast — powiedział — możecie spełnić rolę istotną, jeśli to będzie inny głos w tym Sejmie, jeden niezależny głos w tym Sejmie, „głos wolny wolności ubezpieczający”. Powiedziałem księdzu Prymasowi, że głos wolności ubezpieczający to za dużo, bo nie będziemy w stanie wolności zabezpieczyć, ale możemy stanowić głos wolny o wolności się upominający. Pod tym względem uważam, działalność Koła, była cenna, potrzebna, spełniała swoją rolę właściwie. Nieustannie w Izbie Sejmowej przypominało o konieczności procesu demokratyzacji. Mówiło o problemach z innego punktu widzenia niż mówił cały Sejm. Był

— Czy zgadza się Pan Profesor z opinią, że po trzydziestu kilku latach socjalizmu w Polsce, nasz kraj jest bardziej katolicki, autorytet Kościoła większy, niż po pierwszych dwudziestu latach niepodległości.

— Zgadza się.

— Z czego to się bierze?

— Z powodów bardzo oczywistych. Przez prostacką i brutalnie robioną ideologizację społeczeństwa. Ludność czuła, że chodzi o sprawę bardzo istotną moralnie i ideologicznie. Ludność pod tą straszną [— — — —] [Art. 2 p. 3 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk] presją szukała schronienia, azylu. Tym azyłem był Kościół. Kościół stał się ośłoną dla tych wartości, których ludność nie chciała utracić.

— Czy odzyskanie przez społeczeństwo polskie podmiotowości nie grozi osłabieniem pozycji Kościoła?

— Wciąż słyszę takie prorocтва, ale ośbiscie z tym się nie zgadzam. Kościół ma tak głębokie wartości do ofiarowania i tak uniwersalne, że zawsze będzie ludziom potrzebny. Nawet jeżeli straci z tego powodu, że w tej chwili nie jest wyłącznym reprezentantem narodowych wartości i wolności, bo zjawiała się „Solidarność”. Kościół został przez to wyręczony w funkcji, która nie jest jego najwłaściwszą funkcją, tylko wtórną. Społeczeństwo już odkryło te głębsze wartości Kościoła i to jest istotne. Wątpię, czy dojdzie do takiego stanu, że ludzie będą od tych wartości odchodzili. Możliwe byłoby to może w ramach bardzo utrwalonego wzorca konsumpcyjnego życia, dobrobytu, tak jak na Zachodzie, ale my jesteśmy od tego dość odlegli...

— Stosunek władz państwowych do Kościoła po II wojnie biegł charakterystycznymi meandrami. Zaczęło się w 1945 roku od gestów pojednawczych. Potem krok po kroku ograniczano swobody Kościoła, aż do aresztowania księdza Prymasa. Następnie w 1956 roku stosunki raptownie się poprawiły, potem z każdym rokiem coraz trudniej było uzyskać zgodę na budowę nowych kościołów, coraz gwałtowniejsze stały się ataki na Kościół i religię. Gierka w 1971 roku demonstrował postawę liberalną, ale potem znowu było gorzej. Można by rzec skwitować: „jak trwoga to do... Prymasa”. Jednak nigdy chyba stosunki między partią i Kościołem nie były tak dobre jak obecnie. Czy zdaniem Pana Profesora możliwy jest trwały sojusz miecza i pastorału?

— Nie jest potrzebny i nie jest wskazany.

— A czy możliwy?

— Teoretycznie jest możliwy w jakimś państwie rządzonej przez chadecję. I też niepożądanym. Natomiast w państwie, gdzie władza oficjalnie stoi na gruncie teorii materializmu dialektycznego, zupełnie niemożliwy. Możliwe jest natomiast współdziałanie.

— A jeżeli partia zrezygnuje z trendu do laicyzacji, z wojującego ateizmu, czy Kościół pójdzie na ugodę z państwem?

— Jest to niepotrzebne ani dla państwa, ani dla Kościoła. Byłby to według mnie błąd z punktu widzenia Kościoła. Ja nie wierzę, żeby taki sojusz w Polsce był realny. Obawy takie rodzą się na tle obecnej postawy episkopatu, ale jest to wielkim nieporozumieniem. Postawa episkopatu jest podyktowana obawą o losy państwa. Jeżeli episkopat robi w tej chwili pewne kroki, które dogadują rządowi, to robi to w imię poczucia swojej odpowiedzialności za państwo, za naród, nie chcąc doprowadzić do katastrofy.

— Od zarania PRL bierze Pan Profesor czynny udział w jej życiu publicznym. Jak Pan Profesor ocenia szansę ewolucyjnego przejścia obecnego systemu politycznego ku demokracji?

— Ja uparcie chcę wierzyć, że ten system jest naprawialny. Zgadza się, że trzeba sobie zadać przysmus, by trzymać się tej tezy, bo dotychczasowe wnioski nie bardzo są optymistyczne. A to przez przyjęcie założenia, że życie jest o wiele siniejsze od doktryn. Życie doktryny niweluje. Osiągamy postęp dlatego, że życie coraz bardziej triumfuje nad doktryną. Jednak. Sądę, że pod wpływem wymogów życiowych system będzie ulegał ewolucji.

— Być może. Jakie reformy wydają się Panu Profesorowi konieczne i możliwe jednocześnie?

— W tej chwili stoi przed nami sprawa samorządu. Jeżeli partia to neguje, nie ma racji. Zbliżamy się do wyborów do Rad Narodowych. Uważam, że można zmienić tak ordynację wyborczą, aby uruchomić autentyczny samorząd terenowy. Przy dobrej woli, samorząd terenowy można tak ustawić, żeby był autentyczny i mimo to, partia może zabezpieczyć sobie znaczny wpływ...

— Aparat partyjny chce mieć wyłączność...

— Wyłączność jest niemożliwa, jeżeli chce się dogadać ze społeczeństwem i chce się realnej reformy ustroju. Wybory zrobione na tych samych zasadach co obecnie, skończą się przykrym fiaskiem.

— Czy możliwy jest autentyczny samorząd terenowy w systemie tak scentralizowanym i biurokratyzowanym jak nasz?

— Według mnie czołowe zagadnienia ekonomiczne, polityczne, militarne itd. powinna utrzymać władza centralna i rząd, natomiast oddać w bardzo szerokim zakresie administrację w ręce społeczeństwa i nie to nie osłabi władzy centralnej. To są rzeczy wypróbowane np. w Prusach za Bismarcka. Dlatego nie było rewolucji w Niemczech w 1918 roku.

— Nikt nie oddaje z własnej woli nawet krzty władzy.

— Po to jest rozum polityczny. To on powinien dyktować rządzącym rozwiązania. Chodzi o to, aby rządzący zrozumieli swój interes, żeby dalekowzrocznie patrzyli w przyszłość i zrozumieli, że to jest jedyna szansa utrzymania rządów; jeśli rozumnie zawrą kompromis ze społeczeństwem. Niech powstanie szeroko rozbudowany samorząd, samorząd autentyczny, z prawdziwych wyborów, a wtedy władza może walczyć o scalenie w swoim ręku kluczowych zagadnień politycznych.

— Czy możliwy jest u nas pluralizm partyjny? Choćby w ograniczonym zakresie?

— Dla mnie wtórne znaczenie ma istnienie innych partii. Istotą rzeczy jest pewna swoboda wyborców i dopuszczanie do Sejmu elementów niezależnych, rzeczywiste prawdziwe społecznych. Może to być na zasadzie np. szerokiego udziału bezpartyjnych. Istotne jest dopuszczenie do władzy autentycznych przedstawicieli społeczeństwa.

— Czy jest coś w stanie zastąpić w systemie politycznym opozycję partyjną?

— Uważam, że na najbliższy okres rolę partii opozycyjnych mogą spełniać stowarzyszenia twórcze, ugrupowania typu SDP, ZLP, itp.

— To znaczy, że SDP wysuwa własną listę wyborczą?

— Nie listę, tylko swoich kandydatów.

— Nie wydaje się Panu Profesorowi, że to półśrodek, a półśrodki na ogół do niczego dobrego nie prowadzą.

— Ale zrobimy ten mały krok naprzód. To już będzie dobrze. A co dalej — zobaczymy. — Szeroko obecnie reklamowana jest idea tzw. Frontu Porozumienia Narodowego. Zda-

niam Pana Profesora, na jakich warunkach kompromis jest możliwy?

— Ja też zadaję sobie to pytanie. Ale nie odrzucajmy koncepcji...

— Zgoda. Ale na jakich warunkach?

— Dopoki nie mamy Sejmu, który reprezentowałby wszystkie siły społeczne, być może taka Rada Porozumienia jest wskazana. W jej skład musiałyby wejść siły bardzo autentyczne. Oczywiście z udziałem „Solidarności”...

— Jaką rolę odgrywają w tej chwili w polityce ugrupowania katolickie? Czy zanoszą się na powołanie partii katolickiej?

— W społeczeństwie tak bardzo katolickim nie powinna istnieć partia katolicka, byłaby to próba monopolizacji...

— Uważa Pan, że nie ma szans na porozumienie między „ZNAK-iem”, PZKS-em, ChSS-em, PAX-em?

— Na świecie wszystko jest możliwe, tylko nie zawsze celowe. PAX przechodzi ciekawą ewolucję, stawiałbym go wyżej niż inne ugrupowania. Moim zdaniem środowiska katolickie powinny być różne, o różnych programach. W niektórych sprawach różnice są dość istotne. Ja np. lepiej w niektórych sprawach porozumiewam się z grupą „DiP” niż z innymi katolikami. Niektóre grupy katolickie mają inklinacje w kierunku nacjonalizmu. Jest mi to bardzo obce. Również inklinacje do kontynuowania szkoły Dmowskiego.

— Czy dostrzega Pan Profesor w środowiskach katolickich zaczyn konkretnych programów politycznych?

— Każdy człowiek zdrowo myślący w Polsce ma swój program polityczny.

— Albo dwa. Ale czy zaczyna się rysować jakaś wspólna platforma polityczna?

— Tak. Można zauważyć jej zarysy w „Ła-dzie”. Także możemy skodyfikować pewne polityczne tezy „Tygodnika Powszechnego”.

— Czy Pan Profesor pokusi się o to?

— Trzeba to zrobić bardzo ostrożnie. Np. bardzo silne akcentowanie uniwersalizmu, wspólnych wartości moralnych z całą Europą i ze światem cywilizowanym, który wyszedł z tradycji chrześcijańsko-grecko-rzymskiej. Widzenie problemów Polski osadzonych w tej wspólnocie prawdy ideologicznej zachodnio-europejsko-chrześcijańskiej. Awersja do wszelkich zamkniętych nacjonalizmów, zwalczanie wszelkich fobii, łącznie z fobią antyrosyjską.

— To jest kwestia bardziej postawy, aniżeli programu politycznego.

— Godzenie pryncypiów z koniecznością jako szkoła myślenia. Lekceważenie konieczności jest grzechem przeciw naturze. Ten umiar „Tygodnika” jest właśnie jakby programową tezą, jest już pewną polityczną wartością.

— W tej chwili pokładamy swoje nadzieje prawie wyłącznie w „Solidarności”. Czy nie czas już na podjęcie działalności politycznej poprzez inne również struktury?

— „Solidarność” jest ogromnym wstrząsem w życiu Polski. Jest realizacją awangardowej roli proletariatu. To jest fakt. Marksisci to dobrze przewidzieli. Jako ten wstrząs, jako to obudzenie klasy robotniczej, jest

— „Solidarność” jest ogromnym wstrząsem. W miarę jednak jak przechodzimy od tego wstrząsu do konkretów życiowych, zaczyna się rysować polaryzacje. Wskazane jest,

aby w Polsce powstały nowe siły. Za jedną z oznak tego właśnie uważam list trzydziestu pięciu. Jest to głos niezależny od „Solidarności”.

— Które z ugrupowań katolickich ma w tej chwili największe aspiracje do utworzenia partii politycznej? Jest tego najbliższe?

— Chyba Zabłocki i PAX, choć PAX jest obecnie ostrożniejszy. Więć chyba Zabłocki. Jego grupa przejawia tendencję do stworzenia Stronnictwa Pracy.

— Jako kontynuację Popielowskiego?

— Tak.

— Czy taka partia, gdyby otrzymała koncesję od władz, byłaby autentyczna?

— Jeżeli byłaby oparta na monopolu, przy ograniczeniu swobody innych grup katolickich stworzyłoby to uwarunkowanie, które siłą rzeczy społeczeństwo oceniałoby jako skrupowanie i sytuację nieczystą. Wtedy moglibyśmy mówić o zakwestionowanej autentyczności.

— Gdyby PZKS uzyskał koncesję na założenie partii, czy również np. środowisko „ZNAK-u” przeszłoby na tę płaszczyznę?

— Żadnego zaangażowania. „ZNAK” ma cele przede wszystkim kulturalno-wychowawcze, tworzenie pogłębionego wzorca katolickiego. Polityka jest zupełnie sprawą wtórną. W 1956 roku zaangażowaliśmy się po prostu dlatego, że sytuacja tego wymagała. Ratowanie kraju. Trzeba było przeciw temu Gomułce pomóc w krytycznych chwilach.

Rozmawiali:

BARBARA MIŚKOWIEC
MAREK STRZAŁA

GDZIE JESTEŚMY, DOKĄD ZMIERZAMY

ANKIETA STUDENTA

NARODZINY PAŃSTWA PROTOSOCJALISTYCZNEGO

Ustalenie treści klasowej konkretnej organizacji państwowej nie zawsze jest proste. Szczególnie mylące jest tu trzymanie się deklaracji wyrażonych w konstytucjach i oficjalnych ideologiach państwowych. Większość konstytucji burżuazyjnych deklaruje, że największym suwerenem w państwie jest naród, co pozostaje w sprzeczności z faktyczną treścią panowania klasowego w tych państwach. Podobnie konstytucyjna deklaracja, że władza w PRL należy do ludu pracującego miast i wsi w „minionym okresie” mogła tylko wywołać ironiczny śmiech tegoż ludu.

Wielce pomocnym dla ustalenia klasowej treści państwa jest natomiast analiza przepisów prawnych, regulujących własność podstawowych środków produkcji, odzwierciedlają one bowiem i gwarantują stan faktyczny, leżący u podstaw ustroju państwowego.

W świetle konstytucji PRL podstawą ustroju społeczno-gospodarczego jest własność społeczna, występująca w dwóch formach: własności państwowej i własności grupowej. Tylko pierwsza z nich określona jest przymiotnikami socjalistyczna (art. 126 kc). W ten sposób druga jest niejako formą ułomną, niedoskonałą, przejściową. Pomijamy ją więc i zajmijmy się tylko formą doskonałą. Przepisy jednoznacznie wskazują podmiot tej własności — państwo. Inne przymiotnikowe określenia tej własności (społeczna, ogólnonarodowa) wobec braku przepisów konkretyzujących nie pociągają za sobą żadnych konsekwencji prawnych i mają co najwyżej charakter wiążącej tylko moralnie dyrektywy dla aparatu państwowego, aby prawo swe wykonywał zgodnie z potrzebami społecznymi. O nikłym znaczeniu tej dyrektywy przekonał się każdy, kto próbował wniknąć w idiotyzmy planowania centralnego.

Bardzo istotna dla naszych rozważań jest tzw. zasada jednolitej własności państwowej (art. 128 kc). Oznacza ona, że państwu przysługują całkowita i niepodzielna własność środków produkcji. Bezpośredni dysponenti własnością mają więc tylko prawo odbite, będące refleksem doskonałego prawa przysługującego państwu.

Państwo w zapisie konstytucyjnym jest tylko hipostazą prawniczą, pod którą życie podkłada konkretną treść społeczną. Można sobie wyobrazić, że państwo — właściciel będzie państwem idealnie demokratycznym. Z tym tylko, że analiza dotychczas występujących w historii form państwowych opartych o fuzję władzy politycznej i własności uczy, że tego rodzaju połączenie zwykle implikuje bezwzględny dyktatorstwo mniejszości wladców — właścicieli nad większością wyłączonej zarówno z władzy, jak i własności. Przypomnijmy tu wielkie despotie wschodu, w których właścicielami całej ziemi byli władcy, którzy mogli dysponować nadaniami ziemskimi w sposób dowolny, przypomnijmy tu monarchię patrymonialną, w której władca był zarazem najwyższym właścicielem ziemskim. Jedno jest pewne: fuzja własności i władzy na jednym biegunie struktury społecznej zawsze stwarza niebezpieczeństwo, że na drugim biegunie znajdziemy wyłączenie z wszelkich praw.

Spróbujmy więc określić realną treść społeczną, kryjącą się pod enigmatycznym zapisem prawnym. W okresie październiowym pojawiło się wiele prac analizujących cha-

1. W jaki sposób zakwalifikowałby Pan zachodzące w Polsce przemiany społeczne? Czy mamy do czynienia z narodzinami nowego ustroju politycznego — jeżeli tak to proszę wskazać jego cechy konstytutywne.

2. Jakie Pana zdaniem będą dalsze kierunki ewolucji polityczno-ustrojowej?

Z powyższymi pytaniami zwróciliśmy się do naukowców i polityków reprezentujących obecnie główne kierunki myśli społeczno-ustrojowej. Poprosiliśmy o wypowiedź ludzi naszym

zdaniami kompetentnych, reprezentantów zarówno dojrzałego jak i młodszego pokolenia. Diagnoza dzisiejszej sytuacji społecznej i prognoza jej rozwoju wydaje nam się podstawowym warunkiem świadomego uprawiania polityki.

Dotychczas wypowiadali się LECH WITKOWSKI („Student” nr 23) oraz WŁADYSŁAW BIENKOWSKI (w numerze 25). Obecnie publikujemy tekst JERZEGO FAŁOSZA — pracownika naukowego Instytutu Nauk Społecznych AGH i publicysty.

rakter i strukturę wewnętrzną grupy sprawującej władzę w tzw. „minionym okresie”.¹⁾ Z analiz tych wyłania się obraz zamkniętej zhierarchizowanej grupy społecznej, sprawującej monopolistyczną władzę we wszelkich wymiarach społecznych, a przede wszystkim w wymiarze politycznym i ekonomicznym.²⁾ różniące się od reszty społeczeństwa rodzajem i zakresem przywilejów. Miała ona charakter zamknięty, tzn. rozwijała się tylko przez kooptację, o której decydowali hierarchowie wyższego rzędu, zaś wyłącznym kryterium dokooptowania była ujawniona wcześniej skłonność do posłuszeństwa i pełnej dyspozycyjności. Grupa ta zorganizowana była na zasadach bezwzględnej podporządkowania hierarchicznego, o awansie wewnątrz hierarchii decydowali zawsze hierarchowie wyższej rangi w oparciu o kryterium stopnia dyspozycyjności i przestrzegania reguł wewnątrzgrupowych. Na marginesie pewna uwaga: bardzo trafnie zauważył S. Magala, że kryterium awansu nie była ani pragmatyczna skuteczność działań podejmowanych przez kandydata na niższym stanowisku, ani jego reprezentatywność dla określonej części społeczeństwa.³⁾ Nie mogą tego zrozumieć ci wszyscy, którzy od minionego systemu oczekiwali pragmatycznej efektywności. Jest to klasyczny przypadek ahisterycznego uogólnienia pewnego kryterium ocen. Z faktu, że w ustroju kapitalistycznym o miejscu w strukturze klasy panującej decydowała efektywność podejmowanych działań (przede wszystkim ekonomiczna) nie wynika, że jest to kryterium powszechnie obowiązujące. Np. w ustroju feudalnym o ocenie wasala przez seniora nie decydował sposób, w jaki wasal eksploatował swych poddanych. Kryterium tym była wyłącznie wierność w stosunku do seniora. Sposób eksploatacji poddanych przez wasala miał znaczenie w dwóch tylko przypadkach: wasal nie mógł dopuścić, aby jego poddani zdechli z głodu, bo wtedy senior otrzymywałby mniejszą rentę feudalną (spadłaby bowiem wypłacalność wasala), nie mógł wreszcie dopuścić do buntu poddanych, bo to także godziłoby w seniora. Tak więc oczekiwanie efektywności od minionego systemu było wynikiem niezrozumienia jego istoty i w jakimś sensie było przeżytkiem świadomości burżuazyjnej zachowanym w świadomości społecznej.

Grupa ta różniła się od reszty społeczeństwa przywilejami ekonomicznymi (łatwiejszy dostęp do dóbr społecznie pożądaných co niekoniecznie jest tożsame z wyższymi zarobkami nominalnymi — przykład talonów na samochody), a także prawnymi. Przykładem uprzywilejowania prawnego była praktyka uzależniania rozpoczęcia postępowania prokuratorskiego przeciwko nawet niskiej rangi aparaczkowi od uprzedniej zgody właściwego KW. W przypadku hierarchów najwyższej rangi stwarzało to efekt sui generis eksterytorialności, stali oni ponad prawem powszechnie obowiązującym, podlegając tylko normom wewnętrznym hierarchii. W formie reliktowej zachowało się to do dziś w postaci tzw. „odpowiedzialności politycznej” za błędy, za które — popełnione w mniejszej skali — zwykli śmiertelnicy idą do kryminału.

Grupa ta spełnia więc wszelkie cechy klasy społecznej. Przeciwno takiemu podejściu podnosi się czasem fakt nieodziedziczenia pozycji klasowej. Jest to zarzut chybyony: o istocie klasowej danej grupy społecznej niekoniecznie

musi decydować dziedziczność pozycji klasowej (np. w szeregu despotii wschodnich nie tylko pozycja klasowa, lecz i szlachectwo nie było dziedziczne, a mimo to grupa dygnitarzy państwowych była w całym tego słowa znaczeniu klasą społeczną).⁴⁾ Dodajmy tu, że system stwarzał szereg mechanizmów preferencji dzieci „dobrze urodzonych”. Z bliskiego nam podwórka akademickiego można tu podać przykład nagminnej praktyki dodatkowych egzaminów wstępnych, zarządzanych indywidualnymi decyzjami ministerstwa dla dzieci osób szczególnie miłe widzianych — i to egzaminów odbywanych częstokroć już w trakcie roku akademickiego. Dla „dobrze urodzonego” kandydata powoływano specjalną komisję, przed którą zdawał egzamin, niejednokrotnie po raz drugi lub trzeci w danym roku, aż do pozytywnego skutku.

Na temat sposobu sprawowania rządów przez tę grupę powiedziano już od Sierpnia bardzo wiele. Główne cechy tego sposobu ujmując syntetycznie L. Witkowski opisując tzw. syndrom socjalizmu obłąkanego („Student” nr 23/81). Te logikę systemu władzy podświadomie wyczuła grupa wladcza, co znalazło wyraz w celowym podkreślanu przez nią swej odrębności od społeczeństwa, nad którym wypadło jej panować. Wyrażało się to choćby w nieuzasadnionym żadnymi racjonalnymi względami utrzymywaniu różnicy wiary między rządzącymi i rządzącymi, w używaniu przez tę grupę języka niezrozumiałego przez przeciętnego obywatela i z gruntu mu obcego, w nawiązywaniu do obcych narodowi tradycji kulturowych itp.

Zjawiska te można wytłumaczyć sięgając do genezy obecnej władzy. Na skutek wyjątkowego zbiegu okoliczności historycznych w roku 1945 pełnia władzy politycznej znalazła się w ręku stosunkowo nielicznej grupy, nie mającej szerszego oparcia w społeczeństwie (przypomnijmy tu słynne słowa Gomułki: byliśmy mniejszością, ale historia przyznała nam rację), merytorycznie nie przygotowanej do sprawowania władzy. Grupa ta w następnej kolejności zawiadnęła podstawowymi środkami produkcji. Okoliczność ta sama w sobie o niczym jeszcze nie przesądzała, gdyby dalszy rozwój systemu dokonał się w sposób autonomiczny, z uwzględnieniem polskiej tradycji i kultury politycznej. Były ku temu sprzyjające okoliczności, istniała bowiem silna partia socjalistyczna, mocno osadzona w polskiej tradycji politycznej. Stało się jednak inaczej: W Polsce wprowadzono system polityczny z gruntu obcy jej tradycji — system stalinowski. Pozostawał on w sprzeczności nie tylko z polską,

CIĄG DALSZY NA STR. 8

GDAŃSK

PONIEDZIAŁEK — 14 GRUDNIA

Mirosław Marcińczak — pracownik Stoczni:

— Jak przyszliśmy pod dyrekcję, nie było tam jeszcze dużo ludzi, dopiero po czasie, kiedy tam byłem, zaczęło ich napływać coraz to więcej. Pamiętam, ludzie zaczęli żądać, aby wyszedł dyrektor Żaczek, ale ktoś powiedział z dyrekcji, że go nie ma, że jest w Warszawie. Skoro nie było nikogo, kto mógłby z nami porozmawiać, to ktoś z tłumu krzyknął, nie wiem kto — idziemy do Domu Partii — pod Komitet Wojewódzki. Ludzie od razu skierowali się pod bramę nr 2 i poszli zwartym pochodem w stronę KW.

Po drodze, tam gdzie jest klub Stoczni Północnej zauważyłem, że ludzie stali w oknach i ściskali ręce — widać udzielając poparcia przez to, bo jeżeli ściska się swoje własne ręce w oknach, to znaczy, że jest poparcie. Ludzie idąc pod Komitet Wojewódzki wołali „Żadamy chleba”.

Pochód śpiewając Międzynarodówkę, hymn Polski i hymn Gwardii Ludowej kieruje się pod gmach KW PZPR. W rękach ludzie niosą zrobione naprędce transparenty: podwieszane na kijach pończochy wypełnione chlebem. Padają okrzyki: „CHLEBA!”, „ŻADAMY PODWYZEK!”, „WSZYSTYCH POD KW!”. Do spokojnie maszerującego i manifestującego pod komitetem tłumu wychodzi pod nieobecność I sekretarza, sekretarz Zenon Jundziłł. W zamieszaniu jego głos niknie, a słowa o rozejściu się wywołuje śmiech. Wzburzony tłum żąda przyjęcia stoczniowych delegatów. Blisko 20-osobowa grupa wchodzi do gmachu KW.

Z. Jundziłł obiecuje sprowadzić radiowóz z głośnikami, aby prowadzone rozmowy były słyszane przez wszystkich. Po chwili radiowóz podjeżdża, z jego głośników płyną słowa nawołujące do rozejścia się. Stoczniowcy zajmują radiowóz, który — wobec fiaska rozmów — pokieruje manifestujący

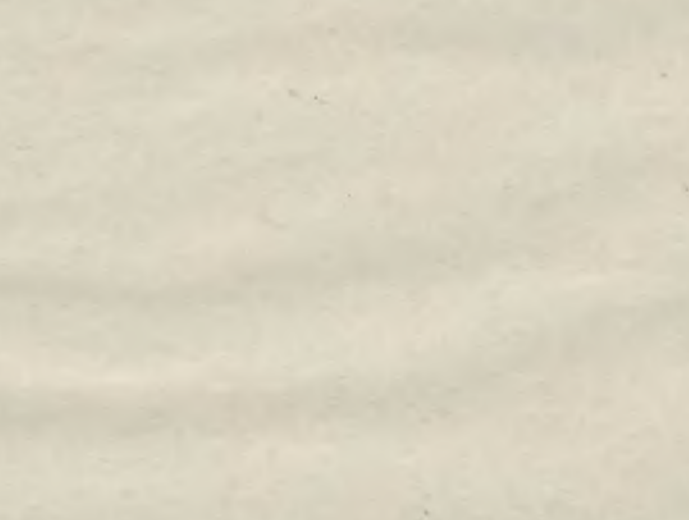
powagi chwili” — „w niektórych punktach miasta doszło do wystąpień na ulicach. Wyrażały one niezadowolenie z podjętych ostatnio decyzji dotyczących zmian cen. Niezrozumienie powodów, które zmusiły rząd do podjęcia tego niepopularnego, acz koniecznego kroku, spowodowało wiele rozgoryczenia. Dawano temu wyraz w różnych — najczęściej bardzo emocjonalnych — wystąpieniach. Forma, w jakiej okazywano to niezadowolenie, wykluczała możliwość podjęcia rzeczowych rozmów. Władze nasze nigdy nie ukrywały i nie ukrywają przed naszym narodem oceny sytuacji gospodarczej, w jakiej znajduje się nasz kraj. Z trudnej sytuacji gospodarczej można tylko wyjść przez spokojne, rozsądne i w pełni zdyscyplinowane działanie. (...) Przykry i szczególnie bolesny jest fakt, że dla zapewnienia porządku i spokoju trzeba było użyć sił porządkowych. Spowodowali to swoim zachowaniem ci, którzy wywołali awantury i budy (...)

Ryszard Ostrowski — pracownik Stoczni:

— Kiedy 15 grudnia rano, na wiecu w Stoczni poinformowano nas, że aresztowano przywódców strajku, pada hasło ich odbicia. Przed bramą w odległości 100 metrów stały wozy MO i grupy milicjantów. Uzbrojeni w łomy i kamienie wyszliśmy ze Stoczni. Zatrzymywano tramwaje i zmuszano wszystkich do wzięcia udziału w pochodzie. Pod KW, ponieważ nikt nie podjął z nami rozmów, została część a reszta ruszyła pod komendę MO. Na moście stał szpaler milicji, doszło do starcia, przełamaliśmy opór i doszliśmy do komendy.

Henryk Jagielski — pracownik Stoczni Gdańskiej, członek Komitetu Strajkowego w 1970 roku:

— W pewnym momencie doszliśmy pod komendę. Z otwartego okna komendy wychylił się Waleśa i krzyczał, że rozmawia, że zaraz zwolnią zatrzymanych w dniu poprzednim. Ludzie go nie słyszeli, zaczęli krzyczeć „zdrajca” i rzu-



cać kamieniami. I dopiero ja mówię, to jest ten, co tam poszedł rozmawiać, on jest od nas. I wtedy przestali rzucać. Kiedy on się wychylał, z III piętra zaczęli rzucać na nas granaty łzawiące. Jeden major ukazał się w sąsiednim oknie i krzyczał, że on odpowiada za to, co się dzieje na jego piętrze, a za tych na III nie odpowiada. Wtedy ludzie zaczęli rzucać kamieniami i atakować komendę. Po chwili otworzyła się brama i tych sześciu wyszło, ale ludzie dalej atakowali budynek.

Ryszard Ostrowski:

— Pozostawione wozy milicyjne podpalone i zrzucono ze skarpy na tory kolejowe. Była próba podpalenia komendy, jednak nieskuteczna. Poleciały pierwsze kule. Ktoś przebiegł ze sztandarem zbroczonym krwią. Cofnęliśmy się na most i tam ustawiliśmy linię frontu. Broniąc się używaliśmy tramwaju do rozpraszania milicjantów. Gaz i dym przesłaniały wszystko. W tym czasie rozbito został kiosk w budynku WRZZ, wyposażenie wyrzucono na bruk. Pracownicy WRZZ zgromadzili się na ostatnim piętrze, ale nikt ich nie atakował. Nie podpalono budynku ze względu na mieszkania prywatne. Duża grupa funkcjonariuszy MO znajdowała się przy magazynach PKP, w końcu zostali rozbici, rozbrojeni i pozbawieni mundurów. Jednocześnie zaczęły się akcje pod KW. Od początku były próby podpalenia, ale nieskuteczne z braku odpowiednich środków. To spowodowało, że z pobliskiego sklepu zabraliśmy denaturat, a w międzyczasie dostarczono kanistry z benzyną. Jakaś dziewczyna w czarnym płaszczu i białych rajstopach dostała się z pierwszym kanistrem na schody NOT-u i zaczęło się. Poczęły też skutkować butelki z denaturatem. Straży, która przyjechała do pożaru dwa albo trzy wozy podpalone. Około południa rozbito pierwsze sklepy koło KW, a potem następne w obrębie Rajskiej i Heweliusza.

Około godz. 14.30 gmach KW dopala się. Ludzie zaczynają się rozchodzić.

Mówi Andrzej Gwiazda:

— Wróciliśmy już właściwie wszyscy w takim radosnym nastroju, bo właśnie się wszystko już zakończyło. Byłem już na Błedniku, gdy zobaczyłem od strony Wrzeszcza czołgi. Zawróciłem i ujrzałem, że radośni dotąd ludzie w nagłej potrzebie wracają. Tak jak poprzednio siedzieli w takim rzadkim, odprężonym tłumie, tak teraz wszyscy idą twardym zdecydowanym krokiem pod dworzec. Nagle staliśmy się już innymi ludźmi. I wtedy zaczęły się te piękne historie, epizody w zdobywaniu czołgów. Takie wielkie chłopisko, taki barczysty doskonale zbudowany stoi na czołgu za wieżą (...) i leży z dwóch litrowych butelek benzynę w otwory powietrzne. Potem wyjął zapalki, podpalił i zeskoczył do tyłu. Czołg ujechał z 10 metrów i stanął. Załoga zaczęła uciekać. Można mówić o bohaterstwie, o wspaniałych zwycięstwach nad czołgami, ale i o tym, że one jednak nie wjeżdżały w ludzi. Gdyby się zdecydowali jechać przez tłum, nikt by im nic złego nie zrobił z wyjątkiem może podpalenia benzyną.

Czołgi wycofują się. Około 15 załogi powracają na teren zakładów.

ŚRODA — 16 GRUDNIA

O godz. 4.00 rano do miasta wkraczają czołgi i transportery opancerzone z Pomorskiego Okręgu Wojskowego i niebieskich beretów. Zajmują strategiczne pozycje wokół stoczni, na wszystkich skrzyżowaniach i placach Gdańska. Ich liczba szacowana jest na blisko 3 tysiące.

Tworzą się pierwsze komitety strajkowe. Ustalają pierwsze postulaty do władz dzielące się na dwie grupy — ogólne i

wydziałowe. Między innymi: zlikwidować podatki od nadgodzin, zmniejszyć administrację, ujawnić płace dyrekcji, zreformować CRZZ, zlikwidować ceny specjalne w kantynach MO i komitetach, wprowadzić autonomię związków zawodowych.

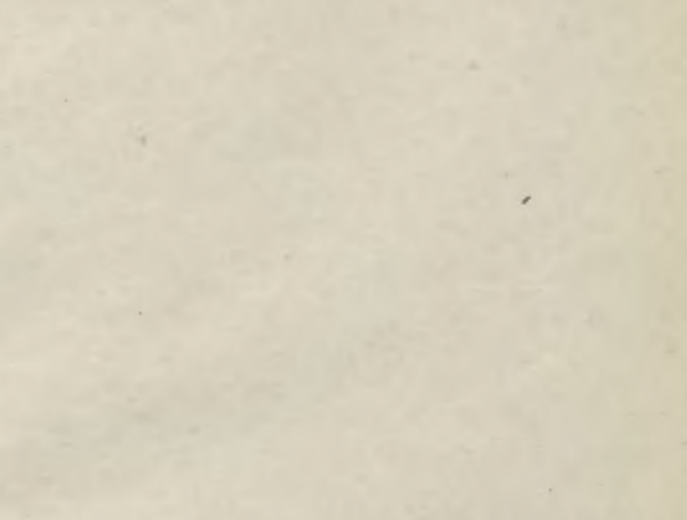
Zgromadzeni rano przed dyrekcją robotnicy domagają się przedstawienia postulatów przybyłym do Gdańska członkom władz centralnych. Pozostaje pytanie jak. Postanawiają ruszyć pochodem. Podnoszone są obawy przed aresztowaniem wysłanników. Mimo przestróg, blisko tysięczny pochód kieruje się przed bramę Nr 2 Stoczni Gdańskiej. Idący na czele robotnik zaczyna przemawiać do stojącego około 100 metrów w przodzie kordonu milicji. Po przejściu ok. 30 metrów pada seria z PM, potem kolejne ze stojącego obok czołgu. Trzech zabitych i 11 rannych. Maszerujący cofają się w głąb stoczni.

Rozpoczyna się strajk. W godzinach południowych dochodzi do prób rozmów między przedstawicielami władz a strajkującymi ze Stoczni Remontowej. Wyrażona zostaje zgoda na rewizję spraw dodatków wyrównawczych i socjalno-bytowych. Nie ma mowy o cofnięciu podwyżki cen. Komitety strajkowe stoczni przestają panować nad sytuacją. Wieść o masakrze przed bramą Stoczni Gdańskiej paraliżuje ich poczynania. Wieczorem liczne grupy stoczniowców opuszczają stocznie.

Strajk zostaje przerwany po ogłoszeniu przez władze decyzji o militaryzacji portów i rozwiązaniu stoczni. Obowiązuje już Zarządzenie Porządkowe nr 1. w sprawie wprowadzenia aż do odwołania godziny milicyjnej na terenie Gdańska, Gdyni i Sopotu.

Stanisław Kociołek wygłasza przemówienie do mieszkańców Trójmiasta.

Stało się tak, że w Gdańsku spalone zostały obiekty o publicznym przeznaczeniu, że zniszczono i spłądrowano dziesiątki sklepów, spalono i zniszczono wiele samochodów, obok zakłócono normalne funkcjonowanie miasta, że na ulicach był rozbój, były napaści. Poranieni zostali — niektórzy są w ciężkim stanie — funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, ormowcy, żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego. Są 33 obrażenia, jest 5 zgonów. Bandy — bo inne określenie jest tu za słabe — agresywne i napastliwe przeciwstawiały



się działaniom tak ludzkim i powszechnie zrozumiałym jak gaszenie pożarów, ratowanie ludzi, którym groziła śmierć w ogniu, udzielenie pomocy poranionym. Uczynili to osobnicy szczególnego pokroju przestępczego i zbrodniczego. I tylko tacy są wśród zatrzymanych, tacy odpowiedzą przed prawem. Z chwilą gdy doszło do wystąpień niszczycielskich, do grabieży, podpalenia i prób mordu, władze musiały zastosować wszystkie stojące do ich dyspozycji środki. Wprowadzone zostały siły milicji i Wojska Polskiego. Każdy rozumny człowiek pojmie, że uczyniono to w imię społeczeństwa, jego normalnego życia i rozwoju. Nie ma żadnego innego wyboru — anarchia i rozbój to zaprzepaszczenie tego co nasze wspólne, to rujnowanie dorobku materialnego, społecznego i osobistego, to rujnowanie społecznych norm życia, dobrych obyczajów, to kopanie przepaści trudnej do zasypania.

W wielu zakładach i fabrykach — przerwana została praca. Wysuwane są rozmaite wnioski i postulaty, czasami w ultimatywnej formie. Chciałem powiedzieć z całą otwartością: są to w większości postulaty niemożliwe do spełnienia, tak jak niemożliwe jest odwołanie podjętych decyzji. Chcemy o tym porozmawiać, także o tym, co w odpowiedniej perspektywie może być realne. Ale nie mogę — nie wolno mi — w poczuciu odpowiedzialności za słowa — składać w tej chwili nierealnych zapewnień. Gdybym tak uczynił, nie wystawiłbym sobie dobrego świadectwa. W najtrudniejszych chwilach musimy wszyscy zachować trzeźwość i rzetelność, uczciwość w rozmowie, niemożliwego nie możemy uczynić możliwym. Ale przede wszystkim sprawą najważniejszą, najwyższej wagi jest przywrócenie normalnego toku pracy. (...)

Odpowiedz na pytanie: co uczynić — jest tylko jedna: powrócić do normalnej pracy, od jutra, od zaraz. Każdego musi dręczyć pytanie komu służy to, co się stało? Kto i co na tym zyskał? (...)

GDYNIA

WTOREK — 15 GRUDNIA

17.00 Zorganizowany zostaje marsz, w pełnym porządku robotnicy docierają pod gmach MRN przy ul. Czołgistów. Do środka udaje się delegacja robotnicza, nie ma żadnych prób łamania porządku. Przedstawione zostają postulaty robotnicze. Przewodniczący MRN Jan Mariański przekazuje władzę w mieście w ręce robotników. Zostaje powołany Komitet Strajkowy — na jego czele staje Edward Hulś. W nocy z wtorku na środek Komitet zostaje aresztowany i wywieziony do więzienia w Wejherowie.

ŚRODA — GRUDNIA

W mieście panuje spokój, w zakładach pracy atmosfera jest napięta. Wieczorem zapada decyzja o rozwiązaniu Stoczni, informacja ta nie zostaje przekazana robotnikom.

O godz. 20.00 nadane zostaje nagrane wcześniej przemówienie St. Kociołka (powtórzone ono zostanie w gdańskiej TV o 23.00), apelujące o powrót do pracy w spokoju od jutra rana tj. czwartku.

Mówi Stanisław Kociołek — (wywiad dla „Czasu” nr 49/1980):

— Tak, używałem wówczas do powrotu do pracy, podczas gdy równocześnie, bądź nieco wcześniej, bądź nieco później, nie zdotał sobie tego nigdy odtworzyć, podjęta została decyzja o zablokowaniu Stoczni. Oczywiście w takiej sytuacji

pochód z powrotem do Stoczni Gdańskiej, skąd przez Stocznę Remontową i ulicę Jana z Kolna i Klinikzną uda się on pod gmach Politechniki Gdańskiej.

Henryk Pietrzak — wówczas student II roku PG:

— Szliśmy z zajęć i na ul. Grunwaldzkiej spotkaliśmy pochód robotników ze Stoczni z chorągwiami, którzy wykrzykiwali „Precz z czerwoną burżuazją!”, „Precz z Gomulką”. Byłem szaszkowany słysząc takie — wtedy w tamtych czasach — okrzyki. Wróciliśmy razem z nimi na Politechnikę. Tam na początku nie chciano ich wpuścić za bramę, a w końcu bramę wyważyli i ustawili się przed gmachem głównym. Tam jest taki klomb z różami — żeby go nie zdeptać, wszyscy stali wkoło i był porządek. Zaczęli przemawiać: że pamiętamy Marzec, wtedy kiedy wyszcie przyszli do nas, myśmy powiedzieli — idźcie do nauki. Teraz my przychodzimy do was, zapomnijmy o słownych urazach, musimy razem i wspólnie. Rektor Jan Staliński zaczął oponować, zabrał mikrofon, chciał też przemawiać, ale nie pamiętam i nie chcę też skłamać czy dostał gdzieś kaskiem po głowie, czy nie. W każdym bądź razie zabrali mu mikrofon i wtedy się dowiedzieliśmy, że mamy się zebrać tutaj o 19.00, wtedy coś wspólnie ustalimy.

Część pochodu udaje się w kierunku Gdańska, inna grupa otacza budynek Polskiego Radia żądając uruchomienia nadajnika. Red. Wierzbanowski odmawia.

Około godz. 16. idący z kierunku Wrzeszcza tłum natyka się w okolicach mostu Błednik na tyranierę MO. Uzbrojeni w pałki i petardy milicjanci usiłują rozpędzić rozechodzących się już ludzi. Na głos walki z okolicznych ulic i ze strony stoczni nadbiegają ludzie; rosnący tłum wypiera milicjantów pod KW, a następnie pod Dom Prasy. Starcia trwają do godzin nocnych.

Wieczorem do mieszkańców miasta przemawia przewodniczący MRN — Tadeusz Bejlm.

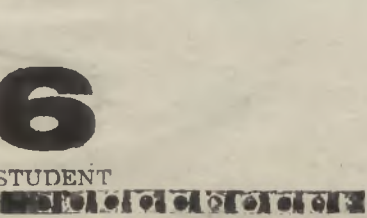
Podczas gdy w Gdańsku trwają zamieszki, w Warszawie obraduje VI Plenum KC. Około 13 I Sekretarz Władysław Gomułka otrzymuje informację o sytuacji w Gdańsku. O wydarzeniach nie zostaje poinformowane Plenum; wiedza o tym tylko członkowie ścisłego kierownictwa. Za zgodą Gomułki i bez powiadomienia o tym sali opuszcza obrady (na własną prośbę) i wyrusza do Gdańska Stanisław Kociołek i I sekretarz KW PZPR w Gdańsku Alojzy Karkoszka.

W swoim końcowym przemówieniu Władysław Gomułka poświęca wiele uwagi uzasadnieniu decyzji o podwyżce cen. Przemówienie nie zawiera ani słowa o tym, co dzieje się w Gdańsku.

W nocy Biuro Polityczne KC PZPR kieruje do Gdańska Zenona Kliszkę — sekretarza KC i przewodniczącego CRZZ Ignacego Łogę-Sowińskiego z wszelkimi uprawnieniami do jak najszybszego zlikwidowania skutków niepokoju w Gdańsku.

WTOREK — 15 GRUDNIA

Poranna prasa gdańska przynosi — poza przemówieniami sekretarza KC Jaszczyka i Gomułki — komentarz do wydarzeń dnia poprzedniego pt. „Potrzebne jest zrozumienie



6

STUDENT

Wieloletni plan — gospodarka społeczna

Wieloletni plan gospodarki społecznej, który jest podstawą dla planowania gospodarki państwa, jest dokumentem, który określa kierunki i zadania gospodarki państwa na okres pięciu lat. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce.

Wieloletni plan — gospodarka społeczna

Wieloletni plan gospodarki społecznej, który jest podstawą dla planowania gospodarki państwa, jest dokumentem, który określa kierunki i zadania gospodarki państwa na okres pięciu lat. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce.

Wieloletni plan — gospodarka społeczna

Wieloletni plan gospodarki społecznej, który jest podstawą dla planowania gospodarki państwa, jest dokumentem, który określa kierunki i zadania gospodarki państwa na okres pięciu lat. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce.

Wieloletni plan — gospodarka społeczna

Wieloletni plan gospodarki społecznej, który jest podstawą dla planowania gospodarki państwa, jest dokumentem, który określa kierunki i zadania gospodarki państwa na okres pięciu lat. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce.

Wieloletni plan — gospodarka społeczna

Wieloletni plan gospodarki społecznej, który jest podstawą dla planowania gospodarki państwa, jest dokumentem, który określa kierunki i zadania gospodarki państwa na okres pięciu lat. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce. Plan ten jest wypracowany przez Związek Radziecki i jest on podstawą dla planowania gospodarki państwa w Polsce.

nieukniknionym następstwem było starcie, przelanie krwi. (...) Pamiętam moment refleksji, rany boskie, trzeba ludzi zatrzymać, trzeba natychmiast do nich dotrzeć. Uruchomiłszy aktyw, wystaliśmy ludzi do hoteli robotniczych, do prywatnych domów. Zleciliśmy nadawanie komunikatów o tym, że praca została przerwana i należy wracać do domów przez megafony kolejki elektrycznej, przez gigantofony stojące na czołgach przed zakładami pracy.

Wysyłani jednak emisariusze (pierwsi docierają do ludzi ok. 22.00, a o 23.00 TV powtarza przemówienie St. Kociolka!) przyjęci zostali jako prowokatorzy.

CZWARTEK — 17 GRUDNIA

Robotnicy idący do pracy w Gdyni są nieświadomi, iż dojdzie do Stoczni zostało obstawione czołgami i, że wojsko ma rozkaz użycia broni. W nocy czynione starania o zamknięcie komunikacji (kolejki elektrycznej i autobusów) przyniosły połowiczne efekty. Ruch autobusów został wstrzymany. Kolejki ruszyły jak co dzień.

4.55. Na peron Gdyni Stoczni wjeżdża kolejka z Wejherowa i Gdańska, przybywa też pociąg dalekobieżny. W chwilę potem na peronie znajduje się ponad 5 tysięcy osób. Wyjścia do miasta broni kordon milicji, wojska i czołgów.

Marian Gintowski — pracownik Stoczni Gdynńskiej im. Komuny Paryskiej:

— Ludność Gdańska i Gdyni dała się zasugerować słowom tow. Kociolka i faktycznie następnego dnia widać było wielu ludzi idących do pracy. Od Sopotu towarzyszył nam jadącym w kolejce helikopter, nastrój był wesoły, jak co dzień. Po przyjeździe do Gdyni Stoczni wszyscy wysypali się na peron, z którego schody prowadzi na pomost nad torami. Młodzi chłopcy w wieku 18—20 lat pierwsi wbiegli na pomost i to uratowało większość nas przed śmiercią i kalectwem. Gdy trójka młodych ludzi była w połowie schodów, padła salwa. Strzelał najpierw jeden, potem trzy pistolety maszynowe. Ludność cofnęła się za wagony. Zauważyłem wówczas jeszcze kilku ludzi wijących się z bólu — byli ranni. Młoda kobieta w wieku 24—26 lat trzymała się za głowę, krzyczała: za co, za co, co robicie! Pragnę nadmienić, że kobieta była w 7 miesiącu ciąży. Po jakiejś chwili upadła na peron. I kolejarze znieśli ją na pobocze, na ulicę łączącą stocznię z miastem. W międzyczasie załoga pociągu przeszła na jego początek i część ludzi zdążyła schronić się do kolejki, która odjechała. (...) Pociąg ostrzelano, już odjeżdżając widziałem tłumy ludzi na ulicy i w okolicach dworca. Padali ranni, strzelali do nich z krążącego helikoptera i tylko zwoje drutu łączące na całej długości ulicy uniemożliwiały milicjantom zmieniać pozycję i zbliżyć się do pomostu...

im. Komuny Paryskiej (pięciokrotnie wówczas zraniony):

— Dotarliśmy do mostu kolejowego, stałem dwa, trzy metry od pierwszego (od ulicy Polnej) przesła, bliżej nie można było podejść, w odległości 30 metrów stał czołg. Tłum zatrzymał się, młodzi ludzie przeskakiwali przez tory i wychodzili na ulicę Marchlewskiego, wrzask, ścisł i głośniki nadawały jakiś komunikat nawołujący do powrotu do domu. O 5.55 powietrzem wstrząsnął potężny wybuch. Czołg odpalił ślepy pocisk. Na co tyle hałasu, przecież ich widzimy, nie muszą się przedstawiać — roześmiali się ludzie i przestali się śmiać. Zaaferowany patrzyłem na czołg, gdy poczułem, że ktoś obsuwa się na ziemię, zobaczyłem krew i usłyszałem strzały. Nie wiedziałem co się stało, spojrzałem, ten człowiek nie miał połowy twarzy, spróbowałem go ciągnąć i moja ręka odmówiła mi posłuszeństwa. Sprawdziłem czy mam rękę, lewa była cała we krwi, zacząłem uciekać, zacząłem się dusić, pod nogami czułem jakieś ciało, wyciągnęli mnie kole-dzy, bo potem straciłem przytomność...

Ostrzelany przez stocznian tłum ruszył do miasta. Ulicami prowadzącymi do prezydium MRN przeciągają cztery pochody. Jeden z nich niesie ciało zabitego na wyjętych ze sklepu drzwiach. Pochód jest ostrzeliwany kilkakrotnie z broni

palnej i obrzucany petardami i granatami z gazem łzawiącym z lecących helikopterów. Milicja kilkakrotnie próbuje rozproszyć pochód.

Oto fragmenty 6-godzinnej rozmowy radiowozów milicyjnych:

0,17,50**

Gujana zgłoś się

— Gujana zgłasza się do Śliwy

— Słuchaj ta grupa z tym — zabitym — proszę ciebie — jest na Świętojańskiej już — na Świętojańskiej — sztandar za-krwawiony i na nim tego trupa.

— Idą w kierunku na Prezydium — tak?

0,18,35

Ona poszła — na kierunek na Prezydium

..... szum

Śliwa zgłoś się dla Bawarii — Śliwa

Tak — zgłasza się Śliwa dla Bawarii

— z tym trupem — z tym trupem to są — wiesz — albo mł-dzień akademicka, albo akademicka — albo szkolna, bo na czele są wyrostki

0,28,20

— Zgłasza się Bawaria — zgłasza się Bawaria

Oni są już pod Prezydium — tak?

— Słuchaj — w tej chwili blisko Prezydium

wyrostki same — na noszach tego trupa. Chodzi o to, żeby odebrać — robi wrażenie — wrażenie — robi — zamelduj im żeby zabrali, bo to można zabrać.

Pod gmachem prezydium MRN trwają aż do 12.00, potem ostrzeliwany tłum wyparty zostaje w kierunku Dworca Gdynia, Wzgórza Nowotki, bądź rozproszony po okolicznych ulicach.

Okolo godz. 12.30 starcia w Gdyni wygasają.

Wieczorem radio i telewizja nadają przemówienie premie-ra Cyrankiewicza oraz Uchwałę Rady Ministrów z dnia 17 grudnia w sprawie bezpieczeństwa i porządku publicznego jej paragraf 2 brzmi:

Zobowiązuje się organa MO, SB i inne współdziałające z nimi organa do podjęcia wszystkich prawnie dostępnych środków przymusu, włącznie do użycia broni przeciwko oso-bom dopuszczającym się gwałtownych zamachów na życie i zdrowie obywateli, grabieży i niszczenia mienia oraz urz-dzeń publicznych.

W swoim przemówieniu Józef Cyrankiewicz mówi:

— Doszło do tragicznych starć, w których siły porządko-we użyty, zostały zmuszone do użycia broni. Są ofiary w lu-dziach, kilkunastu zabitych i kilkuset rannych milicjantów i osób cywilnych.

W tym samym dzienniku TV znalazła się też informacja o podjęciu przez władze rozmów z załogami pracy w Szczeci-nie, (gdzie w śróde wieczorem i czwankem dochodzi do starć). Ta uwaga ma być sygnałem, ostrzeżeniem dla innych miast, że władze są skłonne rozmawiać, ale siłami wszelkie rozru-chy.

W czwartek też zamieszki uliczne mają miejsce na całym Wybrzeżu. Strajki i starcia z milicją odbywają się w Słup-sku, Elblągu, Prusze Gdańskim.

PIĄTEK — 18 GRUDNIA

Nadal nieczynne są stocznie i porty. Dopiero w godzinach popołudniowych, po ogłoszeniu mobilizacji pracowników portowych przez ministra żeglugi, porty ruszają.

Na ulicach miasta wzmocnione patrole wojska i milicji. Na placach, skrzyżowaniach nadal stoją czołgi. Zamknięte są aż do odwołania wszystkie szkoły. Nadal trwają aresztowa-nia uczestników zajść.

SOBOTA — 19 GRUDNIA

Z „powodu choroby” ustępuje Władysław Gomułka, I se-kretarzem wybrany zostaje Edward Gierek.

„Życie Warszawy” informuje:

— Na ulicach Gdańska i całego Trójmiasta panuje spo-kój. Ślady niedawnych zajść są sprawnie usuwane. Ich prawdziwy przebieg i tło coraz powszechniej docierają do świadomości ludzi...

JADĄ WOZY KOLOROWE

Jadą wozy kolorowe na gumowych kółkach, siedzi na nich Cyrankiewicz ciągnie go Gomułka.

Ciągnij Wladek, ciągnij Nie żałuj pojazdu może dociągniemy do VII Zjazdu.

Ciągnął Wladek, ciągnął Ten stary niecnota, lecz do Zjazdu nie dociągnął, wzięła go ślepotą.

Dojechaliby do Zjazdu Gdyby nie Wybrzeże VII Plenum rozwalilo cale to przymierze.

Płynie dalej Cyran na rządowej fali Gierek teraz nim steruje i tak płyną dalej.

Dokąd będziesz stary byku na tej fali płynął czas najwyższy byś na wiosnę do Bałtyku spłynął

Jadą wozy kolorowe na gumowych kółkach Siedzi na nich teraz Gierek i ta jego spółka.

Czy dojedzie znów do Gdańska ten garnitur stary Czy po drodze go pokryją Kępy i Moczary?

(Ballada ludowa z roku 1971, tekst za wyd. „Grudnień który zrodził Sierpień”, Kraków 1980, wyd. „Ślad”)

NIEDZIELA — 20 GRUDNIA

Rozpoczyna obrady VII Plenum KC PZPR. E. Gierek w swoim przemówieniu mówi m. in.:

— Żelazną zasadą naszej polityki gospodarczej i naszej polityki w ogóle musi być liczenie się z rzeczywistością, szeroka konsultacja z klasą robotniczą i inteligencją, respektowanie podstawowych zasad kolegalności i demokracji w życiu partii i w działaniu władz naczelnych. Ostatnie wydarzenia przypominały nam w sposób bolesny tę podstawo-wą prawdę, że partia musi utrzymywać ścisłą więź z klasą robotniczą, i całym narodem, że nie wolno jej utracić wspól-nego języka z ludźmi pracy.

JAROSŁAW DUTKOWSKI
Współpraca:
JERZY DOMAGAŁA
EWA POLAK

Ten zapis jest z konieczności fragmentaryczny, wiele spraw czeka jeszcze na uzupełnienie i wyjaśnienie. Doku-menty, relacje i materiały są dopiero zbierane i opracowy-wane. Do wielu nie można dotrzeć. Brak wciąż relacji „dru-giej strony”: przedstawicieli MO, wojska, najwyższych władz partyjnych i rządowych. Niektóre dokumenty zostały celowo zniszczone lub ukryte. Np. w parę dni po wydarze-niach Grudnia zabrano ze szpitali gdańskich całą dokumen-tację chorobową rannych w czasie tych dni. Pozostała tylko księga wpisów — niekompletna, gdyż lekarze nie wszystkie przypadki notowali obawiając się o dalsze losy rannych.

Z zebranych dotąd relacji wynika, że poczynaniami ludzi w równym stopniu kierowały determinacja, emocje, plotka i prowokacja. Trudno dziś ustalić czy wiadomość o aresztowa-niu 14. XII. była prawdą czy też plotką — niemniej ha-sło „odbić aresztowanych” miało bezpośredni związek z wy-darzeniami. Tak samo jak wiele poczynañ przedstawicieli władz odbieranych było jako prowokacja.

O ile jednak to, co się działo na ulicy, znamy już w stop-niu przybliżonym, o tyle to co działo się za bramami Trój-miasta czeka nadal na wyjaśnienie.

TEMAT GRUDNIA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ POSZCZE-GÓLNYCH OSÓB TO SPRAWA DAŁSZYCH BADAŃ, A ZAPIS TEN NIECH BĘDZIE PRZESTROGĄ DLA TYCH, KTÓRZY I DZISIEJSZE PROBLEMY CHCIELIBY ROZ-WIĄZYWAĆ PRZY POMOCY SIŁY.

* Wszystkie relacje pochodzą z archiwum NSZZ „Solidar-ność” zostały — już po Sierpniu — zebrane przez Zespół Historyczny dokumentujący wydarzenia Grudnia 70 na zle-cenie „Solidarności” Gdańskiej.

** Nie są to oznaczenia godzin, „0” oznacza początek akcji następne dwie liczby to jej minuty i sekundy. Przywoływa-ne wydarzenia mają miejsce — przypomnijmy — 17 XII między godz. 5 a 6 rano.

W mglisty wieczór 29 listopada roku 1830, pod pomnikiem króla Jana Sobieskiego w warszawskich Łazienkach zebrała się garstka akademików i literatów. Zanim ruszyli, by z okrzykiem „Śmierć tyranom!” wtargnąć na dziedziniec Belwederu i rozpocząć rewolucję, ktoś (Nabielak? Gośczyński?) rzekł półgłosem: „Słowo ciałem się stało, a Wallenrod — Belwederem”. Niedaleka przyszłość wypełniła gorzką brzością tę efektowną formułę: kilku co najmniej Wallenrodów rychło poczęło działać na zgubę Królestwa.

Patriotyczne uniesienie i polityczna ślepotą oraz „terror historycznych nazwisk” — oto co charakteryzowało listopadową insurrekcję. Dużo mówiono o wolności — ale wolności tej nie chcieli chcieć. „Czegoż chcieliśmy? Być najdzielniejszym ludem Słowiańszczyzny, a Moskwę przywrócić do tego stanu nicości politycznej, z którego wyszedłszy wspólnictwem w kabale rozbiorn Polski, potęgę swojej i wpływu zewnętrznego dotąd nie usprawiedliwiła żadna zasługa dla rodu ludzkiego” — pisał Mochnacki. Trzeba te słowa zakwestionować. Tak jawiły się Mochnackiemu wydarzenia będące plonem listopadowej nocy oceniane już ex post, czyli wtedy, kiedy klęskę i niespełnienie zdolano ubrać w kostium mitologii. Czy natomiast tego aż mogło chcieć społeczeństwo, za coś prawie normalnego uważające przed powstaniem postępowanie np. Zajączka, Różneckiego, Szaniawskiego (o którym swolężerze W. Krasieński nie wspominał)?

Dążenia i cele akademików, literatów i zbuntowanych podcho-

rażych oraz tych, którzy zmuszeni zostali przez spiskowców i „ulicę” do przyjęcia władzy — były zdecydowanie rozbieżne. Wodzowie nie chcieli wygrać wojny, nie chcieli pokonać i rzucić na kolana północnego despoty. Czego natomiast chcieli? Najkrócej — przywrócenia status quo ante (usunięcia Konstantego, przestąpienia konstytucji) lub — powtórmy za księciem Adamem Jerzym Czartoryskim: „...i — oddania korony polskiej wielkiemu księciu Michałowi i zniesienia artykułu 1 konstytucji, mówiące-

Polaków szczerą, serdeczną nienawiścią i uczucia swe metodycznie wsączała w duszę młodego Mikołaja. Przecież stosunek cara do kłopotliwego dziedzictwa wiedeńskiego kongresu przejętego po Aleksandrze, mający, być może, uzasadnienia osobowościowe, nade wszystko miał charakter polityczny i ideologiczny.

Pod koniec grudnia bawił w Petersburgu adiutant Chłopickiego, płk. T. Wyleżyński. Rozmawiał z carem, Czernyszewem, Benckendorffem, Czernyszewem — na każdym kroku spotykał się z po-

do buntu. Co by na to rzekli inni poddani? Byłoby to poniekąd zachętą, aby tak samo postąpili. Car musi dbać „o twarz”. Co powiedziałaby na to Europa?

A sam car? Na wieść o powstaniu pisał do Konstantego: „Jeśli spośród dwóch narodów i dwóch tronów jeden musi zginąć — czyż mogę się wahać choćby chwilę?”. Później nieco, w styczniu: „Który spośród dwóch narodów ma zginąć — gdyż wydaje się, że zginąć jeden musi — Rosja czy Polska?”

Dzisiaj, po latach, tak sformu-

wróż mogący kiedyś zarazić zdrowe ciało samodzierżawnego „trzeciego Rzymu”. „Polska była zawsze rywalką i najbardziej nieublaganym z wrogów Rosji”. — pisał Mikołaj. Stąd te rozpaczliwe słowa na wieść o kolejnych niepowodzeniach Dybicza: „Przecież Rosjanie nie mogą być zawsze bici przez Polaków! Doświadczenie wieków to wykazało! Bóg nam pomoże raz jeszcze to udowodnić”. Kto pomógł Mikołajowi?

W czasie włoskiej kampanii car przemyslił nad sposobami rozwiązania „kwestii polskiej” i doszedł do znamienitych wniosków. A więc — ponieważ utrzymanie Królestwa bardzo dużo Rosji kosztuje (tak, tak: propaganda rosyjska od dawna głosiła, że Rosja dopłaca do Królestwa, do jego wysokiego dobrobytu), a w dodatku ci niewdzięcznicy buntują się, należy ich ukarać... Wzgądną: Mikołaj postanowił wzgardzić większą częścią obszarów Królestwa i granicę ustanowić na linii Narew — Wisła (sic!). Ale cóż — przywódce narodu polskiego, kolejni dyktatorzy powstania robili wszystko, byleby przeszkodzić carowi w urzeczywistnieniu tych zamiarów. Bali się poprowadzić wojsko do decydującego ataku na słabsze niż powstanie się mniema, siły rosyjskie. Patriotcy z Sejmu nie mieli nic do powiedzenia.

Pozostał mit i wielka poezja oraz na dobre już przetarte szlaki na Sybir. Królestwo zapłaciło. Jak wcześniej Księstwo Warszawskie, które pokryło Aleksandrowi wszelkie koszty kampanii antynapoleońskiej.

MARIAN J. ZAWIEJA

LISTOPADOWY WIECZOR

go o wiecznym związku Królestwa z Rosją (...), 2 — przyłączenia ziem wschodnich byłej Rzeczypospolitej do Królestwa, 3 — prawa uchwalania budżetu wyłącznie przez sejm, bez ingerencji króla, 4 — (...) zbrojnego odebrania Galicji przez wojska rosyjskie i złączenia jej z Królestwem”. Swoistej pikantierii temu chciejstwu daje fakt, że było ono formułowane tuż przed atakiem Paskiewicza na Warszawę.

Generalny błąd politycznej strategii insurekcji tkwił w ignorowaniu stosunku Rosjan do Królestwa i Polaków, stosunku do nas samego cara. Nie trzeba przypominać anegdotycznych zgoda źródeł mrocznej nienawiści Mikołaja do „Polaczków” — jego gubernantką była niejaka miss Lyon, która wyjątkowo ciężko przeżyła uliczne rozruchy w Warszawie w czasie Kościuszkowskiego powstania i omal wówczas nie postradała życia; darzyła odtąd

tepieniem Królestwa, które uległo nikiemnym akademikom i „temu lotrowi profesorowi” (Lewelowi). Dybicz, zalecając przywrócenie porządku i ukorzenie się przed najlepszym władcą, obiecywał, że zastąpi na stołcu Królestwa zniechęconego W. ks. Konstantego: „bylibyście ze mnie zadowoleni, rządziłbym dobrze, strzegł ściśle konstytucji, któreby nie naruszył zgoda, chyba na jednym punkcie wolności prasy — tej mieć nie będziecie, z góry was ostrzegam, to rzecz szkodliwa, rozdrażniająca tylko umysły”. Tak więc — podajcie się, car jest łitościwy, powiesimy kilku akademików, zapamiętajcie pokój... Bardziej szczerzy był Benckendorff: cesarz, jego zdaniem, „nie może się posunąć do ustępstw wobec kraju, który był najszybszym z wszystkich prowincji olbrzymiego państwa, który jedyny posiadał liberalną konstytucję, a zerwał się

lowane sądy Rosjan (od listy chytrości Dybicza, przez obrażoną dumę wielkoruską Benckendorffa, po niekłamany zgroź i determinację widoczną w słowach cara) wprawili mogą w zadziwienie. Błąd perspektywy sprawia, że powstanie listopadowe widzimy w proporcjach pudła i niedźwiedzia (wodzowie rewolucji też uważali, że to „z motyką na słońce”...). A przecież to była ostatnia realna szansa pokonania militarnej ówczesnej Rosji i ustanowienia polskiej suwerenności nad Wisłą, Niemnem, Dźwiną, na Wołyniu... Mikołaj znakomicie zdawał sobie z tego sprawę, dając hasło do wzniecenia nastroju zagrożenia imperium (równego temu z roku 1812), co zaowocowało olbrzymim napięciem „patriotycznym” (tzn. rozkołysało wielkoruski szowinizm). To nie tylko obrażona dumą państwową, nie tylko świadomość, że liberalne ustrojowo Królestwo to istny

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

ale w ogóle z europejską tradycją polityczną. Wynika to z jego genezy. Zauważmy bowiem, że prawidłowością wszelkiej rewolucji jest to, że nowo powstała władza na pewnym etapie upodabnia się pod względem formy do reżimu obalonego. Cromwellowski pomysł Lorda Protektora był imitacją monarchii Stuartów, cesarstwo napoleońskie było groteskową, ale i groźną zarazem, repliką monarchii burbońskiej. System stalinowski był pod względem formy repliką klasycznego systemu carskiego. System ten, co do idei niesprzeczny z rosyjską tradycją polityczną, na gruncie polskim był tworem obcym i niezrozumiałym. Z tego też powodu szukać wyjaśnienia pewnych niezrozumiałych dla społeczeństwa cech przedsierniowego systemu politycznego, przede wszystkim owej sfery nadrzeczności, unoszącej się nad systemem. W systemie tym przechowywały się bowiem pewne refleksy dawno umarłego, gogolowskiego świata czynowników i naczałników.

Grupa sprawująca w Polsce do Sierpnia absolutną władzę jest produktem tego systemu. Jej istnienie jest ściśle związane z tak ukształtowaną strukturą podziału władzy, w której niespotykanej kumulacji władzy na jednym biegunie odpowiada całkowite wyłączenie z praw na dru-

giej niezadowolony, wówczas ją po prostu zmienia. Jeśli natomiast lud podpisuje kontrakt z władzą, to oznacza to, że posiada ona własny, niezależny od społeczeństwa mandat. Jak trafnie zauważył J. Jedlicki, umowa społeczna zakłada konstrukcję podzielonej suwerenności: podmiotowej suwerenności społeczeństwa i niezależnej od niej podmiotowej suwerenności władzy.¹⁾ Tę logikę sytuacji odzwierciedla zniknięcie z frazeologii propagandy jakichkolwiek uzasadnień istnienia aktualnej władzy. Na dobra sprawę jedynym uzasadnieniem, które słyszymy, jest argument geopolityczny. Przy okazji upadła cała ideologia zastana systemu. Znaczącym tego przykładem jest zniknięcie sztan-darowej niegdyś tezy o dyktaturze proletariatu, która to teza — wobec istnienia 10-milionowego związku zawodowego par excellence proletariackiego — nabiera nieprzyjemnej dwuznaczności.

Warunkiem utrzymania systemu było uznanie przez niego niezależnej podmiotowości społeczeństwa. W ten sposób system zmuszony został do zaprzeczenia samemu sobie i to jest drugą najważniejszą, natychmiastową konsekwencją podpisania umowy społecznej.

Podpisanie umowy społecznej przez wielu zostało błędnie odebrane jako koniec rewolucji, podczas gdy w istocie rewolucję tę dopiero zaczynało. Fakt, że jej przebieg odbiega

Owa przejściowa teza ustrojowa przybierze najprawdopodobniej formę państwa umowy społecznej. Ostateczny kształt tej formy państwa jest w tej chwili trudny do określenia. Składać się na nią będą prawdopodobnie trzy elementy: po pierwsze — samorząd gospodarczy, po drugie — rozciągnięcie społecznej kurateli nad władzą rządową, jako doraźny środek stymulujący efektywność działalności władzy w sferze gospodarczej i w trzeciej wreszcie kolejności — reforma sejmu i rad narodowych w kierunku zapewnienia tym organom minimum reprezentatywności społecznej. Nie miejmy jednak złudzeń: państwo umowy społecznej nie będzie ustrojem pokoju klasowego.

Powróćmy teraz do pytania zadanego na początku: jaki jest sens przemian ogólnego charakteru państwa. Społeczno-ekonomiczny sens przemian jest — jak się wydaje — dostrzegalny już w regulacji prawnej samorządu przedsiębiorstw. Mamy tu do czynienia z podziałem uprawnień władz: zachowana została zasada państwowego charakteru własności środków produkcji, ale z drugiej strony bezpośredni wytwórcy nie są już pozbawioną wszelkich praw władzą masą siły roboczej. Społeczna treść własności uległa istotnemu przekształceniu: przy zachowaniu formalno-prawnej zasady jednolitości własności państwowej w sferze rzeczywistości społeczno-ekonomicznej mamy do czynienia z

NARODZINY PAŃSTWA PROTOSOCJALISTYCZNEGO

gim. Zauważmy, że zarówno demokratyzacja systemu, zarówno polityczna jak i ekonomiczna (w sensie udziału ludzi pracy w zarządzaniu środkami produkcji) nie tylko podważa panowanie tej grupy, lecz wręcz grozi jej likwidacją; staje się ona bowiem po prostu zbędna. Z tego też powodu system nie może dopuszczać jakichkolwiek niezależnych form aktywności społecznej, jakiegokolwiek zorganizowania społeczeństwa. Może istnieć tylko w warunkach społeczeństwa zatomizowanego.

Immanentną wadą systemu była jego nieefektywność i niezdolność do zaspakajania podstawowych oczekiwań społecznych. Główną tego przyczyną był paraliżujący wyższą hierarchię strach, że przez korektę systemu (choćby przez dopuszczenie do innych kryteriów doboru kadry niż dyspozycyjność i posłuszeństwo) samoograniczy ona swą władzę. Zauważmy, że dla odciągnięcia katastrofy systemu nie potrzeba było wiele: wystarczyłoby prawdopodobnie we właściwym czasie wdrożyć reformę gospodarczą typu menedżerskiego (choćaby na wzór Węgrów), aby system przynajmniej na jakiś czas był zdolny do życia. Na przeszkodzie stałoby jednak wąskie widzenie interesu klasowego przez najwyższych hierarchów: nawet bowiem skromnie zakrojona reforma gospodarcza zakłada konieczność udzielenia pewnego limitu niezależności menedżerom, to zaś klóci się z zasadą nieskrępowanego dyktatorskiego zarządzania gospodarką przez najwyższych hierarchów (zasada „jednolitej własności państwowej” w jej rzeczywistej społecznej treści). Jeśli teraz immanentną nieefektywność systemu skojarzymy z funkcjonującymi w społeczeństwie oczekiwaniami (będącymi — jak wcześniej wspomniano — reliktoem zachowaniami formami świadomości rodem z poprzedniej formacji) w zakresie postępu materialnego, to stwierdzimy, że system sam wyzwalał mechanizm samodestrukcji.

Od sierpnia 1980 mamy do czynienia w Polsce z prowadzoną metodami biernego oporu rewolucją przeciwko dotychczasowej strukturze podziału władzy w sferze ekonomicznej i politycznej. Różnica w stosunku do poprzednich rewolt klasy robotniczej polega na tym, że szerokie masy społeczne zrozumiały niemożność doprowadzenia do minimum efektywności systemu bez uprzedniej reformy podziału władzy w społeczeństwie. Z przyczyn poprzednio omówionych reforma struktury podziału władzy godzi w sens i istotę systemu. Z tego też powodu podpisanie umowy społecznej nie jest początkiem ewolucji systemu, lecz początkiem jego rozkładu.

Zawarcie umowy społecznej wywarło dwa natychmiastowe skutki. Po pierwsze: unicestwiło pozory ludowej legitymacji władzy. Jeśli władza jest ludowa, to jeśli lud jest z

od dotychczas występujących w historii form walk rewolucyjnych, nie zmienia jej istoty. Metoda biernego oporu, stosowana przez siły rewolucyjne, implikowała stosowanie przez władzę metod innych, niż przelew krwi: eskalację napięcia, tworzenie psychozy zagrożenia, zastraszanie i działanie na zmęczenie.

Rewolucji nie da się zatrzymać w pół kroku, społeczeństwo nie chciało i nie mogło zatrzymać się na drodze likwidacji systemu, w którym nie ma już społeczeństwa, lecz wszystko państwowe. Rzeczywisty charakter systemu stał się jasny w momencie przystąpienia do uposażniania ekonomiki. Krok ten był konieczny właśnie ze względu na pogłębiającą się nieefektywność systemu, dowiedzioną niemożnością zahamowania rozkładu ekonomiki. Wtedy z całą jasnością okazało się, że w systemie naszym oddzielenie ekonomiki od polityki jest niemożliwe. Nie została więc dotąd rozstrzygnięta najważniejsza sprawa: struktura podziału władzy. Tym samym nie możemy mówić o istnieniu w chwili obecnej jakiegokolwiek trwałej formy ustrojowej. Nadal jesteśmy świadkami kolejnych stadiów rozkładu systemu. Dodajmy tu, że system nie tyle jest obalany, co raczej sam się rozkłada, nie mogąc z siebie wykrzesać minimum efektywności.

Nie wydaje się możliwe skonstruowanie trwałej formy państwa, która uwzględniaby zarówno interesy zrewoltowanego społeczeństwa, jak i grupy władców. Interesy te bowiem — jak poprzednio wskazałem — wzajemnie się wykluczają i pokój klasowy jest na dłuższą metę niemożliwy. Nie oznacza to jednak, że nie jest możliwy czasowy kompromis. Proces rewolucyjny w Polsce ma bowiem i drugą, bardzo specyficzną cechę: otóż obie strony są sobie w jakimś sensie wzajemnie potrzebne. Społeczny ruch rewindykacji potrzebuje utrzymania dotychczasowej władzy ze względów — trzymajmy się tego określenia — geopolitycznych, a ponadto w chwili obecnej nie jest w stanie przejąć władzy choćby ze względu na brak elity do tego zdolnej i z powodu wewnętrznej niejedności tego ruchu. Władza potrzebuje współpracy z ruchami i organizacjami niezależnymi, bo nie jest w stanie sama sprawować swych funkcji chociażby ze względu na brak jakiegokolwiek autorytetu. Musi natomiast zdobyć się na minimum efektywności, jeśli nawet nie z powodów ogólnospołecznych, to chociaż ze względu na sojuszników, których polski kryzys mocno dotyka. Tu należy szukać genezy podejmowanych niedawno nerwowych prób aliansu z Kościołem: jest to próba szukania choćby cienia społecznego uznania dla władzy. Ostatnie spotkanie „wielkiej trójki” świadczy jednak, że do władzy dotarła świadomość, że bez porozumienia z „Solidarnością” nie można w tym kraju rządzić.

podziałem uprawnień dysponowania środkami produkcji. Mamy więc do czynienia jak gdyby z własnością podzieloną na wzór feudalnej konstrukcji praw: własności użytkowej i własności zwierzchniej. Tym samym uchylona zostaje podstawowa zasada konstytuująca typ państwa. W systemie totalnego upaństwowienia, zwanym niefortunnie państwem socjalistycznym pojawił się wyłom, podważający panowanie grupy wywłaszczycieli. Poprzez częściowe oddzielenie władzy ekonomicznej od politycznej system ten stracił swoją dotychczasową wewnętrzną logikę. Stan ten jest pogiębiony przez demokratyzację reżimu politycznego i likwidację przywilejów grupy dotychczas uprzywilejowanej, a więc przez przemiany w sferze formy państwa.

Jeśli przez państwo socjalistyczne określać będziemy — zgodnie z ideologią i programami socjalistycznymi — państwo oparte o społeczną własność środków produkcji, to kształtujące się w Polsce państwo umowy społecznej nazwiemy państwem protosocjalistycznym i uznamy je za jeden z etapów przejściowych na długiej i zawilej drodze budowania państwa socjalistycznego. Patrząc z drugiej strony, uznamy je za główny etap rozkładu formacji społeczno-ekonomicznej, która wyrosła na peryferiach ogólnego rozwoju dziejowego — nie nazwanej formacji totalnego upaństwowienia.

JERZY PAŁOSZ

¹⁾ Za najlepszą tego rodzaju analizę uważam mało niestety znaną pracę S. Magali pt. „Walka klas”, umieszczoną w 3 n-rze „Sigmy”.

²⁾ Celowo pomijam tu wyróżnioną przez L. Nowaka władzę ideologiczną. Wprawdzie zgadzam się z ogólną myślą L. Nowaka, lecz uważam, że właśnie jedną ze specyficznych cech systemu polskiego było to, że nigdy do końca nie opowiadał on tego wymiaru władzy. Na przeszkodzie stanął tu Kościół katolicki. Jest rzeczą przyszłości historyka ustalić, do jakiego stopnia ten wyłom przyczynił się do ostatecznego rozkładu systemu.

³⁾ S. Magala, op. cit., str. 10.

⁴⁾ Przytoczmy tu fragment znanej pracy W. Hansena o monarchii Mogolów: — „Gdyby szlachectwo było dziedziczne, cesarz nie mógłby ani wywyższać, ani unieważniać ludzi samą tylko mocą swego autokratycznego rozkazu. W mogolskich Indiach samolubni arystokraci bacznie obserwowali „z której strony wieje wiatr”, dochodząc lub cynicznie odmawiając posłuszeństwa w zależności od przebiegu walki o koronę (...). Nie mogąc zostawić majątku swym krewnym, mogolscy arystokraci otaczali się obłędnym zbytkiem”. Jak widać podobne struktury społeczne implikują podobne zachowania ludzi.

⁵⁾ J. Jedlicki, Forma i treść umowy społecznej, NOWA 1980 r., passim.

„Muzycy postępowi całego świata nie mogą dłużej patrzeć spokojnie na złowrogi obraz deformacji współczesnej sztuki muzycznej. Czujemy wszyscy zrozumiały niepokój o losy muzyki współczesnej. Dlatego muzycy postępowi wszystkich krajów coraz częściej podnoszą głos w obronie realizmu, przeciw rozkładowi i zgubnym wpływom formalizmu”.

Tak na II Międzynarodowym Kongresie w Pradze w 1948 r. uzasadnili kompozytorzy i krytycy muzyczni potrzebę powstania Stowarzyszenia Muzyków Postępowych. Memorandum sformułowała strona radziecka. Uczestnicy Kongresu zaakceptowali ją i... rozpoczął się, także w Polsce, stopniowy upadek kultury muzycznej, pełen nieporozumień, kompromitacji i osobistych dramatów.

Wszystko na odwrót. Pod hasłem odrodzenia „prawdziwej” muzyki papier nutowy kompozytorów i uszy słuchaczy zalewał banal. Miejsce racjonalnie uzasadnionej ewolucji stylistycznej, kontynuacji dróg i poszukiwań twórczych zajęły mniej lub bardziej udane pastisze muzyki ludowej, pompacyjna dziesiąta woda po XIX-wiecznej symfonice i pisane w ogromnych ilościach pieśni masowe. W mię wálki ze zgnilizną Zachodu, konsekwentnie odcięto naszą kulturę muzyczną nie tylko od najświeższych prądów, ale praktycznie od niemal całego XX-wiecznego dorobku muzycznej Europy.

Przykład idzie z góry. Wzorować się wolno było tylko na twórczości — jedynie słusznej — **odgórnie** aprobowanych kompozytorów radzieckich. Kompozytorów, których do pisania pod dyktando władzy przymuszano już od dobrych paru lat.

Już w 1936 Dymitr Szostakowicz został potępiony oficjalnie za eksperymenty techniczne w operach „Nos” i „Lady Macbeth”. Partia Nosa była wykonywana przez śpiewaka przy zatkanym nosie, akompaniament opierał się głównie na perkusji, a wszystkie wokalne partie stanowił atonalny recytatyw. Z kolei muzyka do „Lady Macbeth” ilustrowała kaszel, chrapanie itp. Ten niesmaczny naturalizm można było jeszcze młodemu (autor „Nosa” miał 22 lata) kompozytorowi wybaczyć. Jednak jako godny ubolewania uznano fakt, iż — jak się wyraził jeden z publicystów — **ideologia tych oper daleka była od spraw, którymi żył wówczas radziecki człowiek.**

— Tak jak murarz walczy o pokój i socjalizm cegłą, hutnik tonami stali, tak kompozytor walczy swoim dziełem — pisano w jednym z ówczesnych artykułów popularnonaukowych.

Po wybuchu II wojny światowej kompozytorzy mieli szczególną możliwość urzeczywistnienia tej myśli. Stosownie do wskazówek władzy pracowali w armii i dla armii. Jedną po drugiej powstawały symfonie sławiące radziecki oręż i potęgę ojczyzny. Szostakowicz, przywrócony

w międzyczasie do łask m. in. za patetyczną „Symfonię Leningradzką” powiedział po demobilizacji: — Wojna skończona, możemy odpocząć.

Odpoczynek nie trwał jednak długo, bo zbliżała się 30. rocznica Rewolucji Październikowej, którą należało godnie uczcić (nie mówiąc już o konieczności upamiętnienia w muzyce zwycięstwa nad Hitleem). Tymczasem w 1946 roku sekretarzem KC Partii, odpowiedzialnym za stan kultury mianowano Andrieja Zdanowa, z poleceniem przeprowadzenia generalnych porządków. Teraz dopiero zaczęło się prawdziwe dyrygowanie kompozytorami! Zdanow organizował z artystami lub intelektualistami spotkania — nazywano je „debatami twórczymi” — na których doprowadzał do sytuacji wzajemnego poniżania się. Przy pomocy insynuacji, gróźb, pochlebstw, a także wykorzystując skrywane zazdrości, personalne pretensje doprowadził do skłócenia środowiska. Ważnym aspektem zdanowskiej inkwizycji były ponadto „wyznania” i „wyparcia się” grzeszników.

Z okazji 30. rocznicy Rewolucji, gruziński kompozytor Wano Muradeli (były kierownik artystyczny Centralnego Zespołu Radzieckiej Marynarki Wojennej) stworzył operę „Wielkaja Družba”. Dzieło to, pomyślane jako hołd złożony rodzinny stronom Stalina, było muzyczną opowieścią o komunistycznym komisarzu Ordżonikidze, który odegrał wielką rolę w [— — — —] [Art. 2 p. 3 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk z 31. VII 1981. Dz. U. nr 20 poz. 99] Gruzji. Na moskiewską premierę wydano 600 tysięcy rubli. Zdanow obejrzał zamknięty spektakl i wyszedł zdegustowany. Nie spodobała mu się ani muzyka, ani libretto. W rezultacie przedstawienie zdjęto z afisza, a kompozytor został publicznie zmieszany z błotem.

Zdanow spotkał się w obecności Muradelego również z Leontiewem, ówczesnym dyrektorem Wielkiego Teatru. W wyniku wymiany zdań jaka nastąpiła, Leontiew zmarł na atak serca.

Powód takiego potraktowania kompozytora i jego dzieła był banalny: antagonizm pomiędzy Stali-

nem a Ordżonikidze (o czym nie-szczęśliwi twórcy opery nie mogli przecież wiedzieć...). Ale dopiero w 1956 roku na XX Zjeździe Chruszczow ustosunkowując się do tego wydarzenia zasugerował, że Ordżonikidze został przez Stalina zmuszony do samobójstwa (faktem jest, że komisarz umarł w niewyjaśnionych okolicznościach, w czasie „czystki” w 1937 roku).

Opera Muradelego zadziałała jak kij włożony w mrowisko. 10 lutego 1948 roku Komitet Centralny podał do publicznej wiadomości tzw. „Rezolucję w sprawie opery „Wielkaja Družba” W. Muradelego”. Skrytykalizowano zarzuty: brak melodii, niedostateczna charakterystyka muzyczna sytuacji i postaci, inklinacje do kakofonii. Zarzut co do libretta był związły: zawiera niedokładności historyczne.

Potępienie Muradelego było jedynie pretekstem do sformułowania dyrektywy dla kompozytorów oraz wytyczenia celu polityki kulturalnej. Celem tym była walka przeciwko formalizmowi, naturalizmowi (przeciwstawianemu „prawidłowemu” realizmowi), modernizmowi i

wszelkim innym westernizmom. Przecistawiono fałszywą, brzydką, idealistyczną muzykę formalistów pięknej, naturalnej, zdrowej i postępowej muzyce radzieckiej. W rezolucji pełno jest ataków na czołowych współczesnych kompozytorów radzieckich: Miaskowskiego, Prokofiewa, Szostakowicza i Chaczaturiana. Zostali oni oskarżeni o „formalistyczne skrzywienia” i „antydemokratyczne tendencje” oraz alienację od ludu radzieckiego i jego smaku artystycznego. Konsekwencje w takich przypadkach były proste: brak pracy, uniemożliwienie prezentacji nowych utworów i wykreślenie z planów wydawniczych.

Dla Szostakowicza represje nie były niczym nowym, bo przeżył już przecież podobne w 36 roku. Na Rezolucję z 48. odpowiedział: — Kompozytor nie powinien obrażać się na krytykę. Powinien się czuć urażony, gdy nie jest krytykowany. Stwierdził także: — Myślałem, że udało mi się wykorzystać zgubne elementy muzycznego stylu, a tymczasem znów zwróciłem się w kierunku formalizmu i zacząłem posługiwać się językiem niezrozumiałym dla ludzi. Wiem, że Partia ma rację. Jestem głęboko wdzięczny za krytykę zawartą w rezolucji. (List opublikowała „Sovietska Muzika”). W marcu 1949 Szostakowicz został zaproszony do USA na Konferencję Kulturalno-Naukową. W swoim wystąpieniu powtórzył powyższe sformułowania. Skrytykował Strawińskiego, że zdradził swój kraj, aby dołączyć do obozu reakcyjnej muzyki, na koniec zaś dodał, że jego rodak Prokofiew jest w niebezpieczeństwie powtórnego wpadnięcia w formalizm, jeżeli zbagatelizuje wskazówki Partii.

Prokofiew nie ośmielił się jednak zbagatelizować wskazówek Partii! Około 1950 roku rozpoczął pracę nad operą „Opowieść o prawdziwym człowieku”. Mimo jednak, iż bardzo się starał, to i tak została ona odrzucona przez Partię jako modernistyczna i pozbawiona melodii. Dopiero nad rok przed śmiercią (a zmarł w 1953 roku, tego samego dnia, co Stalin) zrehabilitował się oratorium „Na straży pokoju” i poematem uroczystym „Wołga spotyka Don”.

Drozy towarzysze — Stalin nie wygląda tak, jak go przedstawiają fotografie. Stalin wygląda tak, jak go przekazują portrety. Jest piękny i żywy. (...) Tego wieczoru dziełem swoją uwagę na dwoje (mowa o koncercie muzyki polskiej w Moskwie, na którym autor tych słów dostąpił zaszczytu zobaczenia Stalina — przyp. DK). Każdej pieśni w myślach akompaniowałem i wszystko, co było dobre i co się udało — a udawało się wszystko — niostem wzrokiem do tamtej łóży (...) Gdy nasi chłopcy i dziewczęta zaśpiewali mu piosenkę o nim wprost z serca do serca „Oj kak stało zielieno” —

towarzysze Malenkow, Beria, Mołotow, Woroszyłow i Chruszczow nachylił się z uśmiechem żartując prawdopodobnie z bezpośredniego zaadresowania piosenki (z artykułu J. Wilczka „Widziałem Stalina” zamieszczonego w „Muzyce”).

W czasie, kiedy w ZSRR osiągał swe apogeum model kultury, zapoczątkowany i narzucony przez Zdanowa i realizowany przez szefa Związku Kompozytorów Radzieckich, [— — — —] (Art. 2 p. 3 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk z 31. VII 1981) w Polsce odbył się w Łagowie zjazd polskich kompozytorów i krytyków muzycznych. Było to w sierpniu 1949. Zofia Lissa, wówczas czołowa teoretyczka nowej ideologii w muzyce, nazwała zjazd łagowski *katharsis kompozytorskim*. Pisała: — *Gdy Rudziński wyraźnie postawił sprawę: ja wiem w jakim nurcie chciałbym, aby moje nazwisko pozostało — wiedzieliśmy i czuliśmy, że nie on jeden to wie (podkr. Z. L.). Zjazd łagowski wyraźnie powiedział „nie” wobec formalizmu, zawsze jeszcze buszującego w naszej twórczości muzycznej.*

Co właściwie kryło się pod nazwą potępionego formalizmu? Trudno było to sprecyzować nawet najbardziej zagorzalemy órdownikom nowego stylu, nazwanego przez Lisę w jednym z artykułów *romantyzmem socjalistycznym*. Wiadomo było w każdym razie, że zła jest każda muzyka nie mająca programu literackiego, który kierowałby myśl słuchacza ku „słusznym sprawom”, czy choćby tytułu wywołującego właściwe skojarzenia. Powodowało to oskarżenia twórcy o beztreściwość, upodobanie do abstrakcji i przedkładanie formy utworu nad jego wymowę. Zła była każda muzyka religijna, czy choćby sugerująca przeżycie metafizyczne. Zła była niemal cała muzyka XX wieku, a zwłaszcza C. Orff — bo kojarzył się z Hitlerem i faszyzmem w ogóle (z tego samego powodu zakazany był też wielki Ryszard Wagner), O. Messiaen — bo jego muzyka przepełniona była uczuciami religijnymi, I. Strawiński — bo wyjechał ze Związku Radzieckiego i zaczął pisać dzieła powierzone warstwą kosmopolitycznego pokostu, dzieła niezdołne poza garstką snobistycznych znawców wzruszać nico (S. Jarocinski, „O angielskim liberynie, emigracyjnym rosyjskim kuglarzu i francuskiej trzeźwości”). A już przede wszystkim zła była dodekafonia, bo ten nowy porządek tonalny, wprowadzony w miejsce systemu dur — moll, do którego tak nawykły europejskie uszy od czasów J. S. Bacha, brzmiał zbyt obco dla ówczesnych prominentów zawiadujących sprawami kultury. Nie można oczywiście wykluczyć, że gdyby ojciec dodekafonii Arnold Schönberg urodził się w Moskwie, to być może jego rewolucyjny, zrywający z dotychczasową tradycją język muzyczny zostałby zaaprobowany i ogłoszony jedyną słuszną drogą rozwoju muzyki w niespokojnych latach wykluwania się młodego państwa radzieckiego.

Jest to oczywiście żart, bowiem wbrew głoszonemu postulatowi nie popierano przecież żadnych nowych stylów i nikt z władz kulturalnych nie pragnął pojawienia się rzeczywiście rewolucji języka muzycznego. Nie na darmo potępiano Prokofiewa za twórcze eksperymenty.

Muzyka słuszną była banalna, oparta na nieskomplikowanym przebiegu harmonicznym tradycyjnego systemu dur — moll, wykorzystująca elementy muzyki ludowej i wreszcie — opatrzona odpowiednim tytułem. Pisano więc muzykę mającą w tytule „ludowa”, „polska”, „ślaska” itp. Powstawały symfonie programowe o tytułach: *Symfonia Pokoju* — Panufnika, *Symfonia Zwycięstwa* — Skrowaczewskiego, itp. Charakterystycznym zaś zjawiskiem było wówczas krzyżowanie symfonii z kantatą, umożliwiające wprowadzenie tekstu: zwiększało to czytelność muzyki dla szerokiego odbiorcy, a zwłaszcza — propagandowe możliwości utworu muzycznego. Tak powstały: „Ślask pracuje i śpiewa” Maklakiewicza „Poemat Bohaterski” Szabelskiego, „Dwa miasta” Krenza,

„Kantata o pokoju” Skrowaczewskiego, „Kantata na pochwałę pracy” Wojtkowicza itd.

We wprowadzaniu w życie muzycznego socrealizmu (a co za tym idzie w zahamowaniu rozwoju polskiej twórczości muzycznej) ogromną negatywną rolę odegrali publicyści, a także muzykolodzy. To oni zalecali i nakazywali. Rozdawali cenzurki, gamili i głaskałi. Jednocześnie opinie wyrażane przez owe wyrocznie stanowiły transpozycję poglądów partyjnych decydentów (nie jest bowiem możliwe, żeby wykształcony, na dodatek przed wojną, tetryk muzyki mógł mieć tak bezsensowne poglądy). Byli „tubą” władzy i wykonywali swoją powinność zdumiewająco słownie.

Do zadań publicystów należało formowanie gustu i świadomości muzycznej słuchaczy oraz przekazywanie zaleceń „góry” kompozytorom, a nawet, w pewnym sensie, egzekwowanie rezultatów.

Zadanie pierwsze nie było trudne. Polegało przede wszystkim na propagowaniu, wręcz faszerowaniu uszu słuchacza socrealistyczną muzyką. Dla przykładu — głos J. Jasieńskiego na Ogólnopolskiej Naradzie Muzycznej: — *Przeciwnik, zresztą wróg, znajduje się nie tylko obok nas, ale i w nas samych (...)* Pamiętając o tym musimy pomóc i sobie samym i wszystkim ludziom, do których docieramy z nową sztuką (...) *byśmy łatwiej mogli uzbroić się emocjonalnie przeciw rożnym podstępom i zakusom wroga, byśmy się łatwiej zmobilizowali wokół zadań, które stawia przed nami Partia i Rząd Ludowy (...)* Kantata „Na straży pokoju” Prokofiewa, oratorium „O lasach” Szostakowicza, kantaty o Stalinie Chaczaturiana, Aleksandrowa, Gradsteina, „Murarze warszawscy” Sierockiego, „Kantata o pokoju” Skrowaczewskiego i wiele innych powinny znajdować się w żelaznym repertuarze każdej filharmonii.

Z drugiej strony eliminowano „formalistyczną” muzykę z radia oraz nazwiska źle widzianych kompozytorów z publikacji. A dla pewności co jakiś czas publikowano następujące wypowiedzi: — *Próba wyłama-nia się z tych założeń (chodzi o tradycję muz. — przyp. DK) twórców abstrakcjonizmu muzycznego w osobach Hi demitha i Schönberga, która to próba była wyrazem ideologicznego nacisku ginącego świata imperia-lizmu, zakończyła się likwidacją muzyki jako dzieła sztuki, jako zjawiska społecznego, jako produktu ludzkiego uczucia — W. Sokor-ski na zjeździe kompozytorów w 1950 r.*

— *W okresie imperia-lizmu burż-aria przedstawiała Bacha fałszywie jako formalistę i wyrazi-cie-la bez-treściowego, zimnego przepychu formy (...)* Dopiero po rozbi-tu niemieckiego faszyzmu przez armię ZSRR klasa niemieckiego imperia-lizmu otworzyła drogę do prawdziwej, obiektywnej oceny i kultu Bacha — wypowiedź kierownictwa Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec w sprawie obchodów rocznicy śmierci Bacha; (była to zresztą JE-DYNA publikacja w „Muzyce” o za-chodniej muzyce i jednocześnie o klasyce nie-polskiej na przestrzeni pól roku).

Natomiast w stosunku do kompozytorów stosowano w zasadzie trzy metody:

— sterowanie na „właściwe drogi” rozwoju,
— chwalenie przykładu pozytywnego, godnego naśladowania (publikacja analizy konkretnego utworu),
— pouczenie i próba nawrócenia kompozytora, jeśli ten nie stosował się ściśle do uznanych wzorów.

Potępienie kompozytorów polskich właściwie nie stosowano. W przypadku kilku kompozytorów, którzy wyjechali nie mogąc dłużej znieść socrealistycznego kagańca, zastosowano metodę najprostszą — skazanie na niepamięć.

Metodę pierwszą doskonale ilustruje program pracy Związku Kompozytorów Polskich przyjęty na Zjeździe w 1950 roku:

1. Kształcenie ideowe kompozytorów (kursy marksistowskie, dyskusje ideologiczne, lektura)
2. Tematyka prac. Zadania szczegółowe:
— *pieśń masowa (zadanie najpilniejsze) muzyka dla dzieci, zespołów amatorskich, zespołów dętych, wojska, wokalna muzyka estradowa, muz. pedagogiczna, muz. operowa i baletowa, (i dopiero teraz! — DK) kameralna, symfoniczna, rozrywkowa...*
3. Poznanie potrzeb terenu: każdy kompozytor powinien odbyć przynajmniej 2-tygodniowy staż w...

Skąd w tobie jasność, mężczyzno?
Nie czułeś się pokrzywdzony w kolejkach,
nie czułeś się pokrzywdzony bez mieszkania,
a przecież nie poprzestawałeś na małym,
ponieważ nie zostałeś ani buntownikiem,
ani jednym z oszukanych.
Skąd w tobie jasność, mężczyzno?
że nie jesteś ani okrutny ani gwałtowny.
Zawiedzeni słuchają twojego głosu tłocząc się na skwerku,
w sklepie, w przepelnionym przedziale kolejowym, na
wyspce przystanku autobusowego.
skąd zaraz odjeżdżasz jak każdy nieznajomy.
Zawiedzeni słuchają tego tonu w twoim głosie,
z którego dali się obrabować irytacją i lękami.
Nie ma innej poezji, dlatego otoczyli cię ciasnym kołem
i pytają.
I nie jest to ani lek na uspokojenie,
ani żadna inna pigułka chemicznej przemocy,
kiedy ich potwierdzasz że słusznie robią stojąc w kolejkach
cierpliwi i wyrozumiali wobec słabszych, bo
nieopanowanych —
jest to nieodwołalne, nie jak dar, nie jak samobrona, nie
jak konieczność
ale jak sens, ostry, surowy, jedyny.
Można odwołać się do modlitw, do ciszy, do skupienia —
są to prywatne sprawy
ale ocalenie światła jak latarki rozświetlającej nam chaos
i zamieszanie
jest tym co każdy z nas musi zdobyć do życia
wpiąć w przed chlebem i butelką mleka.
Skąd w tobie jasność, mężczyzno?
że nie chorujesz na własną niewinność
ani nie wyolbrzymiasz policzków, grózb i tego nieustannego
przymuszania.
Łagodną perswazją opierasz się jednako przemocy czyichś
już
oskarżycielskich sądów
i przemocy dobroci,
ponieważ dobroć znieważa cię swoją łatwością i tanim
porozumieniem.
Nie czułeś się pokrzywdzony ani w kolejkach,
nie czułeś się pokrzywdzony bez mieszkania,
nie czułeś się nawet pokrzywdzony, kiedy wylewano cię
z pracy.
Czego ty pilnie strzeżesz — czegoś co nie jest tajemnicą
ale powszechnie jest niezrozumiałe —
przed pochopnym sądem, bo może się okazać kiedyś zwykłym
pomówieniem.
przed agresywną odpowiedzią, bo agresja podtrzymuje
każdą formę przemocy,
przed siłą, bo konczy się okrucieństwem,
przed lękiem, bo zniekształca ludzką twarz,
która jest piękna.

Wiemy: kobiecie, która wstaje o piątej rano,
Wiemy: temu światowi,
który łagodnie wywaja ją do życia,
przemysła i namaszcza światłem dziennym krzewy za oknem,
potaje jej troskę
a ona napelnia ją kolejką po chleb i mleko
i rozniecaniem ognia pod płytą.
Wiemy: temu co wnoszą jej ręce
na stół. Czy będzie to szklanka mleka
czy kwiaty ściete za oknem i postawione w wazonie,
aby rozświetlać godziny dnia
jasniące i ciemniejące od zmęczenia pod wieczór.
Wiemy: temu co jest jej ciszą
a co z boku wygląda na modlitwę cielesną i żarliwą.
Dokąd w tej wętrocie milczy
i przez co przechodzi
zna tylko lekarz, który długo bada jej serce.
Wiemy: temu co dla niej jest święte,
bo zwykłe. Czego broni chodzeniem, wnoszeniem,
wynoszeniem,
sporządzaniem, mówieniem
i co potwierdza poważnie
w wieczornej modlitwie.

Maszynę do szycia „Singer” wychwalam,
z niej chleb, i przenoszenie rąk ojca
na moją głowę w niedzielę przed południem.
W niej jak w morzu czterdzięci lat ojca zatopionych,
czterdzięci lat upartych
dochodzącego człowieka
do soli i prawdy życia.
Z niej chleb i to co miałem do życia
w świąteczne uniesienie.
Z nią ojciec niejedną noc
przeadał i przepiewał.
Z niej prawda ostateczna wynika
jak nieustająca muzyka
ludzi dających przedmioty
zaprzeczających grozie.
Ona rzuciła wyzwanie
pogardzie nocy człowieka.
Zalśniła i minęła
jak zalśnił i minął człowiek,
który na niej pracował
nad stawianiem się świata
w jednej z tysięcy pracowni.
Zalśniła i minęła.
Je t echem: Ziarnem. Pamięcią.
Nie aplacona radość.
Chyba porankiem nad wodą.
Maszynę do szycia „Singer” wychwalam —
jej igła, jej czółenko, jej kółko, jej rzemyk — ostateczne.

Niepomnożony niech będzie wysilek twoich mięśni
o obcą postać,
niepomnożona twa maszyna, twe narzędzie
o skryty cel
przez jawnych i rozumnych osiem godzin
Masz czym się dzielić i masz z kim.
Z kimś nieznajomym takim jak ty.
Broniącym życia jasną twarz.
Niepomniejszona twoja radość
z potu, zmęczenia i przedmiotów,
kiedy nad taśmą się pachylasz,
by podnieść je do piękna kształtu,
by w czyichś rękach się spełniły.
Niech będzie
niepomnożona twa niedziela.
Cudze ma być — nie twoje,
i niepewność, i lęk.
Kiedy przechodzisz przez nowo otwarty most
musisz mieć w nim jasny własny udział,
jeżeli to co ty robisz, co robią inni,
tu jest piękne.

Cudze ma być — nie twoje,
i niepewność, i lęk.

WIERŠE ZWYKŁE



LESZEK ALEKSANDER
MOCZULSKI

Do dła swa dłoń przykładasz,
do moich myśli przykładasz.
Chcesz abym myślał rzeczowo
i wydał przedmiot lub owoc.
Z pasją tańczysz na tańcarce
i czekasz na trzeźwe rozumu
moją, by cię ochłodzić —
nie możesz dłużej w gorączce.
Ciosasz belkę na strop.
Kaptan ciężko pracuje —
podnosi ręce i świadczy
na chwałę twojego domu.
I rośnie ogromny gmach
koślawiac łagodne niebo.
Modlitwą, dźwiętem, tokarką
prostujemy co jest skrzywione.

Poezja praw.
Poezja kształtu drugiego człowieka.
Współodczuwanie się do bólu.
Radość z istnienia drugiego.
Rozmowy ale tylko takie, w których się kształtujemy obaj,
Radość sprzeciwu, dary potwierdzania.
Poezja praw. Przeciw negacji i spustoszeniom.
Poezja praw. Godność.

A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest,
Nie, nie. A co nad to więcej jest, od złego
jest.
(Z Ewangelii św. Mateusza)

Twoje małowmne „nie”.
Sprzeciw bez buntu.
Głos nieoszukanych.
Praca za sensem.
Poezja praw.
Godność zamiast wyzwania.
Cierpliwość, ponieważ ma kształt.
Zrozumienie innych, ponieważ odczuwasz silniej niż inni
własną słabość.
Niechorowanie na śmieszność.
Dialog z ciszą, ponieważ doświadczyłeś obecności Boga.
Twoje małowmne „nie”.
Silne korzenie mowy.

Współodczuwanie, ponieważ obcy człowiek może zabołć cię
z fizycznym poczuciem bólu.
Pokora, ponieważ częstka krzyża jest twoją codziennością —
w wysiłku i równowadze.
Twoje małowmne „nie”.
Niechęć w posługiwaniu się pogardą, dlatego pracujesz
dłużej niż inni,

omijając jej tanie pokusy.
Potwierdzanie piękna linii, wyraźnego kształtu,
potwierdzanie,
potwierdzanie aż się wyłoni kształt stołu, sprzętów, domu.
Nienamawianie a świadczenie.
Odrzucanie, odrzucanie w ciszy i przed sobą tego co
niewyraźne,

co daje długie cienie nocy, co wiąże zamiast otwierać.
Modlitwa, ponieważ jest prostowaniem się do godności.
Subtelność, bo stajesz wobec tego co ludzkie.
Twoje małowmne „nie”.
Miłosierdzie, bo sprawiedliwość bez niego jest rachunkiem
i można być

w sprawiedliwości biegłym a jej nawet nie pojmować.
Płacz, bo odradza jak deszcz odradza wokół ziemię.
Niezgoda na to co nie istnieje a jest tylko drapieżne.
Zart, bo buduje lepiej niż gniew i bez żadnego interesu.
Twoje małowmne „nie”.
Sól. Modlitwa. Chleb.
Twoje małowmne „nie”.
Dalej —
dalej są Psalmi Dawida, kantyczki nad wodami
i ledwie dosłyszalny szept
Podtrzymuje je nie grymas, nie wielomówność
lecz krótkie twoje „nie”.
DOŁOŻ TRUDU.

Tak krótko jestem przy Tobie
Matko porządku w sercu.
Wystawałem przed karierami,
przed posażkami świata.

Tak krótko jestem przy Tobie
Matko porządku w sercu.
Bralem Cię za metaforę
chwycijnym przez lata sercem.

Krzykiem się odwracałem,
skrótom i taną drogą.
A tylu ludzi przy Tobie
cichą, codzienną prostotą.

A teraz widzę pustkę
bez tej godziny z Tobą.
I widzę ludzi — wielkich
i małych Twą prostotą.

Ty jesteś Ostateczna
na mrok, na kłamstwo, na ciemność.
Tak krótko jestem przy Tobie
z tymi co dają Ci wierność.

Stajesz się opłatkiem. Jezu.
Tak jak stawałeś się barankiem,
jak stawałeś się człowiekiem,
tak przede mną stajesz się opłatkiem,
Cicho. Kościół. Sam przed sobą.

Stajesz się opłatkiem. Jezu,
cały stajesz się przede mną ciszą.
Jak stawałeś się człowiekiem,
jak stawałeś przed innymi krzyżem.
Po mroku. Niewidoczne prawie światelko.

Stajesz się opłatkiem. Jezu.
Jaki Ty jesteś w opłatku, ubogi.
Jaką Ty jesteś ciszą ze milczysz.
I że jesteś i krzyżem, i chlebem
w jednej tylko, w zwykłej dobrej myśli.
Komunia. Przechodzą w wędrówce.

Staje z się opłatkiem. Jezu.
Stajesz się murami świątyn.
Sołą życia. Fundamentem domów.
A krzyż w Tobie staje się pokorą.
Spychacie. Płac budowy pod Dom Boży.

Stajesz się opłatkiem Jezu.
Jak stawałeś się dzieckiem w Betlejem.
Tak przede mną na ołtarzu leżysz
chlebem, dzieckiem, człowiekiem śmiertelnym.
Cicho. Kościół. W rozmowie przed Tobą.

Chcę zobaczyć pogodę człowieka.
Jak pracuje, kreśli i stawia.
Ustanawia porządek w swym sercu —
jest porządek który zaprzecza.

Dobrym rzeczom pokornie służy,
dobrym rzeczom daje istnienie.
„Zło jest nudne”. Kto mu uwierzy,
komentator, statysta, historyk?

Kiedy ody techną nienawiścią
on kunsztownym się zwraca sonetem,
bo nienawisć jest epidemią
i dotyka biednego człowieka.

Bo nienawisć jest epidemią
i poczucie krzywdy trucizną.
Więc je pisze z małej litery.
Pomagając myśleć bliźniemu.

Niektóre myśli o ethosie pracy zaczerpnięte z książki ks.
Józefa Tischnera „Etyka solidarności”.

Dla większości uczestników pierwszy, po wieloletniej przerwie, Zjazd Delegatów Kół Młodych przy Związku Literatów Polskich zamykał się w trójkacie pomiędzy salą posiedzeń Urzędu Wojewódzkiego, pomieszczeniami restauracji „Wielkopolska”, dokąd delegaci, goście i obserwatorzy zjazdu trzy razy dziennie udawali się na wykwinne w tej dobie posiłki, oraz gościnnymi progami hotelu „Lech”, w którym przy panującym do wczesnych godzin rannych ożywieniu dopełniała się reszta zjazdowej aktywności. Piszę: dla większości, ponieważ dostojni goście rezydowali w hotelu „Wielkopolska”, natomiast ekipa gdańska zatrzymała się w „Merkurym”. W tej sytuacji, nawet dla nie wtajemniczonych jest rzeczą jasną, iż zjazd młodych pisarzy miał miejsce w Poznaniu, a działo się to w dniach 28 i 29 listopada br.

Próba opisu i oceny poznańskiego zjazdu młodych adeptów literatury może przy okazji wyjaśnić właściwości trójkąta, będącego miejscem omawianych wydarzeń. Chciałbym jednak z góry odkryć stronniczość i niebezpieczność relacji, pisanej z pozycji obserwującego uczestnika: wraz z sześcioma innymi osobami byłem członkiem ekipy, w której skład — poza p. Wiesławem Pawłem Szymańskim, opiekunem naszego Koła Młodych i krytykiem Marianem Stalą — wchodziło pięciu delegatów środowiska krakowskiego (Kinga Zygma, Włodzimierz Jurasz, Lech Sadowski, Szczesny Wronski oraz niżej podpisany).

Chronologiczne i wyczerpujące opisanie poznańskiego spotkania musiałoby przekraczać ramy tego tekstu. Moim zamiarem jest raczej sporządzenie opatrzonej komentarzem relacji problemowej. Ewentualne zarzuty, wskazujące pominięcia, skróty czy przeoczenia będą zatem z konieczności uprawnione i niezasadne jednocześnie.

Otwarcie obrad, powitanie gości i delegatów, przemowy, rozdział mandatów, wybór prezydium zjazdu ustalenie składu komisji: regulaminowej, oraz uchwały i wniosków, odbywały się w odpowiedniej atmosferze, jak na każdy przyzwoity, współczesny zjazd przystało. Następnie wysłuchaliśmy referatów Tadeusza Komendanta i Mariana Stali, zogniskowanych wokół problemu „martwych pól literatury polskiej”. Wystąpieniem tym, choć wzbudziły różnorodne emocje (dla wyjaśnienia: negatywne i pozytywne), nie udało się skłonić delegatów do merytorycznej dyskusji. Stało się tak za sprawą wiszącej w powietrzu chęci do podjęcia rozmów o charakterze raczej branzowo-związkowym, niż metaliterackiej dysputy. Jeden z

delegatów nawoływał wprowadzić młodych literatów do określenia się wobec rzeczywistości i literatury, zgodnie jednak z wolą większości (zjazd miał charakter demokratyczny) zajęto się sprawami organizacyjnego statusu młodych piszących, wydawniczymi i socjalnymi wyznacznikami sytuacji członków Kół Młodych w poszczególnych środowiskach.

Krytyka stanu piśmiennictwa literackiego i młodoliterackiego w szczególności, wykazywanie niemocy edytorów, utyskiwania na niedostateczność opieki socjalnej, przejawiany brak cierpliwości wobec instytucji i mechanizmów nieodmiennie blokujących inicjatywę twórczą i artystyczne spełnienie młodych pisarzy złożyły się na prezentację aktualnego stanu rzeczy w tej dziedzinie, budząc dość powszechne zozumienie wśród delegatów.

Goście zjazdu, znacznie bardziej przecież doświadczeni, zgadzając się najczęściej z diagnozą, nie we wszystkim popierali radykalizm niektórych wniosków. Skoro już wspominałem o gościach: zjazd odwiedziło sporo i to dostojnych. Wśród gości oficjalnych był wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich p. Tadeusz Drewnowski, prezes Oddziału Poznańskiego p. Egon Naganowski, p. Izabella Cywińska, jeszcze jako dyrektor Teatru Nowego w Poznaniu, p. Artur Międzyrzeczki, p. Wiktor Woroszyński (niemal bezpośrednio po powrocie do kraju), p. Ewa Krasieńska i p. Krzysztof Karasek z ramienia Komisji ds. Młodej Literatury przy Zarządzie Głównym ZLP. Nie sposób wymienić wszystkich. W kulisach była i telewizja. Tak więc nie był to zjazd-sierota czy zjazd-kopciuszek.

Obecność ojcowskiej opieki ZLP, przy którym afiliowane są Koła Młodych, wyczuwało się z łatwością. Delegaci kilku środowisk dali zresztą wyraz chęciom zmiany dotychczasowego „synowskiego” statusu początkującego pisarza, wskazali na potrzebę i możliwość przemodelowania relacji między związkiem dorosłych literatów i jego „młodoliteracką” przybudówką. Znaczne ożywienie dyskusji przyniosły propozycje likwidacji Kół Młodych i zastąpienia tej struktury statusem członka-kandydata lub co najmniej zmiany charakteru tej organizacji. Zakwestionowano również dotychczasową nazwę. Zastrzeżenia budziły oba terminy. Tak „koło” jak i „młodość” znalazły się na cenzurowanym. „Koło” chciano zastąpić „klubem”, przymiotnikowej formy młodości nie było już czym. Ostatecznie, po długich, proceduralnie rygorystycznych obradach nazwa pozostała nie zmie-

niona. Zwyciężył, jak sądzę, rozsądek. A swoją drogą, dziwiła mnie bardzo żywo okazywana niechęć do „młodości”, przejawiana nawiasem mówiąc głównie przez rzeczników ścisłego określenia cenzusu wieku dla członków młodoliterackiej filii ZLP.

„Noc poetów” stanowiła naturalną cezurę zjazdu i odbyła się w klubie studenckim „Od Nowa”. Poeci skarżyli się na amatorów piwa, którego było pod dostatkiem, piwosze narzekali na co bardziej zatwardziały poetów; od siebie powiem, iż niektórzy poeci okazali większy brak umiaru podczas lektury swoich tekstów, niż miłośnicy chmielowej esencji podczas jej degustacji. Przy takim zgromadzeniu piszących, odczytywanie większej, niż jeden, dwa wiersze, ilości utworów świadczy o nieznajomości elementarnych zasad psychologii, o przesadnym zaufaniu do własnych osiągnięć artystycznych i znamionuje brak obycia towarzyskiego. Oczywiście nie dotyczy to sytuacji, w której przeżycie artystyczne powala na kolana. W tym wypadku nie miało to jednak miejsca.

Drugi dzień zjazdu przyniósł dwa kolejne referaty — autorstwa Sergiusza Sterni-Wachowiaka i Tadeusza Zukowskiego, dla których wspólnym mianownikiem miało być hasło „literatura polska wobec Sierpnia '80” — oraz okazję do zrobienia użytku z mandatów podczas ogromnej ilości głosowań. W związku z demokratycznym charakterem zjazdu, o czym już wspominałem, osoba skrutacyjna miała sporo pracy, pomimo dopuszczenia zasady „optycznej” lub „naocznej” większości. Sporo wysiłków pochłonęło precyzyjne określenie cenzusów (merytorycznego i wiekowego) przynależności do Koła Młodych. Muszę tu zaznaczyć, że krakowski zespół delegatów zdecydowanie stał na życiowym stanowisku, by ograniczyć się do wymogów przedmiotowych, czyli do prognozy dokonania literackich i nie ustalać umownych przecież limitów wiekowych, w imię niechętnie skądinąd przez zainteresowanych uznawanej kategorii „młodości”.

Zwyciężyły jednak koncepcje odmienne. Przyjęto górną granicę wieku (35 lat), górną granicę przyjmowania (30 lat), maksymalny okres młodokołowego stażu (10 lat), z możliwością przedłużenia go o rok. Współwystępowanie jednych i rozłączność innych warunków powoduje, że (przy korzystnej interpretacji tych sformułowań) jedni będą mogli należeć do 35. roku życia, inni do 41. Ponadto przewidziano możliwość szczególnych przypadków, w których cenzus wieku może nie być brany pod uwagę. Ostatecznie, bardziej precyzyjnie niż życiowo sfor-

mulowany regulamin Kół Młodych przyjęty został przez prawdziwą aklamację. Na szczęście, zawiera on jednak postanowienia, pozwalające uchylić precyzyję rygorów na rzecz uwzględnienia środowiskowych realiów.

Zjazd przyjął również cały szereg uchwał, rezolucji i wniosków, wśród których zwracają uwagę: adresowana do Sejmu uchwała w sprawie ustawy prasowej i uregulowania zasad działania wydawnictw, uchwała o potrzebie nowelizacji ustawy o cenzurze, uchwała dotycząca powołania regionalnych pism i wydawnictw, apel do NSZZ „Solidarność” o intensyfikację działań na rzecz kultury, podziękowanie dla wydawnictw niezależnych, uchwała w sprawie pełnego przywrócenia polskiej kulturze dorobku pisarzy emigracyjnych, uchwała w sprawie poparcia działalności Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, szczegółowe wnioski w związku z niezadowolającą działalnością Radiokomitetu, funkcjonowaniem koncernu RSW „Prasa — Książka — Ruch”, w sprawie „Nowego Wyrazu”. Uznano wreszcie za rzecz ważną wyjaśnienie statusu i roli KKMP.

Trudno nie wspomnieć również o uchwałach w sprawie sprowadzenia do kraju zwłok Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wszystkie te, przyjęte przez Zjazd dokumenty, merytorycznie słuszne i szlachetne w intencjach, wykazują jednak pewną wspólną wadę: obawiam się mianowicie o ich sprawczą efektywność. Niewrażliwa rzeczywistość może okazać się wobec nich mało podatna. Łatwo mi dość do przekonania, że wyrastają one po części z powszechnej wiary w magiczną moc słowa uchwalonego, że są produktem tego typu myślenia, któremu towarzyszy przeświadczenie o zdolności zaklęcia rzeczy i rzeczywistości słowem. Nie znaczy to bynajmniej, że kwestionuję ich sens i doniosłość jako pewnego rodzaju gestu, manifestacji moralnej czy obywatelskiej. Przeciwnie, wbrew zwerbalizowanej podczas zjazdu — na szczęście dość odosobnionej — opinii sądzę, że są sytuacje, które obligują wręcz milczącą większość do wypowiedzenia się w ważnych dla całej zbiorowości kwestiach. Taki gest, jako gest większości właśnie, jest zjawiskiem społecznym i może wobec tego mieć znaczenie dla rozwoju wydarzeń w dziedzinach ważnych dla zbiorowego bytu.

Przyczyn, dla których nie zadowolamnie taki stan rzeczy, upatruję w fakcie skupienia działań i umieszczenia związanych z nimi oczekiwań w sferze dalekosiężnego, szlachetnego gestu, przy równoczesnym

zaniedbaniu starań o cele bliższe, konkretne, osiągalne. W Poznaniu wyraziło się to w rezygnacji z uchwały w sprawie regularności zjazdów młodych pisarzy, w zaniedbaniu działań na rzecz całkowitej likwidacji NZW, bądź instytucji zastępczych tego typu, wreszcie — w czym i nasza krakowska wina — w przeoczeniu problemu legitymacji członkowskich dla Kół Młodych. Przegrane zostały sprawy, będące w zasięgu naszej ręki. Nadzieja w tym, że zamierzenia ambitne nie pozostaną jedynie setką zdań, sformułowanych demokratycznie i zapisanych...

Trzy pytania: „czy dobrze piszę?”, „czy wydadzą mi książkę?”, „czy uda mi się utrzymać z literatury?”, zawarte w liście Kazimierza Brandyśa do uczestników poznańskiego zjazdu, są pytaniami o nasze żywotne interesy. Odpowiedź na pierwsze z nich nie należy do kompetencji zjazdu; trzeba jej szukać osobiście, we własnej prawdzie, racji i krytycyzmie. Czy jednak zjazd zrobił wszystko, co możliwe, aby odpowiedzieć na pozostałe dwa „branzowe” pytania była twierdząca? Czy z tego punktu widzenia rezultaty poznańskich obrad są zadowalające? Czy zrobiono wszystko dla uniemożliwienia wydawnictwom „czynnego strajku” wobec literatury?

Sądzę, że pewne szanse zostały stracone, przegrane przez nieuwagę, jednostronność, przez działania kulturalowe. Zastanawia i zasmuca choćby fakt trwania regionalnych resentymentów, które przejawiały się w stosunku delegatów do naszych, krakowskich sugestii, do projektu zgłoszonej przez nas rezolucji, by wreszcie osiągnąć kulminację w perypetiach przy uchwalaniu wniosku o pismo literackie dla młodych w Krakowie. Wniosku analogicznego przecież z tym o Katowicach i Wrocławiu, za którym myśmy — to oczywiście — głosowali. Bezinteresowna niesolidarność, która zasmuciła bardziej, niż rozweseliła wieńczące zjazd akcenty ludyczne.

Już po zjeździe, wzorowo zorganizowanym — jak to w Poznaniu — za co należą się wyrazy uznania tak władzom miasta, Zarządowi Głównemu ZLP, Zarządowi Oddziału Poznańskiego, jak i jego bezpośrednim realizatorom z poznańskiego Koła Młodych, z Romanem Chojnackim na czele. A jednak w poniedziałkowy ranek w drodze na dworzec i później w pociągu trapiła mnie przez cały czas wątpliwość: czy terytorium zjazdu, ten obszar między hotelem „Lech”, restauracją „Wielkopolska”, a gmachem Urzędu Wojewódzkiego m. Poznania nie ma właściwości trójkąta bermudzkiego? Czy nie zaginęły w nim jakieś istotne dla młodej literatury sprawy?

BIERNIK POS- TULATOWY

CIĄG DAJSZY ZE STR. 1

slami — na przykład tak: „Moje głodne ciało zależy od rządu, moje serce należy do Solidarności”. Ale jak długo?

Koń trojański

Rewolucja sierpniowa — pisałem o tym — była przede wszystkim rewolucją językową. Bezpośrednim celem jej ataku było „dwójmyślenie”: nieprzyległość języka władzy i języka społeczeństwa. Protokoły porozumień, nazywane później „umową społeczną”, rozbijały iluzję języka władzy przez wprowadzenie doń konkretnych pojęć, można precyzyjnie pokazać, jak w każdym punkcie pojawia się słowo, dotychczas niemożliwe do pomyslenia w tym języku: niezależność od władzy, strajk, cenzura, represja, więźniowie polityczni, kryzys gospodarczy, wzrost cen, inflacja, zła zaopatrzenie rynku, nomenklatura, uprzywilejowanie apa-

ratu władzy, zły stan zdrowotny społeczeństwa. W ten sposób — można było mieć nadzieję — kończył się fałszywy, bo ideologiczny sposób mówienia, odsłaniała się prawdziwa, właściwa słowami oznaczona rzeczywistość. Protokoły, załączony w miejscu i czasie podpisanymi układającymi się stron to przecież nie fragment z wzornika przemówień na wszelkie okazje, ale dokument.

Rewolucyjność „umowy społecznej” polegała na tym, że robotnicy, zanim przystąpili do tworzenia własnych związków zawodowych, musieli w pierwszym momencie stworzyć partnera. Poprzez gigantyczną operację językową wyprowadzali władzę z ideologicznego przestrzeni nowomowy ku temu, co jest naprawdę. To zaś daje się ująć w zaproszonym przez porozumienia języku. W języku, gdzie faktom odpowiadają słowa a fakty słowem.

Trzeba mocno podkreślić ten dwójaki aspekt rewolucji językowej: z jednej strony była przekładem z nowomowy na język bliższy rzeczywistości (relacja język: język), z drugiej strony nazywaniem rzeczywistości (relacja rzeczywistość: język). Ta dwójność wyjaśnia wiele z tego, co nastąpiło potem.

Jako przykład porozumienia opiera się na domniemaniu wspólnych intencji: zakłada, że władza chce posługiwać się językiem

blższym rzeczywistości. Założenie to jest równoznaczne z żądaniem kolejnej rewolucji — tym razem po stronie administracji państwowej. Żadna jednak administracja nie reformuje się sama, może być co najwyżej zmieniona w demokratycznych wyborach. Toteż nauka nowego języka najczęściej odbywała się siłą, przez strajki, przez podpisywanie kolejnych porozumień. Rytuał gdańsko-jastrzębsko-szczeciński powtarzał się: jak tamte były namiastką demokratycznych wyborów na szczeblu centralnym (robotnicy stworzyli swą władzę z władzy, której nie wybierali; władza stała się odpowiedzialna przed tymi, którzy jej nie wybierali), jak tamte zatem, co potwierdził Sejm, miały znaczenie ogólnopolskie, tak obecne były namiastką demokratycznych wyborów rozgrywanych na szczeblu lokalnym, resortowym, zakładowym. Wyborów — dodajmy — przeprowadzanych nieproporcjonalnie wysokim kosztem: za takie sumy niejedną z kandydatów mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Konflikty te — pozostawały po nich kolejne porozumienia, nad którymi dziś chyba mało kto panuje — wybuchające z powodu oporu lokalnych władz, rozgrywały się na płaszczyźnie „język: język”. Dotyczyły bardziej przekładu z jednego sposobu myślenia na inny, niż samej istoty nazywania rzeczywistości. Dlatego ich struktura była powtarzalna i możliwa do przewidywania. Można wyodrębnić jej inwarianty: np. „Lokalne nadużycia”, „komenda MO w budowie”, „sprzedajny wojewoda”. Zwykle trzeba było aż strajku, by nadużycia trafiły do prokuratora, komenda MO została szpitalem, był wojewoda zaś wyjeżdżał np. do Szwecji po azyl polityczny. Choć i przed strajkiem nikt nie miał wątpliwości — a w porozumieniach sierpniowych zostało to zapisane — że powinna obowiązywać prawowładność, należało poprawić sytuację szpitalnictwa, administracja odpowiadać na przed społeczeństwem. Konflikty te służyły zatem nie nauce demokracji, ale emocjonalnemu politykierstwu. Zauważmy: ile było oczywistych walk przeciw dyrektorowi, ile — poza „Lotem” — było walk o dyrektora? A właśnie taki jak ten drugi konflikt był konfliktem politycznym — powoływał w rzeczywistości nowy fakt i proponował mu nazwę, rozgrywał się zatem w płaszczyźnie „rzeczywistość-język”. ■

Rozgrywanie sporów w płaszczyźnie językowej (a zatem w sferze interpretacji i emocjonalnej oceny już zaistniałych faktów, a nie powoływania nowych w zgodzie z rzeczywistością) wpływał, to oczywiście, na radykalizację działaczy związkowych, a często i na ich swoisty dobór negatywny. Ale nie równie ważne jest to, że doprowadził do czystości obu języków — nie tyle pod kątem ich zgodności z rzeczywistością, ile ich strukturalnej spójności. W efekcie pojawił się obraz demagogicznej władzy (celują w tym zwłaszcza wewnętrzne biuletyny związkowe) i równie demagogicznych działaczy związkowych (celują w tym zwłaszcza dokumenty najwyższych władz PZPR). Skonstruowane według strukturalnych wymogów i językowych przyzwyczaję, jedna biją pokłony przed Doktryną (w myśl doktryny prosty robotnik jest świętością, dlatego „Solidarność” musi mieć zdrowe robotnicze jądro), drugie przed Publicznością (zgodnie ze sposobem myślenia publicności władza to „oni”, zatem każde posunięcie władzy jest z natury podejrzane), obracają słowami i gubią się w słowach, wreszcie — coraz dalej od rzeczywistości — wszelkie zło przypisują głosicielom słów innych, odmiennych, niezrozumiałych. Wobec tego najprościej byłoby postawić parę szubienic, na których powiesimy po kolei Żydów, komunistów, ekspertów i radykałów „Solidarności”, a już obowiązkowo Kuronia i Michnika.

Zagubiliśmy się w słowach. Pograżeni w językowych sporach nie ostrzegamy, że nic nie pomoże kabalistyczny czy nowatorski wykład Doktryny, ale również i tego, że tak długo postulowany język wolności i prawdy nie jest rozwiązaniem: raz przypominając przenicowaną praktykę słowną lat 50, innym razem socjalistyczne utopie. Tak, piękny jest uchwalony na Zjeździe program „Solidarności”, tak, w takim państwie chciałoby się żyć... Moje ciało zależy od rządu, moje serce należy do „Solidarności”...

Zniknęła z pola widzenia druga relacja obecna w sierpniowych porozumieniach: „rzeczywistość: język”. Nie mówi się o oporze rzeczywistości, mówi się o najwyżej o oporze władzy. Jak niewielu odważa się tę rzeczywistość nazywać. Znow żyjemy w epoce „dwójmyślenia”, i to jeszcze groźniejszej niż przed Sierpniem, bo żadnemu ze sposobów językowego opanowywa-

nia świata nie można przyznać racji. W lukach językowych systemów panoszą się asemantyczny strajk, asemantyczna kolejka, asemantyczna spekulacja, niedostatek.

Wydawało się zrazu ideologom, że pierwsze punkty sierpniowych porozumień to koń trojański, który grozi trwałości systemu. Toteż i na neutralizację tego zagrożenia skierowano energię. Tymczasem prawdziwy koń trojański był cokolwiek dalej, w postulatach czysto ekonomicznych, a brzuch miał szczelnie wypchany papierowymi banknotami. Być może jeszcze wówczas, nie wiem, wspólnymi siłami dąłoby się to zagrożenie opanować. Tymczasem nie kontrolowany napływ pieniądza na rynek w ciągu niedługiego czasu zniszczył samą ideę pieniądza. W znaku pieniężnym określonymu *signifiant* przestało opowiadać określone *signifié*. Zniknęła jakakolwiek miara realności. Nie trzeba być marksistą, by stwierdzić, że pieniądz jest materialnym językiem społeczeństwa; w znaku pieniężnym według ścisłych praw spotyka się abstrakcyjne *signifiant* (nominał) z określonym *signifié* (wartość nabywcza), dystrybucja znaków pieniężnych wiele może powiedzieć o wyznawanych przez społeczeństwo hierarchiach wartości. Aby system ten mógł funkcjonować, aby tym językiem można było mówić, zawsze musi istnieć możliwość przyporządkowania znakowi określonego znaczenia. W ekonomii nie ma miejsca dla dadaistów; emisja nowych znaków pieniężnych powinna się odbywać na płaszczyźnie „rzeczywistość: język”. Tymczasem po sierpniu ostatecznie (bo zaczęło się to jeszcze za rządów Gierka, dopiero w ostatnim roku stracono nad tym kontrolę) przeniesiono ów proces na płaszczyznę „język: język” — emisja pieniądza stała się funkcją zawieranych nowych porozumień płacowych. W efekcie powstała nawet nie inflacja, lecz świat pustych form.

Planeta Fantasmagoria. Żadnej miary realności, choć padają wielkie słowa i rosną zarobki. Ale doprawdy, trudno mi dostrzec różnicę między wypowiedzią osoby nr 2 w „Solidarności”, którą zainteresował się prokurator, a napisem na drugiej stronie banknotu, który również powinien podpadać pod sankcję prokuratorską, bo nie jest realizowany. Tu słowa, tam słowa bez żadnego związku z rzeczywistością.

I jak tu nie zajmować się literaturą? Ale jakże, na Boga, tą litera-

GŁOSY ZE ZIARU MŁODYCH PISARZY

„Może historia powszechna — powiada Jorge Luis Borges — jest historią kilku metafor.” Czy nie da się tego odnieść do historii powojennej polskiej literatury? Czy nie zamyka się ona w kilku symbolicznych sytuacjach, postawach, gestach, którym odpowiadają metaforyczne formuły, odsłaniające w niespodziewanym skrócie istotę rzeczywistości, wewnątrz której tkwimy. Opo- wiem o sensie jednej z takich metafor, pojawiającej się w kilku tekstach istotnych dla zrozumienia samopoczucia współczesnej polskiej literatury.

1. „Wielka literatura”

Okło roku 1963 literatura zaczęła zyskać się i pustoczyć z treści. Słowa cieńszali stopniowo do własnego pozoru: na niby miłość, na niby historia, na niby cnota i na niby nieszczęście. Cała więc literatura na niby. Diagnoza Błońskiego, sformułowana w „Strategii Drogęsa” prowokuje do odkrywania innych martwych pól literatury. W końcu: czy po roku 1948 nie było w literaturze jeszcze większej pustki, jeszcze większego triumfu pozoru nad rzeczywistością? I czy po roku 1976 (o ile nie wcześniej) proces zamierania nie powtórzył się raz jeszcze?

W tym tropieniu symptomów próżni i choroby, ukrytych pod przebraniem zdrowia i obfitości, nie był Błoński — nawet jeśli brać pod uwagę tylko ostatnie czterdzielciolecie — ani pierwszy, ani ostatni. Przed nim był choćby Kazimierz Wyka, który w swych „Wyznaniach uduszonego” (należących w ostatnich latach do podstawowych lektur krytycznych) odsłaniał niekiedy nie dostrzeżone obrazy obszarów naszej literatury, albo inaczej: konieczność dostrzeżenia alternatywnych, nie wykorzystanych ścieżek jej rozwoju. — Ona mogła być inna. Ona powinna być inna. — przekonywał autor „Rzeczy wybaczni”...

W latach 70. widzenie literatury poprzez zaprzeczenie istniejącego w niej stanu — a więc sięgnięcie po tę samą metaforę martwych pól — jest jeszcze wyraźniejsze. Julian Kornhauser i Adam Zagajewski wprowadzają dziwne i niepokojące pojęcie „świata nie przedstawionego”. Stanisław Barańczak w esejju (pisanym w 1974 r.) „Życie zaczyna się po trzydziestce?” stawia raz jeszcze pytanie o dzieła koniecz-

ne w powojennym trzydziściu. pytanie niedoświadczające całej terytorii literatury, wskazujące (raz jeszcze metafora oparta na przeobrażeniu o pozorności tego, co wydaje się oczywiste!) zastępczo wobec książek nigdy nie napisanych... Wreszcie: w ocenie Tomasza Burka, pytającego w swym głośnym TKN-owskim wykładzie „Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna” — literatura współczesna jest domeną dzieł samotnych, nie dokonanych albo przerwanych, fragmentarycznych, zapowiadających tylko — niespełnionych i niemożliwych. One to właśnie, nie zaś skończone, okrągłe i nierozdzielne teksty zapelniające półki księgarń i kartki szkolnych podręczników — odwierciedlały mają prawdziwą materię polskiej rzeczywistości.

Jest więc tak, że próba odnalezienia całościowego sensu powojennej literatury, jej wewnętrzny ethos, kończy się (i to u krytyków nastawionych wyraźnie na konstruowanie czy rekonstrukcję wartości) odkryciem poczucia niemożliwości czy niereczywistości, drążącego literaturę. Wydaje się nawet, że metafora obumierania wymyka się w pewnym momencie kontroli i rozprzestrzenia z gwałtownością nowotworowej tkanki, blokując i uniemożliwiając konstrukcję jakiegokolwiek całości literatury. A więc: przestępną literaturę jest przestrzenią nieciągłości, fragmentaryczności, braku sensu, chaosu wartości, możliwości, które nie mogą przekształcić się w istnienie... Dalej już być nie można, dlatego Tomasz Burek po gombrowiczowskiej odwróceniu sytuacji, widząc jedyną szansę w okazywaniu takiego negatywnego i niereczywistego bytu literatury.

Można, oczywiście, przyjąć założenie, że cała metaforyka nieciągłości, pustki, martwoty literatury jest

częścią strategii krytycznej, oczyszczającej pole cała własnej literatury. Tak, przynajmniej częściowo jest w „Świecie nie przedstawionym”. Każdy jednak, kto pomyśli do końca treści kryjące się za obrazem uduszenia u Wyki, za katastroficznymi akcentami u Błońskiego czy patosem, z jakim Burek mówi o niespełnieniach literatury współczesnej — powinien zrozumieć, że chodzi tu o coś więcej niż diagnoza krytyczną. Że wymienieni krytycy odsłaniają jedną z podstawowych struktur wyobrażenia świata ukrytych w literackich kreacjach i że jest to wyobrażenie świata jako czegoś niemożliwego — wyobrażenie, wobec którego tylko niektórzy potrafili stanąć twarzą w twarz i powiedzieć, jak Simone Weil: — Życie ludzkie jest niemożliwe... Istnieje zresztą świetny literacki opis wspomnianej struktury wyobraźniowej:

W zdumieniu młodzi rano
dotykali
Stołu i krzesła, jakby w deszcz
ulewny
Znaleźli cały okrągły
dmuchawiec
Przedmioty dla nich łamały się
w tęczę
Mgliste jak lata wcześniej
pożegnane.
(...)
Przed nimi ruchome
Piaski, na których drzewo się
zamienia
w nic, w anty-drzewo, gdzie
żadna granica
Kształtu i kształtu nie dzieli
a w gromach
Zapada się dom złoty, słowo
JEST

I STAJE SIĘ sprawuje oddat
władzę.
Ten fragment „Traktatu poety-
ckiego” dotyczy bezpośrednio puko-

lenia wojennego, ale nazywa prze-
życie o zasięgu o wiele szerszym.
Jest to opis świadomości sparaliżo-
wanej. Świadomości, którą utraciła
podstawowe intuicje metafizyczne
i stoi bezradna wobec świata, nie
potrafiąc znaleźć swojego w nim
miejsca. Która odczuwa ten świat
jako „ruchome piaski”, nie dając
żadnego gruntu, żadnego fundamen-
tu przeżycia. Ta świadomość nie po-
trafi odczuć własnej podmiotowości,
widzi samą siebie jako przedmiot
poddany działaniu nieuchronnej ko-
nieczności. Jest to więc ta sama
świadomość, która wkrótce potem
stała się „zniewolonym umysłem”...
Jest to zresztą bardziej kwestia filo-
zoficzna niż polityczna: unieruchomienie myślenia, spustoszenie życia
duchowego, kryzys pojmowania jed-
nostki w kategoriach osoby — to
podstawowe martwe pola powojen-
nej kultury. W nich też trzeba szu-
kać pierwszych i najgłębszych przy-
czyn ciągłego pograżania się litera-
tury w życie na niby.

2.
Odkrycie istoty i przyczyn unie-
ruchomienia świadomości od daw-
na towarzyszyło polskiej literaturze
i myśleniu o niej, chociaż — ze
względem na istniejący monopol ide-
ologiczny — niezmiennie rzadko eks-
plikowane było wprost i do końca.
Bez założenia takiej samoświadomo-
ści trudno byłoby zrozumieć nie ty-
ko cyfrowane już poprzednio wy-
wiedzi krytyczne, ale także dynami-
kę rozwoju Nowej Fali, obrazy
„sztucznego świata” i „sztucznego
oddychania”, metaforykę „czasu
marnego”, czy nie wyznawane
wprost, ale dość wyraźnie w sposobie
przeżywania utrwalonym przez li-
teraturę lat 70 przekonanie o total-
nej nijakości czy bylejałości otacza-
jącego świata i o tym, że (mówiąc
słowami Bolesława Michalskiego) ży-

BIERMNIK

202-

YWOTAJUT

PIZARSA
MIDACH
TWARD
K
TWARD

51

coraz bardziej nie myślimy słowa, ale słowa nas myślą? Wyzwolone słowa...

Cenzura

Gdybym chciał streścić w dwóch zdaniach to, co napisałem w poprzednim rozdziale, bzmiałoby to tak: Przypisujemy słowom wartość nieledwie magiczną, to, co powiedziane, jesteśmy skłonni uznawać za rzeczywiste. Wynika z tego (skoro przypisujemy realność słowom, podczas gdy namacalna rzeczywistość znajduje się poza polem widzenia), że zwracamy uwagę nie tyle na znaczenie słów, co na same znaki: działalność sensotwórcza sprowadza się tu do właściwej organizacji, hierarchii i pożądanej emisji znaków.

Dlatego też to nie Francuzi spod znaku „nowej krytyki”, ale nasi romantycy wymyślili — i przeprowadzili na dodatek — „rewolucję tekstualną”. Ale dlatego również nasze myślenie jest porażone niemożnością myślenia. Bo miejscem, z którego myśli (miejscem niewidzialnym i nieuświadomianym zatem) jest cenzura. Jako że właśnie to ta instytucja przypisuje demoniczną realność słowom, czuwa przeto nad właściwą organizacją, hierarchią i pożądaną emisją znaków.

Oto więc to symboliczne miejsce polskiego myślenia, ale i realne zarazem: cenzura w ostatnich latach przedlistopadowej Warszawy. Spotykają się tu przez pewien czas na stopie służbowej (a jako że ich rodzy były zaprzyjaźnione, na tym ich kontakty się nie kończą) dwaj ludzie: jeden owym niechlebnym zajęciem zamknie swą biografię, drugi dopiero ją rozpoczyna. O tym pierwszym drugi po latach napisze: — Był u nas mąż bardzo biegły w naukach, w prawie, ekonomii politycznej i administracji, stawny filozof, i uczeń Kanta. Nikt nadeń więcej ksiąg starych i nowych nie przeczytał, nikt głębiej nie rył od niego w Polsce. W swoim czasie pisarz zawołany, patriota, jeden z luminarzy naszych. W owym to czasie, a zatem jeszcze przed kierowaniem cenzurą ten pierwszy takich uzielał rad przyjacielskich czytelnikom: — Co w umyśle piszącego autora nie było mechanizmem, to dla ciebie jako myślącego czytelnika powinno być tylko pobudką i mechanicznym niejako pochodnem dla obudzenia oraz upłodnienia ducha twojego; — inaczej ty sam zostabys

czytającą machinę. Po-
winną cię zaiste oświecać myśli obce; ale jeżeli masz zostać prawdziwie oświeconym i ożywionym, to nie obcemi promieniami wchodzącymi do twego umysłu, ale własnym światłem, które z ich pomocą rozkrzesisz sam w sobie. A i do urzędowania ten pierwszy przystępował niejako naukowo: był przecież autorem dzieła „O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności, rzecz w krótkich napomknieniach z daleka wskazujących drogę do głębszego wywodu”. W dziele tym, zawierającym załączki wielu romantycznych idei, wygłaszał taką apoteozę: — Poważni i dostojni Urzędnicy, w których właściwym przeznaczeniu mieści się istotnie tytuł prawdziwych Wychowawców Narodu w całym objęciu tego wyrazu! Każdy z Was w swym obrębie i w miarę swego urzędniczego wpływu przykładajcie się winien do owego ogólnego społeczeństwa zamiaru, aby naród coraz wyraźniej i coraz doskonalej objawiał na sobie właściwe znamiona ludzkości — równie fizyczne, jako i moralne — a objawiał one w formie, jaka z czasowej i miejscowej jego posady naturalnie wynika (...) Wszyscy — z rozmaitych tylko stron — ku jednemu głównemu dążycie zamiarowi. Drugi dysponował znacznie mniejszym dorobkiem twórczym — był głównie autorem nie znanego szerszemu ogółowi dokumentu, z pewnego punktu widzenia pierwszego w naszej literaturze tekstu prawdziwie absurdalnego. Oto jego dłuższe wyjątki:

Wiedział-że o tem rząd, iż ja sam w klasie VI w obecności 40 ludzi i profesora chemii dowodziłem, że świat nie ma początku i końca mieć nie będzie, że nie ma Boga? Wiedział-że o tem rząd, że odniosłem zwycięstwo nad nieumiejętnym profesorem i może tym jednym sofizmatem z drogi prawdy i moralności tak dalece wyważyłem 40 młodych umysłów, że zaledwo wzięcia i kary bytyby wtenczas zdolali w przyrodzone kluby rozsądku ich wprowadzić? (...)

Przepisał-ż rząd ducha, w jakim mają być dawane nauki? Posałował-ż cenzurę na skrypta profesorów, jak na drukowane książki? Wszakże tamte jeszcze wolniejszy wpływ wywierają na umysły, bo są objaśniane ustnym tłumaczeniem, gestami, akcentem! Nie jestli to każdemu jawną rzeczą, że zniesienie lub podwyższenie głosu profesora może i najebojętniejsze-

mu z siebie słowo nowy obrót i nowe nadacie znaczenie? Ustanowił-ż rząd cenzurę na gestykulacje wykładu (...)?

Ten pierwszy nazywał się Józef Kalasart Szaniawski. Szaniawski — jakoby w czasie powstania Kościuszkowskiego, po upadku powstania działał na emigracji w radykalnej Deputacji Polskiej. Należał do pokolenia, któremu nie wystarczało budowanie „świątyni narodowym pamiętkom i łagodnym światłom rozumu; pokolenie to, zafascynowane oświeceniowymi hasłami Rewolucji Francuskiej, pogrzebało ostatecznie, poruszysz całą Europę, Oświecenie i otwarło przestrzeń duchową romantyzmu. W Polsce nie było wśród nich wybitnych literatów, większość pisała krwią. Ale do tych nielicznych należy Szaniawski. Jego biografia duchowa oglądana na tle europejskim nie jest niczym nadzwyczajnym. Przecież po Rewolucji Francuskiej była Restauracja; w tej samej Francji, gdzie śpiewano Marsejllankę, niewiele potem pisał de Maistre i katolicki tradycjonalista. Romantyzm niemiecki i francuski był reakcją nie tyle na wiek światła, co na rewolucyjne szaleństwo. Ten sam — romantyczny w gruncie rzeczy — wątek myślenia występuje u Szaniawskiego. Należy on do tej grupy osób, która łagodziła przejście między stanisławowskim racjonalizmem a wyjętym na Litwie uczuciem. A rozpatrywany w kontekście romantycznym odbiera romantyzmowi polskiemu jego jednorodność, jego anielskość. Nie zapominajmy, że Mickiewicz oglądał napoleońskie wojska oczami dziecka; on natomiast świadomie doświadczył rewolucyjnych konwulsji rodzącego się XIX wieku. Jego biografia nie jest też czymś nadzwyczajnym na tle mu współczesnych: do polskich jakobinów należał niegdyś i Józef Zajacek; nieudolni wodzowie powstania listopadowego opromienieni byli napoleońską legendą. On tylko, ponieważ był „mężem bardzo biegłym w naukach”, wyrwał to generacyjne doświadczenie. Czyniem i słowem. Być może jego nieszczęściem był demon konsekwencji.

Ten drugi — to Maurycy Mochnacki. Później płomienny publicysta, ideolog romantyzmu, trybun ludowy, działacz polityczny. Autor jednego z piękniejszych dzieł naszej literatury. „Powstanie narodu polskiego”, w którym — sam — wygrał powstanie listopadowe.

Niepokojąca jest symetria obu biografii, które przystają do siebie jak lustrzane odbicia; co tam było początkiem, tu jest końcem. Niepokojące jest podobieństwo pośmiertnych losów ich dzieł: i Mochnacki, i Szaniawski istnieją w legendzie, ale nie tyle jako autorzy, ile jako typy zachowań. Błahy w gruncie rzeczy epizod z memoriałem karmielikiem, którego fragmenty cytowałem, został sztucznie powiększony i przeciwstawiany całemu dziełu — tak Mochnacki stał się pierwowzorem polskich inteligentów, których sumienie nie jest kryształowo czyste; poprzez Brzozowskiego do przyszłych i piewców propagandy sukcesu. Konsekwentna ewolucja ideowa Szaniawskiego, typowa dla pewnej europejskiej formacji ideowej, stała się pierwowzorem narodowej zdrady. Biografia, sztucznie oczyszczona ze wszystkiego, co nie jest schematem, zastąpiła w obu wypadkach dzieło. Niepokojące jest wreszcie miejsce ich spotkania — cenzura. Jak gdyby w tym miejscu, które jest czarną dziurą myślenia, ich symetryczne losy wzajemnie się anihilowały.

Chciałbym wiedzieć, o czym wówczas rozmawiali. O Kancie? o Schellingu? — przecież obaj byli filozofami. O dwuznaczności wszelkiego zrywu rewolucyjnego? O realności myślenia? O potędze słów? Chciałbym wiedzieć, bo nasza nowożytna biografia duchowa zaczyna się nie od przywidzeń obłąkanej Karusi, ale właśnie tam — w warszawskiej cenzurze. Od przeciwstawienia politycznemu „czuciu i wierze” generacji jakobinów i napoleońskich żołnierzy politycznego rozumu Mochnackiego.

I tu zaczyna się komedia przemilczeń. Jej ofiarą pada najpierw cała generacja — już romantyków gestu, choć jeszcze nie romantyków słowa. W ten sposób romantyzm zdaje się być bezpośrednią reakcją na oświeceniowe „szkiełko i oko”. Konsekwentnie przemilczane być musi „Powstanie narodu polskiego” Mochnackiego, które jest między innymi polemiką z tą generacją. Opowieść o sercu Mochnackiego zastąpić ma jego rozum. Wreszcie — przemilczeniu podlega znaczenie dzieła, uwytkła się gest, biografia, kształt słowa. Odtąd można już potępiać „mędrca szkiełko i oko” w imię „grucia i wiary”. Można przypisywać realną moc słowom, twierdzić, że zdolne są ruszać z posad bryłę świata, czuwać nad właściwą organizacją, hierarchią i

emisją znaków. Gdy trzeba — złać piór.

Rewolucja będzie tekstualna. Życie — zrealizowaną literaturą.

Nasza biografia duchowa zaczyna się właśnie tam, w owej czarnej dziurze myślenia, gdzie niegdyś toczyła się rozmowa. Jesteśmy spadkobiercami tej rozmowy, której nie ma. Jesteśmy ofiarami tej komedii przemilczeń, która opozycję politycznego uczucia i wiary i politycznego rozumu zastępuje przez przeciwstawienie rozumu oświeconych i uczucia i wiary romantyków. Kto wie, czy nie niewolnikami wolności słowa, bo ciągle nie potrafimy dojrzeć niewoli w wolności.

Minał rok, podczas którego można było powiedzieć wszystko. Ale czy ów język wolności okazał się tym, na co czekaliśmy? Na razie jest albo znakiem ideowego opowiedzenia się, albo językiem pobożnych życzeń. Jeszcze raz — bezsilny wobec rzeczywistości — zastępuje rzeczywistość.

Trzeba zatem starać się zrozumieć tę komedię przemilczeń, jej mechanizm anihilacji. Zauważmy: gdy polityczny rozum zostaje nazwany uczuciem i wiarą, wówczas znaczenie staje się znakiem, przestaje być traktowany pod kątem zgodności z rzeczywistością, zaczyna ważyć sam w sobie — jako gest. Gdy polityczne uczucie i wiara występuje w przebraniu rozumu, zaczyna być uznawane za konieczność, za właściwy kształt rzeczywistości. Ta niestanna oscylacja znaczeń odbywa się na różnych poziomach i we wszystkie strony. Uniemożliwia jakkolwiek działaniom znaczącą — produkcję myślenia — zastępując ją przypadkową, bo nie zawłaszczoną myślowo rzeczywistością i równie przypadkowymi, bo nie sprawdzanymi w rzeczywistości funkcjonowaniu słowami.

Możemy dalej przypisywać realność słowom, czuwać nad właściwą organizacją, hierarchią i pożądaną emisją znaków. Ale wreszcie kiedyś musimy uświadomić sobie nartwe poie polskiego myślenia. Tym potem jest cała rzeczywistość; rzeczywistość, która nie stanowi sprawdzianu myślenia, ale jego nieusuwaną przeszkodę, cenzurę. Musimy uświadomić sobie, że żyjemy na Planecie Fantasmagoria, w cesarstwie literatury, zaplątani w słowach, których nawet nie staramy się przeczytać.

TADEUSZ KOMENDANT

liśmy (...) w nieudanym okresie historycznym... O wiele rzadsze były natomiast próby rekonstrukcji tych martwych pól świadomości, wyprawowania jej na grunt pewniejszy od „ruchomych piasków” tkwiących za pozornym historyzmem wpajanej wszystkim ideologii. Można odnieść wrażenie, że dla większości pisarzy rozpoznanie i zanegowanie mechanizmów rzeczywistości politycznej wydaje się dostateczną ochroną przed zniewoleniem... Historycy życia duchowego naszych czasów odnajdą z pewnością wiele sposobów takiego wewnętrznego pocucia wolności, wynikłego z uświadomienia zakresu niewoli... Istotniejsze wszakże niż negacja wydają się próby wypracowania jakichś pozytywnych dróg wyjścia poza martwe pola świadomości, odbudowania minimalnej choćby przestrzeni autentycznego życia duchowego jako podstawy istnienia literatury.

3.

To, że literatura nie może zrezygnować ze swej literackości z tego, że jest sztuką — wydaje się pewnikiem. Ale pewne jest także iż w tej chwili literatura nie odzyska pełnego, głębokiego sensu bez przemian świadomości jej twórców i odbiorców, bez powrotu na nowo (jak to określił Adam Zagajewski) do płazmy intuicji metafizycznych, bez których trudne jest nie tylko zrozumienie świata, ale i tworzenie wartości.

Czy takie odnowienie świadomości (a raczej: powrót do wielu myśli, które usiłowano zniszczyć) jest możliwe? Rzeklibym raczej: jest wyobrażalne, jeśli tylko potrafimy zobaczyć samych siebie. Jako ludzi niezależnych wewnętrznie... Przy tym: jeśli miałoby to być odzyska-

nie świadomości poprzez literaturę i dla niej — punktem wyjścia powinno być odszukanie takich miejsc w niej samej i na terytoriach do niej przynależnych, które wydają się żywe, nie porażone sparaliżowaną świadomością. Miejsc, które nie zamykają, lecz raczej otwierają na nowo poie myśli, wzruszeń, doznań. Takich tekstów żywych i ocalających wiarę w słowo powstało wiele w ostatnich dziesięcioleciach — mimo następowanie w nich wciąż nowych martwych pól. Trzy z nich wymienilibym dziś w pierwszej kolejności: mówiony pamiętnik Aleksandra Wata „Mój wiek” (opublikowany w dziesięć lat po jego śmierci), filozoficzny esej Leszka Kołakowskiego „Obecność mitu” i duchową autobiografię Czesława Miłosza „Ziemia Ulro”. Te książki, należące do pogranicznych terytoriów literatury, wydaje się ważne nie tylko ze względu na ich wielką wartość, ale także ich nośność symboliczną. Tematyzują one zasadnicze problemy i sprzeczności współczesnego życia duchowego, próbują określić granice doświadczenia rzeczywistości, wypełnione są dramatycznym myśleniem o człowieku i wszystkich wymiarach jego egzystencji: od cierpienia niesionego przez historię — po usensowniający to cierpienie mit. Mój wiek może być przy tym czytany jako rodzaj symbolicznej autobiografii, niezwykle doniosłej dla duchowego wizerunku naszych czasów. Są więc w tych książkach niejasne zapowiedzi polskiej literatury — jaką mogłaby być — i jest też manifestacja takiej świadomości, stylu myślenia, o jakim wspominałem przed chwilą.

4.

Pierwszy aspekt tej odnowionej

świadomości wydaje się zupełnie oczywisty: to zwrot w stronę myślenia w literaturze i poprzez nią, zwrot ku literaturze myślącej.

Powiedzmy od razu: w powojennej literaturze niewiele było dzieł problematyzujących i dramatyzujących proces myślenia — tak na poziomie autora, jak bohaterów. Nasza literatura — raczej powtarzała myślowe tworzydła niż myślała. Dlatego tak niewiele w niej przyszedł człowiek myślący... Teren szczególnie przynębiający stanowi obojętna od tej strony proza większości debiutantów ostatnich lat, starających się usilnie odsunąć od siebie i swych bohaterów posadzenie o używanie umysłu. Nie straciła więc aktualności dawna uwaga Pawła Beylina, piszącego: — Mamu tak małą tradycję literatury intelektualnej, tej właśnie, która prowadzi wewnętrzną dialog świadomości ze świadomością świadomości, że jak się coś takiego trafi, stajemy bezzadni... Tymczasem waga myślącej, problematyzującej proces myślenia literatury (takiej jak choćby „Dziennik” Gombrowicza) jest dla ucieczki od zdognatyzowanej, unieruchomionej świadomości obrzydliwym. Dzieje się tak choćby dlatego, iż nastawienie na ruch myśli, stwarzanie w tekście przestrzeni namysłu siłą rzeczy pokazuje człowieka jako pole możliwości, jako podmiot dokonujący niustannych intelektualnych wyborów... Stematyzowany proces myślenia zakłada wewnętrzną niezależność, eliminuje przynajmniej częściowo strach towarzyszący sparaliżowanej świadomości. Wreszcie: otwiera dialog z potencjalnym czytelnikiem, choćby poprzez uświadomienie mu, iż uczestniczy we wspólnej grze, której wynik nie jest do końca znany.

To otwarcie na zewnątrz to już

właściwie drugi — być może najważniejszy aspekt rekonstruowanej świadomości. Jest nim wytworzenie — u pisarza i czytelnika — nastawienia na rozmowę, na rozumienie. Oznacza to — paradoksalną w dobie panowania Wielkiej Liczby, a więc anonimowości odbiorcy — próbę ponownej personalizacji literatury, traktowania jej nie w kategoriach wymiany towarowej, lecz raczej wspólnego poszukiwania wartości duchowych, wspólnego odnajdywania postaw wobec rzeczywistości, czy wreszcie po prostu ethosu bycia w jakiejś zbiorowości. Oczywiście realizacja takiego nastawienia nie wydaje się zbyt prawdopodobna — pomimo to powinno ono pozostawać czymś w rodzaju idei regulatywnej, horyzontu myślenia — pozwalającego widzieć w dziele medium międzypersonalnego porozumienia i swoisty przenośnik wartości... (Innym wariantem tego nastawienia na rozmowę jest oczywiście postulowana przez Marię Janinon zasada odnawiania znaczeń rozumiana jako zakorzenianie się w universum wartości utrwalonych już — i zarazem aktualizacja tych wartości. Obie te czynności służą budowaniu ciągłości życia duchowego nie tylko wobec współczesności, ale też przeszłości.)

Wreszcie: obok nastawienia na procesualność myślenia i rozmowę istotną jest dla literatury, która wolna byłaby od unieruchomionej świadomości to, jaki typ doświadczeń rzeczywistości uznany będzie za najistotniejszy. Biegunkowe punkty takiego doświadczenia, które wydają mi się kluczowe dla literatury myślącej i przekazującej wartości nazwał, jak się zdaje Miłosz, wskazując na historię i teologię jako najważniejsze aspekty egzystencji. Tak się też złożyło, że oba te bieguny wymagają dziś w polskiej świa-

domości gruntownej odbudowy, bo w ostatnich dziesięcioleciach zrobiono szczególnie dużo, aby wszyscy zapomnieli zarówno o historycznym, jak metafizyczno-religijnym wymiarze egzystencji. To zastępowanie historii i religii przez ideologię będzie prawdopodobnie długo jeszcze odczuwane. Stąd dwa zadania. Po pierwsze: odbudowa świadomości i wyobraźni historycznej, zobaczenie jednostek i zbiorowości jako podmiotów wspólnego wysiłku usensowniania zdarzeń. Szczególną wartość ma w tej odbudowie myślenie, które pomaga odnależć ciągłość postaw i wartości przekazywanych w czasie — jak to czynią na różne sposoby na przykład „Rodowody niepokornych” i „Rzecz russowska”. Po drugie zaś: rozejrzenie się w dzisiejszym sensie pytań metafizycznych i religijnych. Tylko takie połączenie historycznego i metafizyczno-religijnego wymiaru egzystencji ludzkiej osoby może — poprzez scalenie zapomnianych i pozrywanych wątków myślenia — stworzyć kogoś, kto byłby w stanie pokonać wewnętrzne poczucie nierzeczywistości i stanąć wobec rzeczywistości w jej pełnym, a nie tylko ideologicznym wymiarze... Nikt nie jest w stanie zaręczyć, czy taki powrót na grunt wartości jest w pełni możliwy. Nikt nie jest w stanie zaręczyć, iż zmieni to literaturę. Tu jednak widzę jedną z nielicznych dróg wyjścia poza martwe pola świadomości — dróg naprawdę wartych ryzyka.

MARIAN STALA

13

STUDENT

nr 26 (313)

17 XII — 6 I 1982

Smutnym choć typowym zjawiskiem w minionym 35-leciu było okrawanie tradycji literackiej przez cenzurę stosownie do zaleceń partii. Nie uszanowano nawet klasyków. Kiedy prof. Stanisław Pigoń usiłował włączyć publicystykę Stefana Żeromskiego do opracowywanego przez siebie wydania „Dzieli”, napotkał nieprzewidywalne przeszkody. Walcząc z nimi alarmował wszystkie możliwe instytucje z Prezydium PAN, Ministerstwem Kultury

Sztuki oraz Wydziałem Kultury KC PZPR na czele. Większość urzędów nie raczyła odpowiedzieć. Z Wydziału Kultury KC otrzymał pismo, podpisane przez Wincentego Kraskę, zawierające — oprócz pustych form grzecznościowych — stwierdzenie, że „wydawanie publicystyki Żeromskiego nie leży w interesie kultury polskiej”.

W związku z tym, czując pamięć prof. Stanisława Pigoń, udostępniamy Czytelnikom wybór publicystyki autora „Przedwiosnia” w następującym porządku.

1. „Snoizm i postęp”, przedruk wydania pierwszego z roku 1925 (ukazał się w roku 1981);

2. „Bicze z piasku. Szkice publicystyczne”, przedruk wydania pierwszego u J. Mortkowiaka, Warszawa-Kraków 1925;

3. „Rozproszone pisma publicystyczne”, opublikowane dotąd jedynie w czasopiśmie (w przygotowaniu).

Szkie, którego fragmenty publikujemy, pochodzi ze zbioru „Bicze z piasku”; w jego skład wchodzi także prace „Organizacja inteligencji zawodowej”, „Drożyzna i Zamyszczyzna”, „Nowa Warszawa”.

WYDAWNICTWO ABC

bezwzględniejszą kontrolą — zespół jego współtowarzyszów zawodu. Kiedy ludzie postanawiają przebić tunel pod łańcuchem gór, ażeby w szybkim pociągu przebywać w kilkanaście minut do tego miejsca na drugiej stronie łańcucha, dokąd dawniej trzeba było w najcięższym trudzie w ciągu paru dni wędrować, wówczas inżynier obejmuje władzę nad rzeszami pracowników. Ci muszą być mu bezwzględnie posłuszni, albowiem patrzą zdumieni w niewiedomości swej, jak podkop, wszczęty z dwu stron górskiego ogromu, spotyka się w głębiach skalnych czeluści, nie chybając swej drogi ani o milimetr. Skoro naród jakiś — na przykład Czesi — postanawia wznieść wielki teatr dla rozwoju sztuki narodowej, wówczas rozkazom architekta, którego plan uzyskał aprobatę, poddają się tłumy różnorodnych pracowników, wykonując posłusznie jego świadome zarządzenia w zakresie dzwigania murów, wiązania dachów, kopu i wież. Geolog, rozłupający młotkiem kamienie, które potrącała obręcz nędznego wozu kmiecia, albo chodaki robotnika, odkrywa w nich niespodzianie tajemnicę, jemu tylko wiadomą istotę siły, i oto wydaje wskazówki milionierom tropiącym skarby, inżynierom, potrzebującym zarobku i tłumom, idącym za skibą nędznego chleba. Oficer trzymający rękę na zasadniczym motorze olbrzymiego pancernika i kierujący obrotami statku dookoła własnej jego osi, tańcem piekielnym nad bezdennością oceanu pod straszliwymi pociskami z niezmiernych łuf wrogiego dreadnoughta, jest samowładzą tysiąca istnień ludzkich, które zależą od dobrego, albo złego ruchu jego dłoni. Marya Curie-Skłodowska podczas wykładu w sali paryskiej Sorbony, wywodząca na tablicy z równań matematyki wyższej krzywą linię, a potwierdzającą tę samą linię za pomocą fizycznego działania na świetliste, ruchome radium w szklanej cewce rozmaitemi potęgami siły elektrycznej, rządzi umysłami słuchaczy, na zasadzie posiadania odkrywczej

wiedzą, co się dzieje w warsztatach. W świecie tym umorusowani, zasmoleni, czarni od potu, w który wgrzyzi się dym i kurz, rękoma zgrabiłymi, jak korzenie drzew i twarzami stężoną od kurczów wysiłku, niby zastępy geniusz, wynalazca, znawca, specjalista. Ale i sam wynalazca musi się upokorzyć wobec warsztatu, gdzie wykonywać się będzie jego pomysły. Musi i on być współpracownikiem, inaczej jego koncepcja stanie się jedynie chimera niewykonalna.

Proletariat, wydyscyplinowany w swych związkach zawodowych, zorganizowany w sobie, zjednoczony, po wessaniu w swój ogrom mocy geniusza i zaspokojenia wszelkiej mocy arystokracji, niedostępny dla jakiegokolwiek ambicji i potężniejszy ponad wszelką władzę cesarza, weźmie na się rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historii. Ożywiać go będzie żądza sławy, jak starożytnych Greków, to też wytworzy zjawiska heroizmu niewidzianego w dziejach. Ponieważ proletariat syndykalistyczny nie zamierza dziedziczyć łupów, więc też nie przewiduje wcale metod walki i nie układa planów, z których pomocą mogłoby zdobyć osiągnąć. Jego niezłomną siłą, jego potęgą mocniejszą niż wszystko, jest zorganizowanie w swych rękach mechanizmu produkcji wszytkiego, czem ludzkość żyje. Zamierza on dokonanie jedyne: wyniszczenia kapitalizmu. Nic nie osiągnąc ze zwycięstwa, to znaczy nie dzieląc między poszczególnych ludzi dóbr materialnych, proletariat ograniczy zakres władzy państwa, które było organizatorem bezmyślnej wojny na zewnątrz, rozdawcą zdobyczy i racją bytu posiadaczy łupu. Proletariat wytworzy ludzi wolnych. Nie będzie rozlewu krwi dla rozlewu krwi. Nie będzie kara. Ulepszy i uczni obyczaje. Jego zadaniem jest już dziś założenie podwalin

Porównywałem niegdyś, w jednej ze swych pisanin, dole Polski do nieszczęścia brzozy żyjącej, której pich wyglądał się w pałak wskutek tego, iż jej koronę, nagiętą aż do ziemi, z gałęzmi, pędami i liśćmi przywalila niezmienna, nieudźwigniona masa jałowej gliny. A oto teraz szczęśliwe oczy oglądają cudowny widok, jak ta nieśmiertelnie żywa korona, wyciągnawszy gałęzie, pręty i liście spod zeschniętej i splekanej nawały, uciekla w niebiosa i tam radośnie drży wszystkimi młodeymi wtkami, a żywotwórcze soki jej pędzą ku górze szlaki naturalnymi w wyprostowanym, strzelistym pniu.

Prawdą oczywistą przed oczyma ludzkiemi stało się, iż kłamali cesarze i rządy ich, mniając się namaszczonymi z góry, jedynie prawowitymi, przez czysty rozum wskazanymi regulacjami wśród zamętu pracy i nagromadzenia bogactw czowieczych. Ujrżeli wszyscy ludzie, że głupstwo i kłótność tało się w istocie rządów monarchów w ciągu trwania tych ludzkich pokoleń. Jeżeli kłótność i kłótność ukryte było w rdzeniu zasady rządów trójcesarskich, osnutych tyła masą pomazań, symbolów i ozdób, zewsząd czerpanych, jeżeli niemal w mgłności żrenicy runęły dziesiątki tronów pomniejszych w Rzeszy niemieckiej i na zewnątrz niej — istnie kłudy w kręgielni, waląc się od udużenia jednej wszędzie potężnej, okragłej kuli ludowego gniewu — to samo przez się nasuwa się pytanie, czy takim samym kłótnostwem i kłótnostwem nie jest zasada wszelkiej władzy, jaką przybiera człowiek nad człowiekiem. Któż rozumowi czystemu, niespełanemu więzami wieniec, wmońwień, lub doktryn zaręczy, iż rządy dyktatorskie, republikańskie, mieszczańskie, ludowe, socjalistyczne, rządy partii zjednoczonych, albo partii, wysuwających się na czoło społeczeństw, poprzedz swe siostrzyce i rywalki, nie zawierają tej samej w sobie zasady kłótności i kłótności?

Obserwacja podstawy i biegu życia ludzkiego w gromadach wskazuje na inne uprawnienia rządu owowieka nad człowiekiem. Kiedy wybucha epidemia szkarlatyny, plamistego tyfusu, osow, cholery, dżumy, wówczas rządy nad ludźmi obejmują lekarze. Wykują nieodwołalne prawa, nakazuje i zakazuje, odrywa masę i kładzie dłoń na ułnu zrozpaczonych matek i zamyka je w niedostępnych szpitalnych więzieniach. Obstawia domy strażą, przerywa możność komunikowania się ludzi z ludźmi, w pałacach milionerów, rządów świata i królów jednym skinieniem, lub jednym podpisem sprawuje wszechwładne rządy. Zlecenia jego akceptuje — pod naj-

swój wiedzy, bardziej wszechwładnie, niż monarcha i bardziej nieudłolalno, niż arcykapłan. Dom Edisona, pracującego w zaciszu nad środkiem wydobywania z głębi oceanu niemieckiej łodzi podwodnej na powierzchnię niemal wszechwładną siłą, mocą działania baterii elektrycznych okrętu na jej elektryczną siłę, — strzeżony jest przez wojsko, ażeby nikt nie zamącił myśli genialnego odkrywcy, nie opóźnił, uszczędził albo skradł jednego promienia ze światła wynalazku. Uczni, technicy, inżynierowie, chemicy, fizycy, lekarze, znawcy, specjaliści, działający jako odkrywcy, albo na podstawie wdrożenia nieomylnych wyników prawd znalezionych, sprawują rządy wciąż i wszędzie. Kiedy ci istotni rozkazodawcy, utrzymując życie społeczeństw na wyżynie kultury, czynią rząd, niejako, tajny, codzienny i pospolity, — rządy jawne w parlamentach i ciałach przedstawicielskich trzymają w ręku tak zwani politycy reprezentanci stanów, stronnictw i partii. Drzwi do ciał prawodawczych otwierają nie geniusz, wiedza, posiadanie całkowitej prawdy o rzeczy przez jej umiejętnie w każdej chwili zbadań, znajomość sprężalności aż do podstawy, lecz tak zwany „klucz partyjny”. (...)

(...) „Człowieka pragnącego działać publicznie na arenie społecznej, pracować szeroko a skutecznie, zalecać musi nie jego istotne uzdolnienie, wiedza i osobiste zalety, lecz przynależność do jakiejś partii. Jednostka, nie należąca do narodowych demokratów, socjalnych demokratów, politycznych socjalistów, ludowców, postępowych demokratów, krajkowskich konstytucjonalistów, albo do jednego z kilkudziesięciu małych grupowań, raczej nazw, niż grupowań, zwanych „kanapami partyjnymi” w Królestwie, — pozostaje bezsilnym rezer, zepchniętym do głębin wzgardzonego zawodu. Osobistej tak nie posiada prawa do patrystycznego działania na korzyść ojczyzny, do publicznego sądu i publicznego głosu. Nawijają się pod pióro dziesiątki imion ludzi mądrych, tegich, pracowitych, ofiarnych, czystych, promotorów i strażników rzeczy publicznej, którzy za czasów najstraszniejszych dni Polski karmili ją chlebem swego trudu i polni życia daniem mlekiem wiecznej nadziei, trzymali ogół na wyżynie, jako cywilizowaną społeczność, a który teraz, gdy wody niedoli obfitywają — w pokorze swej idą w zapomnienie. Na widowni publicznej grasują i harcują rozmaici „posłowie”, wybrani za czasów panoszenia się i działania „żelaznych” austriackich pałoków i żółdaków, albo jakiegoś nikomu nie znane koczodany partyjne, których pracy nikt nie widział i których zdolności nigdzie i w niczem się nie ujawniły. Po władze nad narodem, wywołaniem z kaidan siega nawet zwyczajna kanapa, którą rządy najednicze oflacyli pieniądź mi lub możnością dorabiania się mocą poręczono jej zakrośu władzy. Główną masę tych ambitych karierowiczów stanowią rozmaici lawiranci, krętacz, ludzie bryz stajęj narodowej zasady, tak zwani „politycy”. (...)

(...) Wszędzie, jakoby, rządzi politycy a „biało-rączka” przedstawiciel czarnych rąk proletariatu jeździ automobilem i pierwszą klasą kolei, zarabiając na dostatnie i wygodne życie jedynie temi właśnie tatygam. Otóż jest to złudzenie. Oddawna przeciwko „politykom” i rozmaitym reprezentantom” sprawy ludowej podnosiły się z łona samego ludu gwałtowne protesty. Od dawna pracownicy rozmaitych zawodów poczęli łączyć się w związki, czyli syndykaty, przede wszystkim dla zrzucenia ze swych ramion wszelkich wódzów i „szefów stronnictwa”. Od dawna przeciwko mieniom socjalistycznym w parlamentach, różnym Scheidemanom, wybuchaly gwałtowne bunt. Na tle tego ruchu przeciw-parlamentarnego zarysował się nowy kierunek w usiłowaniu wyrażenia proletariatu, zwany syndykalizmem. Zasady jego ujawniły się przede wszystkim w genialnej książce George'a Sorela p.t. *Reflexions sur la violence*, w książce Du-four p.t. *Syndicalisme* i olbrzymiej literaturze agitacyjnej. Ta najbardziej nowoczesna, najskrajniejsza i najprostsza metoda organizowania życia publicznego, która znalazła olbrzymi posuch wśród proletariatu Francji, Anglii, Włoch, Hiszpanii, a oddziaływała bardzo wydatnie na tak zwanych socjalistów niezależnych w Niemczech, domaga się choć pobieżnego tutaj potrącenia i wykładu. Polega ona głównie na wytwarzaniu autonomicznego, niezależnego życia różnorodnych związków zawodowych, czysto robotniczych, które winny powoływać do życia główny instytut pracy. (...)

(...) Lecz jeżeli w każdym fachu pracownicy zwiążą się w zawodowy syndykat, a związek syndykatów utworzy organizację główną, rodzaj giełdy pracy, która zabiegać ich będzie i będzie w stanie pozbawić pracodawców siły roboczej za pomocą strajku, wówczas układniejszy i cnotliwszy stan się pracodawca. Od kucharza w jadłodajni, który konsumentowi powinien dać porcję z dobrego i jedynie świeżego mięsa, zdrowo i smacznie przyrządzoną, aż do mularza, który nie powinien czynić ani jednego poruszenia kielnią na niekorzyść przyszłego mieszkarnia, a w interesie kamienicznika, poprzez wszystkie zawody winien by nareszcie przejść ów nakaz moralny ugodzenia w pozioły interes, a wyświadczenia przysługi dobru pospolitemu. Zatrudnieni we wszelkich pracach i przedsięwzięciach winni by przeważać zawodowe milczenie o oszustwie, wprowadzić na wszystkich posterunkach pracy słowo uczciwe, szczerą prawdą, niezłomną dobrą wiarę publiczną. Wtedy dopiero zadrżałby w sobie i zachwiał się świat wszelakich paskarzów, świat kłótności. Wtedy również każdy spracowany człowiek w Polsce, która jarmoz despotów z ramion zrzuca, odetchnąłby pełnymi piersiami w czystym uczciwości powietrzu. Jego spracowane ramiona wyciągną się do nowego świata, gdzie wszystkie siły wytwórcze drogą naturalną przechodzą w ręce ludzi wolnych, ludzi, którzy

moralności wytwórców pracowników i wynalazców, opartej na skali trudu. Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata. Zasadniczą jej cechą będzie dążenie do ocalenia cywilizacji. Siła entuzjazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu. Człowiek nowy pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszym rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania rozragnionej uwagi tłumów i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiadzie siawę istną wśród ludzi wolnych. Do tego celu zdążyć będą wszyscy z największą ludzką pasją i z najognistszym zapalem działając na własną rękę. Ten ideał walki mas pracujących z autorytetem monarzystym oraz tyranii, przebramą w jakakolwiek inną formę, nie znajdując sprzeciwu w najmiarodajniejszych enuncyacjach religii katolickiej. Tomasz z Akwinu, w swem dziele, usiłującym ogarnąć całość życia ludzkiego i wszystkie zagadnienia ducha p.t. *Summa theologiae* w rozdziale o rewolucji *De seditione*, aprobuje w wersecie XLII zasadę rewolucji pod jednym warunkiem, iż nie przyniesie ona szkody masom ucimienionym. (...)

(...) Organizatorem nowoczesnego życia mas pracujących w Polsce będzie Rząd Polski, wyłoniony z Sejmu. Sejm, wielkie laboratorium ustaw, gdzie jawnie i swobodnie ścierać się będą wszelkie czynniki życia społecznego, zawrze w sobie przedstawicieli stronnictw i partii, tych funkcji, czyli potęg życia. Rząd polski, powołany przez Sejm do spełnienia wypracowanych i przyjętych ustaw, powinien się składać ze specjalistów, z ludzi najgenialniejszych i naitęższych nie w partyach, lecz w ojczyźnie. Rząd taki winien być organem wykonawczym, instrumentem i dzwignią, poruszającą z posad martwą bryłę naszego świata. Można by powiedzieć, że minister nie powinien mieć osobistych przekonań, ani przekonań swej partii, czy swego obozu. Powinien być jedynie pełnomocnikiem, wykonującym precyzyjnie i szybko sprawy polecane.

Gdyby tak, jak tu w pobieżnym skrócie naszkicowane zostało, przeprowadzono reformę przede wszystkim agrarną i wszczęto wielkie roboty narodowe, to w istocie, nikt w Polsce nie byłby skrzywdzony. Trudno krzywdą magnata nazywać odcięcie mu „klucza” z kilkunastu, czy kilkudziesięciu folwarków, pozbawienie go pałacu, albo lasu do polowania. Unikneloby się natomiast fatalnego błędu bolszewików rosyjskich, którzy proklamowali i wdrożyli akt zemsty, który zasądził reformy, — którzy stan i tytuł proletariatusa uważali za dostateczny motyw i zasadę przedzierzgnięcia nędzarza w pana, a natomiast stan i tytuł pana, bogacza, za motyw i zasadę zepchnięcia człowieka w przepaść nędzy i głodu, w to właśnie miejsce, gdzie proletariatus leżał do niedawna.

Panowie polscy, szlachta i dziedzice, muszą się ograniczyć, zdjąć delię i złoty pas, kontusz i kołpak z czaplem piórem, muszą, jak dawno głosili ojcowie z Towarzystwa Demokratycznego „wejść w lud i stać się ludem”. W zamian za to ograniczenie, ujrzą własnymi oczyma, jak ich kapitały martwe, pasywne, leżące w postaci kup złota w bankach angielskich i innych, przemieniają się w dobra i kapitały aktywne, czynne, procentujące się stokrotnie, w oczywistej postaci szczęścia ludzkiego i dobra na ziemi. To ich wyrzeczenie się i ograniczenie zgodne jest z zasadami nauki Chrystusa i świętych Jego Kościoła, którzy głosili, jak nieśmiertelny Ambroży: „Nemo proprium dicat, quod est commune” — oraz: „Plus quam sufficeret sumptui violenter obtinui est”.

Czy może być w zgodzie z zasadami Chrystusa zjawisko posiadania pustych zazwyczaj, ogromnych pałaców, zamkniętych nieraz mieszcami, półroczami, latami, gdy bezrolni i bezdomni nędzarze, rodacy mówiący z prawdziwym tym samym językiem, nie mieli, prawdziwie, gdzie by głowę skłonić? Czy zgodne było z zasadami Chrystusa posiadanie ziem,

których częstokroć nie znano się wcale, lasów do polowania, gdy pracowity nędzarz nie miał ani jednej skiby ziemi i musiał wędrować dlatego z ojczyzny w ziemie cudze, tam szukać się bez opieki, bez znajomości mowy rozkazodawców, wszędzie nędzny, ubogi, wiochęga, którego „nógami popierano”, ażeby dźwigać u obcych to, na co szkoda było pańom zużycia siły konia, wołu i osła, — ażeby wciągnąć płucami najjadliwsze zarazy, wszystkie fety, kurze i zgnilizny warsztatów cudzych i fabryk, wyciskających zeń ostatek siły? Przewiduję i uprawiam zarzut co do tego rozdawnictwa „cudzej”, to znaczy, wielkopolskiej ziemi. Łatwo jest w istocie proletaryzować pisarskiemu, który posiada na własność kałamarz, pióro i ćwiartkę papieru, darowywać ludowi ogromne latyfundi, wdzierając się przed czasem w prerogatywy konstytucyjnego Sejmu. Nie tak zaś łatwo jest wielkiemu posiadaczowi rzec się włości odziedziczonych, otrzymanych, jako własność, albo nabytych, do których przywykł. — częstokroć dóbr pradziadowskich.

Rozumiem wielkość takiej ofiary i ceniłbym ją najwyżej jak zasługę, gdyby się dobrowolnie dokonywała. Byłaby to bowiem wysoka forma patriotyzmu i społecznienia. Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patriotów i owo zręczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem wytrwale, przez całe życie, — psując do gruntu jaką taką wartość artystyczną swych pisanin. Czasy nadeszły ciężkie dla posiadaczy. Nie słuchali niczyjego głosu. Obrzucali, za pośrednictwem piśm swych najemników gazeciarskich, wszelakimi zniewagami tych fantastów, którzy potrzebę ofiary, konieczność reform głosili wytrwale i spokojnie, a co do gardła przedstawili w ciemności czasu przewidywali. Teraz już wyjścia nie ma. Nie pomogą wybiegi i matactwa reakcji. Nie nie pomoże! Albo sprawa pójdzie krzywym łukiem rewolucji, o której nikt a nikt nie wie, dokąd ona zajdzie. — albo, jak to zwykli czynić mistrze w organizowaniu stosunków życia ludzkiego na ziemi, Anglicy — szlakiem cięciwy, zabiegniętą rewolucji drogi, na przełaj, drogą mądrej, dobrowolnej, chrześcijańskiej ofiary. W przypadku pierwszym, w przypadku rewolucji, zniszczone zostaną skarby kultury i sztuki, które są w naszym posiadaniu, łać się będzie krew i rozpasze się chamswo biednego stratanego człowieka. W przypadku drugim — stałoby się zadość tej wysokiej zasadzie najszlachetniejszego z племен szlachty:

„Nie nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez duchów podnoszenie.
Bo cel światów — szlachetnienie”.

Tej wielkiej narodowej sprawy nie powinniśmy się szybko „zafatwiać”, lecz należałoby nią „zatrudnić” wszystkie umysły, — podjąć ją i ukazać, jako dzieło największej wagi, od którego postawienia i rozwiązania zależy przyszłość narodu polskiego.

Obraz człowieka pędzącego zdyszanym marszem przez nie kończący się kołtacz... Tak zaczyna się i kończy „Człowiek z marmuru”, który doczekał się ostatnio — do czego doszł — premiery telewizyjnej. Podobnie zaczyna się i kończy „Indeks” Janusza Kijowskiego, utwór zrealizowany także na przełomie 1976 i 1977 roku, ale wprowadzony na ekrany dopiero teraz. W obu filmach emocjonalne oddziaływanie ramy jest równie skuteczne: obraz wywołuje wrażenie wściekłości, pasji, ludzkiej energii tłumionej, nie znajdującej dla siebie ujścia.

Ale za podobnymi emocjami kryją się różne sensy. Rama filmu Andrzeja Wajdy układa się w przesłanie nadziei. Wściekłość młodej reżyserki jest wściekłością człowieka, który wie, co chce robić, ma poczucie siły, ale cudza zła wola i nierozumienie oddalają go od osiągnięcia celu. Końcowy marsz z Radziwiłowiczem podpowiada jednak, że bohaterka do tego celu się zbliża. Rama „Indeksu” sugeruje brak nadziei. Wściekłość Józefa Monety wypływa z bezsilności. Zrobił wszystko, co mógł, by nie skałać się kompromisem. A jednak nie jest już sobą: z człowieka walczącego o własną niezależność stał się belfrem, tłumiącym niezależność wycho-

Aby pokazać, jak w wyniku wydarzeń marcowych więź pokoleniowa rozpadła się — Kijowski wprowadził bohatera — absolutnego nonkonformistę, Józefa Monetę — sam rezygnuje ze studiów na znak protestu, długo potem nie wykorzystuje kolejnych szans powrotu na uczelnię, zarabia na życie jako węglarz, nie godzi się na proponowane przez redakcję poprawki w opowiadaniu — choć zależy mu na literackim debiucie; że już nie wspomnę o obojętności na propozycję współpracy z milicją. Nawet z miłości rezygnuje, skoro małżeństwo z panną z dobrego domu znużaloby go do obyczajowych kompromisów.

Kiedy jednak widz zaczyna się zastanawiać nad motywacjami rozmaitych wyborów życiowych Józefa — bohater ów zarysowuje się cokolwiek dwuznacznie. Jego maniacki nonkonformizm kryje być może lęk przed życiem albo niedojrzałość, jego zdecydowaniu towarzyszy nieczułość, fantazja — dość tandetna potrzeba zgrzywu. Można całkiem dokładnie odróżnić sceny w których zachowania bohatera są jego rzeczywistą odpowiedzią na sytuację społeczną, w jakiej funkcjonuje, bądź rezultatem tej sytuacji — od tych, w których związek z ową sytuacją jest wzmianką

BO POJEDYNCZO NAS WYTŁUKĄ

TADEUSZ LUBELSKI

wanków. Co prawda metamorfoza ta odbywa się dość nieoczekiwanie i widz rad by spytać, dlaczego właściwie Józef M. ugiął się. Nie wytrzymał biedy? Samotności? Boi się? Przesałki konformizmem, który jest dookoła? A może dlatego nie wyklada uczniom prawdziwej historii, że jej po prostu nie umie? Byłby więc nie tyle konformistą, ale ofiarą systemu szkolniowego PRL (co jest tym bardziej prawdopodobne, że kończy studia w trybie zaocznym)? Odsuwając na razie te pytania stwierdzamy, że reżyserowi bardziej niż na psychologicznym prawdopodobieństwie postaci zależało na sugestywności portretu pokolenia. W istocie bowiem film Kijowskiego (rocznik 1948) opowiada o klęsce generacji, którą określa się czasem jako „pokolenie marcowe”.

Już samo pokazanie „wydarzeń marcowych” jako centralnego przeżycia tego pokolenia czyni „Indeks” utworem przełamującym tabu, unikalnym w naszym kinie, które dotąd pozwoliło sobie zaledwie na suchy komunikat radiowy, zaskakujący bohatera „Iluminacji” w górskim schronisku. Wprawdzie — ze zrozumiałych względów — nie ma w filmie Kijowskiego tak bogatego obrazu wydarzeń, jaki teraz oglądać można na wystawach fotograficznych, ale krótka sekwencja „Indeksu” odnosząca się do marca stanowi fragment wyrazisty i czytelny. Składa się ona z pięciu scen: najpierw inauguracja roku akademickiego 67/68 na Uniwersytecie Warszawskim, zakończona w Pałacu Kazimierzowskim „bankietem” grupy studentów historii, typowym dla rozpolitykowanej atmosfery tego czasu, kiedy wspólnie śpiewano pieśni, a w sąsiedniej sali koleżki układali tekst odezwy; dalej interwencja u dziekana w sprawie relegowanego z uczelni kolegi; potem krótki obraz metaforyczny: tłum studentów w panice uciekający środkiem ulicy, pędzony strumieniem wody (okazuje się zarez, że z polewaczki); wreszcie zatrzymanie bohatera przez milicjantów — za blachostkę — i doprowadzenie do aresztu. Ten krótki ciąg scen daje się odczytać nawet jako — obserwowana z perspektywy jednostkowego doświadczenia — interpretacja wydarzeń marcowych. U ich początku było wszak poczucie solidarności z rówieśnikami, wspólne uświadomienie sobie własnych tradycji i własnych uprawnień. Zś rezultatem wydarzeń stało się rozbięcie tej pokoleniowej jedności, przymuszenie do rezygnacji ze złudzeń, do posłuszeństwa i przystosowania.

Januszowi Kijowskiemu ów temat poczucia odpowiedzialności za losy rówieśników jest szczególnie bliski. Widać to w jego następnym filmie „Kung-fu”. Nie przypadkiem on sam w „Indeksie”, w scenie w Pałacu Kazimierzowskim, śpiewa — odbierając gitarę operatorowi Krzysztofowi Wyszyńskiemu — „pieśń studencką” Okudźwysy „Związek przyjaciół”. Sygnny refren „Wzmiemś ja za ruki, drużko, sztab nie przepaść a adinoczkę” ładnie brzmi w przekładzie: „Hej, przyjacielu, podaj dłoń / bo pojedynczo nas wytłuką”. Musiało być coś z tej atmosfery i w pracy na planie, skoro liczna ekipa zdecydowała się w ogóle na wzięcie udziału w tak ryzykownym przedsięwzięciu, i to pod kierunkiem samych prawie debiutantów. Nawiasem mówiąc, zespół „Przymat” (pod kierownictwem Aleksandra Ścibor-Rylskiego i Tadeusza Konwickiego), w którym „Indeks” powstał, rozwiązano zaraz po kłaudacji filmu.

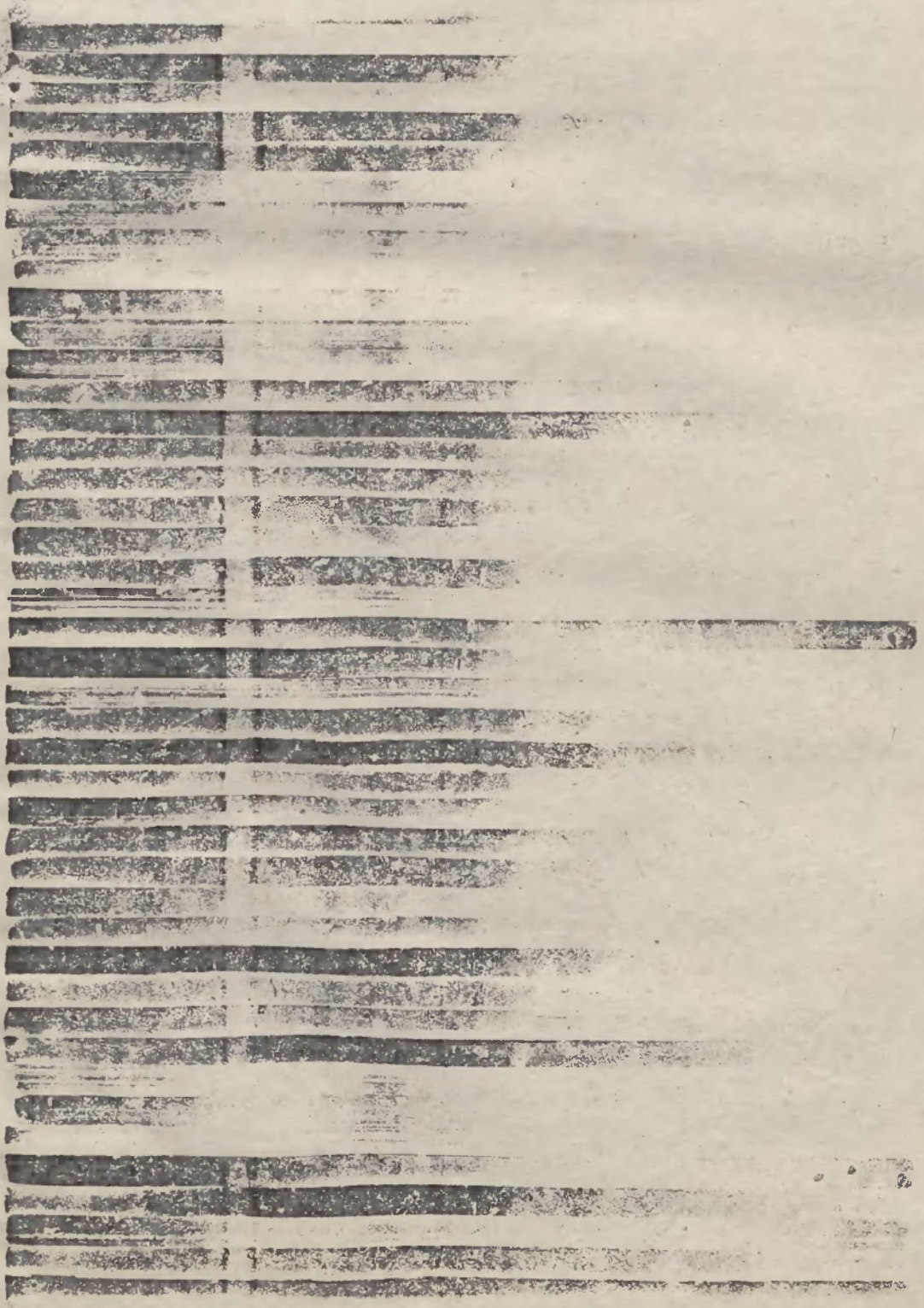
albo wybiegiem. Do pierwszych zaliczyłbym sceny uniwersyteckie wraz z dyskusją studentów historii, rozmowę z dziekanem przy trzepaniu dywanów („Do czego ja się mam przystosowywać, panie dziekanie? Do tego mieszkania, na które będę czekał 15 lat? Do własnego strachu?”), rozmowę z Andrzejem o „pokoleniu” i „inteligencji”, rozmowę z kapitanem milicji, scenę szkolną. Do drugich cały motyw pracy w węgloku, motyw twórczości literackiej, sceny z dziewczynami, sceny rodzinne. Źródło podziału jest jasne. Ta druga grupa wzięła się z opowiadania Andrzeja Pastuszka „Łowca gołębi”, którego motyw wykorzystał Kijowski w scenariuszu; ta pierwsza — pochodzi od samego reżysera.

Nie upieram się przy opinii, że sceny z opowiadania Pastuszka są gorsze od tych, które wymyślił Kijowski; choć prawdę mówiąc tak właśnie jest. Rzecz jednak w czym innym. Myślę, że bohater, który był potrzebny Kijowskiemu i bohater Pastuszka — to bardzo różni ludzie. Ten pierwszy traktuje życie niezmiennie serio; stara się zrealizować wartości, w które wierzy, ale sytuacja temu nie sprzyja; jest typem zawiedzionego społecznika. Ten drugi jest absolutnym indywidualistą, typem sympatycznego lekkoducha, przed którym własna wrażliwość oraz osobisty mit dzieciństwa stawiają pewne wymagania, każą nie wszystko i nie wszystkich traktować równie niezobowiązująco. Te dwie postacie trudno pogodzić w jednym człowieku; choć Krzysztof Zaleski — świetny wykonawca roli Monety — przekonuje chwilami, że i taka kombinacja jest możliwa. Może i możliwa, ale filmowi Kijowskiego nie wyszła na dobre. Reżyser ten ma temperament realisty. Gdy czuje pod palcami konkret — wtedy widać, że urodził się, by robić filmy. Gdy sytuację, o których opowiada zaczynają być mniej prawdopodobne — traci pewność ręki (proszę zobaczyć, jak sztucznie wypadła scena wesela).

Rzecz w tym, że od twórcy tak jak Kijowski wyczulonego na pokoleniowe więzi — wolno oczekiwać, iż odwoła się do najlepszych wartości artystycznych, wytworzonych przez swoich rówieśników, istniejące na przykład poezja Stanisława Barańczaka; cały prawie „Dziennik poranny” opiera się na motywach marcowych i pomarcowych. Nie próbowałbym oczywiście żadnego filmowca namawiać do adaptowania tej poezji (choć kto wie!). Ale idzie o korzystanie z doświadczeń. Skoro najlepszy nowofalowiec poeci nauczył się — operując wielością „języków” — docierać do ukrytych mechanizmów rzeczywistości, to po prostu szkoda portret tej rzeczywistości dostosowywać do upraszczającej ją wizji prozaika średniego lotu.

Najważniejsze jednak — pozostałymi już przy pokoleniowej optyce — że „marcowa” generacja ma reżysera, który doskonale wie, co chce powiedzieć. W dodatku swoim pierwszym, ważnym filmem dowiodł, że nawet w nie sprzyjających okolicznościach gotów jest zrobić wszystko, by powiedzieć właśnie to.

- Nakładem wydawnictwa ABC niebawem ukaza się następujące pozycje:**
- Henryk Wereszycki, *Historia polityczna Polski 1864—1918*,
 - Bronisław Stryskowski, *Zarys dziejów narodu i państwa polskiego 1914—1939*
 - Ryszard Przybylski, *Wdzięczny gość Boga; Esej o poezji Osipa Mandelsztama*
 - Peter Rain, Władysław Gomułka; *Zyciorys polityczny*
 - Maciej Broński, *Teksty i preteksty*
 - Jerzy Stempowski, *Od Berdyczowa do Rzymu*
 - Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą, t. 1 1971—1972, t. 2 1973—1979*
 - Henryk Grynberg, *Zwycięstwo*
 - Henryk Grynberg, *Życie codzienne i artystyczne*,
 - Marek Hlasko, *Brudne czyny*,
 - Leonard Cohen, *Wiersze i ballady — rysunki Bronisława Kurdziela*
 - Wit Jaworski, *Krótki kurs — rysunki Jacka Sroki*
 - Ryszard Krynicki, *Niewiele więcej (wyd. II poprawione i rozszerzone) — rysunki Leszka Sobockiego*.
 - Janek Wiśniewski *padł; piosenki i wiersze z Grudnia 70*
 - Adam Zagajewski, *List; Oda do wielości — rysunki Henryka Wańka*.



SPONSORED
BY

THE
NATIONAL
ARCHIVES

RECEIVED
JAN 10 1963

W procesie rewindykowania historii najnowszej uwaga koncentruje się na wątkach niepodległościowych. Szczególne zainteresowanie towarzyszy wydarzeniom poprzedzającym odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Nic dziwnego — zgodnie z gloszoną dotąd „prawdą”, niepodległość została nam „podarowana” przez rząd bolszewicki (!). Oczywista absurdalność tej tezy kompromituje się sama, a przecież...

A przecież przed kilkoma zaledwie dniami, aktyw jednej z warszawskich organizacji partyjnych gwałtownie zaatakował telewizję polską za jednostronne przedstawienie problematyki roku 1918; nie tylko Piłsudski i Dmowski, dowodzili, działali wówczas na ziemiach polskich. Należy przyznać rację aktywistom — telewizja była jednostronna: powinna śmiało wykorzystywać źródła historyczne z epoki, dotyczące np. działalności konsekwentnej lewicy. Sądzę, że niektóre teksty Stefana Żeromskiego — choćby „Na plebanii w Wyszkowie” — mogłyby stanowić znakomity pretekst do pasjonującej dyskusji publicystycznej na temat sił działających na rzecz niepodległości.

Nikt nie może zaprzeczyć, że okoliczności zewnętrzne (w tym rewolucje w Rosji) miały wpływ na odrodzenie Polski; nikt przecież nie może też zaprzeczyć, iż, nade wszystko, okoliczności te należało umiejętnie wykorzystać (m. in. przygotować do nich społeczeństwo, rozdarłe między trzech zaborców). Zrobiła to m. in. lewica niepodległościowa — ale

ma pełnić funkcje Komitetu Centralnego ruchu). Niemniej pismo ukazywało się i oficjalnie związane było z legalnymi stowarzyszeniami samokształceniowymi młodzieży polskiej we Lwowie („Zjednoczenie”, „Wspólna nauka”, „Spójnia”, „Życie”).

Losy „Promienia” i „Promienistych” związane były z meandrami przemian doktrynalnych i politycznych polskiego ruchu socjalistycznego. Pismo, założone z inspiracji studentujących we Lwowie Królewaków (przy pomocy PPS i PPSD oraz zwolenników Szczepanowskiego), było przedmiotem rywalizacji różnorodnych orientacji i tendencji występujących w polskich partiach robotniczych. Znamienne były zwłaszcza próby, do pewnego stopnia udane, dokonywania rozłamu, podejmowane kilkakrotnie przez grupy „internacjonalne”. Generalnie, „Promień” związany był ideowo z PPS zaboru rosyjskiego, później — z PPS — Frakcją Rewolucyjną. W kwestiach „wewnątrzgalicyjskich” „Promieniscy” realizowali program Daszyńskiego z PPSD.

„Promień” odegrał wyjątkową rolę w procesie ideowej integracji i politycznej edukacji polskiej młodzieży w Galicji u schyłku epoki niewoli. Warto przypomnieć nazwiska kilku przynajmniej „Promienistych” aktywnych później w życiu publicznym. A więc — zwolennicy Piłsudskiego (A. Skwarczyński, K. Switalski), ludzie zbliżeni do Sikorskiego (M. Kukiel, St. Kot), socjaliści: J. Szczyrek, K. Pużak, T. Hartleb), komuniści (K. Radek w Rosji Radzieckiej), działacze gospodarczy (H. Gruber), przedstawiciele świata nauki i kultury (St. Baczyński, A. Próchnik). Rangę pisma wyznaczał krąg współpracowników — na łamach „Promienia” publikowali m. in. Piłsudski, Konopnicka, Orzeszkowa, Brzozowski, Sosnkowski, Jodko-Narkiewicz, Perl, Sieroszewski,

jest zajmowanie się losem warstw ludowych. Młodzież musi sobie uświadomić, że to właśnie w warstwach ludowych leży nasza największa siła, a dzień, w którym dla Polski zabłyśnie wolność, musi być i dniem wyzwolenia społecznego tychże warstw.

Uzupełniając i poprawiając naukę szkolną

„Promień” organizował akcję samokształceniową. Na łamach pisma publikowano programy samokształceniowe dotyczące historii, literatury, socjologii, ekonomii, filozofii. — Gdy szkoła jest niedostateczną a nawet szkodliwą dla naszych umysłów — rozwijajmy je sami. Stąd poparcie pisma dla wszelkich form nauczania pozaszkolnego: „Promień” propagował działalność Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza czy Wyższych Kursów Wakacyjnych w Zakopanem. Ujawniał „Promień” wszelkie akcje represyjne, zwłaszcza polityczne, w stosunku do młodzieży. Demaskował też kulisy polityki zatrudnienia nauczycieli akademickich w Galicji (ponieważ stosowano kryterium lojalności politycznej, wielu polskich uczonych wyjeżdżało za granicę).

Dużo uwagi poświęcał „Promień” polskim organizacjom i zrzeszeniom młodzieżowym w kraju i za granicą, z niektórymi z nich utrzymując ścisłe kontakty; po 1910 roku „Promieniscy” współpracowali ze Związkiem Polskiej Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej i z Filarecją.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na dokonywane na łamach „Promienia”, próby wypracowania modelu organizacji młodzieżowej, form i metod działania i egzystencji publicznej. Zastanawiając się, czy organizacje młodzieżowe mają mieć charakter „partyjny” (tzn. mają być afiliowane

ZAPOMNIANE OGNIWO

MARIAN ZACZYŃSKI

czy należy ją skazywać na nieistnienie w historycznej pamięci narodu za to tylko, że w kwestii niepodległości zajmowała inne stanowisko niż lewica konsekwentna? Ze była za mało „postępowa”?

W budowaniu dróg do niepodległości

niebagatelną rolę odegrały organizacje polskiej młodzieży. Różne były oblicza ideowe tych organizacji i zrzeszeń, różne koneksje ideologiczne i polityczne. Schyłek XIX stulecia przyniósł na ziemiach polskich wystąpienie masowych ruchów społecznych ujętych w instytucjonalne, organizacyjne ramy partii i stronnictw politycznych. Przypomnijmy, najogólniej, że ukonstytuowały się wówczas partie: narodowa (endecja), robotnicze, ludowe (chłopskie). Równocześnie powstawały zaczęły organizacje młodzieży, pozostające początkowo pod przemożnym wpływem ideologii narodowej (np. słynny „Zet”). Z czasem jednak, monopol endecji na rząd dusz młodzieży polskiej zaczął się załamywać na rzecz organizacji „postępowych”, socjalistycznych. W roku 1899, z opanowanego przez ligowców Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej za Granicą wyłamuje się Związek Postępowej Młodzieży Polskiej, z Bratniej Pomocy w Warszawie emancypuje się socjalistyczna „Spójnia”. Wreszcie, w lutym 1899 roku, we Lwowie, ukazuje się pierwszy numer miesięcznika „poświęconego sprawom młodzieży szkolnej” (jak głosił podtytuł) —

„Promień”

Wokół pisma zorganizował się ruch młodzieży szkolnej i akademickiej, robotniczej i rzemieślniczej. Z czasem cała Galicja pokryta była siecią kół „Promienistych”, a najmocniejszymi ośrodkami ruchu, obok Lwowa i Krakowa, były m. in. Tarnów (działali tu Kukiel, Radek), Tarnopol (Pużak), Przemyśl, Jasło (Wyrwa-Furgalski), Rzeszów (Lis-Kula, Kot), Sanok (Switalski), Dębica, Biała, Złoczów, Nowy Sącz, Sambor, Brzeżany, Stanisławów. Od 1904 roku ruch „Promienistych” był zakonspirowany (Komitet Redakcyjny pisma

W działalności „Promienia” wyróżnić można przynajmniej trzy duże obszary: kwestie szkolnictwa, patriotyzm, socjalizm (rozróżnienie to ma charakter oczywiście analityczny). To właśnie w „Promieniu” opublikował Józef Piłsudski słowa: — Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamienym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce. Nic przeto dziwnego, że po latach, jeden ze współzałożycieli pisma pisał: — Praca ideowa „Promienia” przeobraziła do gruntu niwę galicyjską (...) tworząc liczną kadrę entuzjastycznie nastrojonych niepodległościowców. Gdyby nie „Promień” (...) nie wiem, czy by Józef Piłsudski potrafił znaleźć w Galicji w latach 1910—1914 kilka tysięcy młodzieży do swoich zastępów strzeleckich”; z drugiej przecież strony, T. Hartleb mógł stwierdzić, że „Zjednoczenie”, Organizacja „Promienistych” były wstępami kursami do praktycznego działania w szeregach robotniczych (...), ruchu masowego, nie ograniczonego do konspiracyjnych kół. Pozostało to ślad na wielu dzisiejszych przywódcach polskiej klasy robotniczej. Tak po latach oceniano efekty aplikowania tezy Piłsudskiego, stawiającego znak równości między socjalizmem a niepodległością...

Początkowo, głównym celem „Promienia” było wypracowanie

programu ideowego

zdolnego zintegrować młodzież polską w Galicji: — Chcemy dać młodzieży szkolnej możność swobodnej wymiany poglądów oraz oddziaływać na nią pod względem umysłowym i uczuciowym. I tak też być „Promień” uzupełnieniem a nie raz poparciem nauki szkolnej. Deklarowano propagowanie współczesnej myśli społecznej, rozbudzanie uczuć narodowych ale i — zwalczanie bezmyślnego szowinizmu. Przywołując tradycje wileńskich Filaretów, podkreślano: iskra ożywiająca wszystkie nasze czyny, dążenia i uczucia, musi być myśl o odbudowaniu wolnej Polski. Równocześnie zwracano uwagę, że kształtowanie uczuć narodowych polega na wcztytywaniu się w historię polską i ciągłym wprowadzaniu tych uczuć w czyn. Takim bardzo ważnym czynem

przy partiach politycznych). „Promień” opłował za bezpartyjnością i samodzielnością. Wielką wagę przywłażywał też do kwestii: jawność czy konspiracja — wyierając konspiracyjne metody działalności, zlanano sobie przeież sprawę z faktu, że ideałem byłaby działalność jawna, jako że tam czuje się większą swobodę i że można jasno na jej podstawie otwarcie żądać wolności stowarzyszania się otwartego, że jawność organizacji będzie najlepszym protestem (...) i najlepszym świadectwem dążenia do reformy i wolności.

Dużo uwagi poświęcał „Promień” sytuacji polskiej młodzieży w Królestwie i na ziemiach odłączonych. Informował społeczeństwo o funkcjonowaniu apuchinowsko-tołstojowskiego systemu szkolnego i jego bardziej spektakularnych przejawach — przy pomocy Królewaków zamierzano sporządzić i opublikować całosłowy bilans „dokonań” Apuchina. Duża część nakładu pisma kolportowana była nielegalnie w Królestwie, na Północy, Ukrainie. Z ogromnym entuzjazmem powitał „Promień” strajk szkolny w Królestwie. Dnia 1-go lutego carska szkoła w Kopyńskowie przestała istnieć. Na jak długo, bracia nasi uwolniliscie Wasze dusze od zgnęcia się nad nimi plugawych wychowawców moskiewskich, jak długo szkoła rosyjska spełniać nie będzie swego państwowego obowiązku, jak długo dzięki Wam odważniejsza i wolniejsza myśl panować będzie w średniej naszej warstwie — nie wiemy i Wy nie wiecie! Ale czy zwycięstwo Wam pisane (...) czy jeszcze więcej zbioru na Was naślą (...) nigdy nie przestaniecie być dumą Polski (...) co żyje, walcz i odrzuć się, i nigdy z kart historii (...) czynny Wasze nie zostaną starte. Przyjmijcie od nas słowa czci. „Promień” do końca popierał ideę bojkotu szkoły rosyjskiej — było to zresztą jedynie słuszne stanowisko: carski reżim rychno miał ukazać prawdziwe oblicze państwowego porwulacyjnego liberalizmu (zlikwidowanie sieci szkół Polskiej Macierzy Szkolnej).

Z podobną pasją pisał w „Promieniu” o prześladowaniach polskiej młodzieży w zaborze pruskim, o sprawie siedleckiej (rosyjska repika Wrześni), o kwestii polskiego gimnazjum w Cieszanowie (na Śląsku Cieszyńskim, twierdzono, Polacy gnębieli są przez hakatę niemiecką i czeską).

Szkola nie daje nam nic z tego, co nam powinna dać, szkoła jest maszyną dla wypłucia z siebie troskliwie wysortowanej rzeszy kandydatów na urzędników — wołano. W związku z tym, „Promień” wysuwał program

radikalnego zreformowania szkoły

Sprawdzał się on, przede wszystkim, do następujących postulatów:

- Zniesienie przywileju w szkole.
- Zniesienie systemu politycznego w szkole.
- Zniesienie ograniczeń swobody myśli i słowa, swobody kształcenia się, swobody stowarzyszania się i zgromadzenia.

Spełnienie tych postulatów gwarantować miało realizowanie ideału wychowawczego: uobywatelnienia młodzieży.

Kategoria uobywatelnienia czyli upodmiotowienia, zajmowała szczególne miejsce w hierarchii wartości aprobowanych przez „Promień” i organizowaną działalność „Promienistych” na różnych polach: od walki o demokratyczną i polską szkołę, poprzez propagowanie działalności gospodarczej młodzieży w kooperatywach, do — patriotyzmu czynnego. Namietnie zwalczal „Promień” trójbaborową lojalność państwową Polaków i pograżanie się w haniebannej samogwałtowności, na rzecz odbudowania poczucia tożsamości narodowej. Źródła myśli politycznej szukał „Promieniscy” w dziejach porzoborowych — stąd wielki kult tradycji insurekcyjnych, kult zresztą jak najdalszy od eskapizmu i czczego świętowania. Jak najdalszy —

od biernego partycypowania w tradycji

Program filcowy „Promienia” nie był prostą repliką programu PPS. Owszem, popierał działalność polskich socjali-

CIĄG DALSZY NA STR. 13

STRAJKOWY OPŁATET

KARTKA Z NOTATNIKA

Farsy radomskiej ciąg dalszy. Zakończyła się kolejna tura rozmów na WSI. Dla nikogo już nie jest zaskoczeniem fakt, że nie przyniesia nic nowego. Ustępstwo ze strony strajkujących, cofanie się na pozycje pełnomocnika wyborczego i betonowe stanowisko drugiej strony.

Strajkowa noc zaczyna się ok. 3 nad ranem. Milkną ostatnie rozmowy. Drukuje się serwis informacyjny.

OŚWIADCZENIE KONFERENCJI REKTORÓW SZKÓŁ WYŻSZYCH

I.

1. Ogólnopolska Konferencja Rektorów Wyższych Uczelni wyraża stanowczą dezaprobatę i oburzenie z powodu sposobu w jaki przełamano strajk studentów i pracowników Wyższej Oficerskiej Szkoły Poznańskiej w Warszawie.

2. Ogólnopolska Konferencja Rektorów Wyższych Uczelni w oparciu o oświadczenie ministra spraw wewnętrznych PRL gen. dyw. z kiszczaka przyjmuje na siebie gwarancję, iż żaden ze studentów bylej WOSP w Warszawie nie będzie powołany do służby wojskowej inaczej niż w trybie wynikającym z normalnego poboru wiosennego, letniego lub jesienno w roku 1982 bądź w latach następnych.

3. Konferencja Rektorów przyjmuje do wiadomości i przekazuje środowiskom akademickim oświadczenie ministra spraw wewnętrznych, że student bylej WOSP, którzy zgłoszą się do nowo utworzonej Szkoły Głównej Służby Pożarniczej, nie będą w żaden sposób represjonowani w tej szkole z powodu udziału w strajku WOSP.

4. Do 15 lutego 1982 r. wyższe uczelnie techniczne przygotowują studia specjalistyczne w zakresie ochrony przeciwpożarowej. Lokalizacje tych studiów ustali Konferencja Rektorów szkół wyższych technicznych, a ich program — odpowiednia uczelnia.

5. Celem przygotowania studentów bylej WOSP do kontynuowania studiów typu magisterskiego w wyższych uczelniach technicznych Konferencja Rektorów zaleca w możliwie szybkim tempie, nie dłuższym niż 7 dni, utworzenia odpowiednich kursów przygotowawczych. Konferencja Rektorów uznaje, że słuchacze tych kursów zachowują status prawa studenta.

II.

1. Konferencja Rektorów uczelni polskich postanowiła prowadzenie dalszych działań medialnych zmierzających do przeprowadzenia demokratycznych wyborów akademickich w WSI Radom.

2. W przypadku nierozwiązania takiego rozwiązania do dnia 20.12. Konferencja Rektorów podejmie działania zmierzające do zapewnienia studentom WSI nauki w innych uczelniach polskich i ewentualnego stworzenia miejsc pracy dla pracowników naukowych WSI.

3. Konferencja Rektorów stwierdza, iż w przypadku nierozwiązania konfliktu w Radomiu w tym terminie, podejmie działania jako organ koordynujący działalność protestacyjną polskiej społeczności akademickiej.

4. Rektorzy podejmą ponadto w celu jak najszybszego wprowadzenia w życie postanowień projektu nowej uchwały o szkołach wyższych, a w szczególności wyborów do Rady Głównej, która z mocy tej ustawy rozstrzyga konflikty w uczelniach wyższych.

5. Do czasu powołania Rady Głównej rektorzy zgłoszą senatom swych uczelni projekt upoważnienia Konferencji do podejmowania decyzji rozstrzygających konflikty w imieniu całej społeczności akademickiej.

REKTORZY
POLSKICH WYŻSZYCH UCZELNI
POZNAN
WARSZAWA, 6. 12. 81

Dzień piętnasty — czwartek

Z uchwały KZ NZS UJ: — „widzimy potrzebę otwarcia i swobodnego dostępu studentów do laboratoriów i pracowni, w których pod kierunkiem nauczycieli studenci mogliby prowadzić badania i eksperymenty, wynikające z ich zainteresowań i indywidualnych studiów (...) prowadzenie i udział w jakichkolwiek zajęciach obowiązkowych przewidzianych programem studiów KS uważa za akcję antystrajkową i próby łamania solidarności studentów. (...) KS zwraca się o nieorganizowanie lub bojkot imprez rozrywkowych w czasie strajku na terenie uczelni, klubów lub DS-ów.

Budynek opuszczają i studenckie Grupy Operacyjne, wezwane do pomocy przez zakłady pracy. Najcięższa staje się bezczynność. Kwitnie inwencja twórcza przy produkcji plakatów. Tematyka dowolna. Największą popularnością cieszy się portretowanie gwiazdy polskiej telewizji Ireny Falskiej. Trwa konkurs na człowieka roku — idą w górę akcje pułkownika Hebdy. A w Radomiu — nowość! Hebdyści żądają publiczniego cofnięcia zarzutów wobec Hebdy! Coraz więcej istotnych rzeczy zaczyna się dzieć poza Radem. W Poznaniu na UAM powstaje idea powołania zebrania ogólnego rektorów pod nazwą Rada Rektorów Polskich Szkół Wyższych o uprawnieniach czelnego organu szkolnictwa wyższego w Polsce do czasu uchwalenia i wejścia w życie odpowiednich aktów prawnych.

Dzień szesnasty — piątek

— Słuchajcie, a co właściwie ten NZS robi? Dlaczego nic nie organizuje? Na co dzień w ogóle go nie widać! Te sakramentalne pytania pojawiają się coraz rzadziej. Mentalność członka jakiegokolwiek organizacji wykształcona przez rzeczywistość przedsierniową — ograniczająca się do prawa do roszczenia legitymacji w słusznym kolorze i obowiązku płacenia składek — ulega zmianie.

— Tylko od Ciebie zależy, czy coś się będzie działo w NZS-ie po strajku.

39 dzień maratonu na WSI. Marian Jurczyk na wiecu studentów Radomia: — Klasa robotnicza nie pozwoli, by jej młodzież, która w przyszłości będzie rządzić krajem, była wychowywana w okaleczonym ideowo szkolnictwie i w znacznym ograniczeniu swobód demokratycznych.

Dzień siedemnasty — sobota

Wrocław: Strajkujący studenci Uniwersytetu Wrocławskiego rozpoczęli akcję „Kwiaty dla milicjantów”. Studenci rozdają kwiaty patrolom mundurowym na ulicach miasta. Kwiaty są zakupione z dobrowolnych datków strajkujących. Akcja ma na celu zmianę nastawienia MO do społeczeństwa i odwrotnie. Proponujemy innym uczelniom w kraju włączenie się do akcji. A z Radomia niespodziewanie powiła optymizm. Strony zaakceptowały propozycję grupy mediatorów jako punkt wyjścia do ostatecznego tekstu porozumienia. Mediatorzy wyrażają przekonanie, że konflikt zostanie rozwiązany w najbliższym czasie.

To już drugi dzień strajku uczelnianej „Solidarności”. Niespodziewanie w czasie wieczornego spotkania ze studentami rozpoczyna się gwałtowna dyskusja na temat dalszych losów strajku. „Solidarność” chemików proponuje zmianę formy strajku i napotyka na zdecydowany opór studentów. Finał nieoczekiwany. W kulminacyjnym momencie sporu nadchodzi telex z Opola i zostaje odczytany. Ogólne oburzenie wywołuje następujący fragment: Reagując na atak MO i SB grupa plakatująca złapała się za tęcie i zaczęła śpiewać hymn narodowy. W tym momencie MO i SB użyczo garów (zawziętych odłączając od grupy Józefa Bocznara i Piotra Nowackiego, pracowników ZR Śląska Dąbrowskiego, których bestialsko bijąc wrzucano do milicyjnych samochodów. Podobnie postąpiono ze studentami i studentkami. Przechodząca obok młoda kobieta z dzieckiem na ręku krzyknęła: — Co robicie? — na co jeden z milicjantów wyrwał jej dziecko, a drugi już wrzucił do samochodu.

Nie było już mowy o zmianie formy strajku.

Niedziela — 8 grudnia

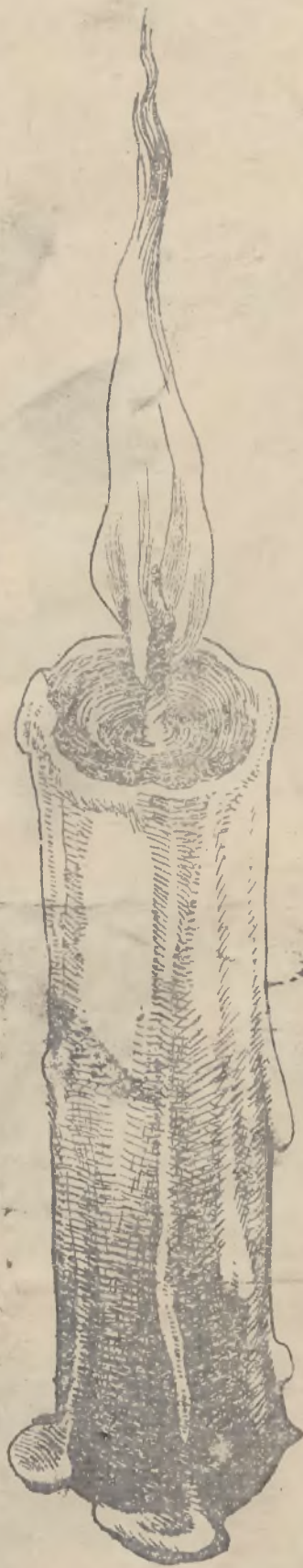
Spotkanie ze studentem WOSP. Padają szczegóły akcji pacyfikacyjnej. Rezygnacja w głosie „kombatanta”: — Mamy tylko dwa wyjścia. Wrócić do paramilitarnej szkoły, albo iść do wojska.

— A inicjatywy rektorów?

— Żaden rektor w konkretnych rozmowach nie był w stanie nam zagwarantować bezpieczeństwa. Ja chcę być inżynierem pożarnictwa. Wiele z nas było na utrzymaniu tej szkoły. Wiele z nas tam wróci.

Kolejny impas w rozmowach na WSI dobija ostatnich optymistów. Ostatnie wiadomości dementują jakąkolwiek możliwość porozumienia. — Drugi strona uznaje legitymność wyboru prof. Hebdy na rektora i to sta-

ZAPOMNIANE OGNIWO



stów w Królestwie (transport broni i bibuły, czynny udział w „polskiej rewolucji” — za kordon wyjechali m. in. Pużak, Kukiel, Baczyński), przedzie jednak daje się zauważyć w działalności programowej „Promienia” pewien specyficzny nurt. Otóż „Promieniści” nie uznawali kategorii Ortodoksji i Herezji ideologicznej. Przygotowując młodzież do czynnej walki o niepodległość „Ludowej „Polski”, przygotowywali ją równocześnie do demokracji; zwalczając nacjonalizm uczyli życie we wspólnocie z innymi. Na mozaikę budowaną przez „Promień” ideał „socjalizmu polskiego” składały się, w większej mierze niż np. „walka klas”, takie kategorie, jak praworządność, tolerancja, tradycja kultury zachodnioeuropejskiej i wartości ogólnoludzkie. To właśnie ten swoisty pluralizm sprawił, że możliwe stało się bezkonfliktowe rozwiązanie aporii ciężkiej nad polskim myśleniem politycznym w tych czasach, a sprowadzającej się do dylematu. „Polska, ale jaka?”. Rozwiązanie tej aporii związane było z harmonijnym ewoluowaniem od „socjalizmu etycznego” (życie nasze o tyle ma sens, o ile poświęcamy go dla innych) do „socjalizmu polskiego” (emancypacja obywatelska i polityczna rzesz pracujących, które wezmą na siebie ciężar walki o odzyskanie niepodległości).

Nie brakowało oczywiście złudzeń, porażek, rozczarowań. Na wieść o wybuchu rewolucji 1905 r. tymczasem pisano, że Rosja jako państwo absolutne przestała istnieć, pisano o rewolucji zwycięskiej. Niestety — niedługo już musiano przyznać, że pozostały jedynie wspomnienia rewolucji, że tragiczne martyrologium polskiego narodu wzbogaciło się o nowe ofiary.

Rewolucja nie była przecież bezowocna. Pozostawiła po sobie

ideologię czynu

W wiecznej pamięci pozostali bohaterowie „przełomowej rewolucji” — Montwiłł-Mirecki, Baron, Okrzeja, Dzierżycki, Szujka, Kopis, Chejko. Ich ofiara sprawiła, że nastąpiło skrytalizowanie się nowego zestroju idei, narodził się światopogląd swobody ducha jako najgłębszej wartości nowoczesnego życia. Potwierdziły się przewidywania, że zorganizowany proletariatus skutecznie może aspirować do odegrania dającej rolę, że zdolny jest podjąć trud czynu wyzwoleniowego. Zabór rosyjski — wielkie pobożowisko, zaległy cisza cmentarna. Nie na długo przecież.

Kontynuacja tego, co zaczęło się na Placu Grzybowskim w Warszawie w listopadzie 1904 roku, była działalność Związku Walki Czynnej i Związków Strzeleckich w Galicji po roku 1908. „Promieniści” brali udział w pracach ZWC; w Związku Strzeleckim tworzyli sekcje Wolnych Strzelców. W uchwale XI Zjazdu organizacji podkreślano, że „podjęcie „Promienia” (...) uważa prowadzenie robót militarnych w społeczeństwie polskim za konieczne, wychodząc z tego założenia, że tworzą one pogotowie bojowe, które w chwili decydującej, oddawszy się na usługi rewolucyjnego proletariatu zdola zrealizować jego hasło: wolnej, niepodległej Polski Ludowej.

„Martyrysta polskiej świadomości”, przekonanie, że Polacy są zdolni do „stwarzania historii” zaowocować miało na polach bitewnych Wielkiej Wojny, w powstaniach śląskich i wielkopolskich, w wojnie obronnej 1920 roku. Społeczeństwo polskie przygotowane już było do zadecydowania woli życia w suwerennym państwie. Sierpień 1914 roku zamierzał się w listopad roku 1918. Wkład zapomnianego dziś „Promienia” w dzieło wielkiej narodowej mobilizacji jest trudny do przecenienia. Tym bardziej, że w dużej mierze przyczynił się i do tego, iż Rzeczpospolita Polska nader sprawnie zaczęła funkcjonować, po stułeciu ponad niewoli, jako suwerenne państwo.

nowisko determinuje odpowiedź na wszelkie nasze próby zbliżenia stanowisk. Mediatorzy uznali, że ich rola się skończyła.

W tej sytuacji zaskakuje wszystkich apel Konferencji Rektorów o zaprzestanie strajków. O 16. ma się odbyć posiedzenie KKK NZS i UKS-ów w tej sprawie. Równie napięcie. Równie także lista kandydatów na strajkową wieczerną wigilię. Determinacja. Gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Chyba że się nie zna alfabetu...

Dzień dziewiętnasty.

Apel KKK NZS i konferencji UKS o zawieszenie strajków. — „Za niezaprzeczalne osiągnięcie obecnej akcji strajkowej uważamy spowodowanie wpłynięcia do Sejmu ustawy o szkolnictwie wyższym, czego od roku domagała się społeczność akademicka. W związku z powyższym wzywamy do uznania autorytetu i gwarancji konferencji rektorów i apelujemy o zawieszenie strajku okupacyjnego od 8.12. oraz podjęcie zajęć dydaktycznych przy utrzymaniu gotowości strajkowej do czasu pozytywnego rozstrzygnięcia konfliktu na WSI.

Natychmiastowa reakcja KS NZS UJ oddaje nastroje panujące po ogłoszeniu komunikatu KKK. — „KS na posiedzeniu w dniu 7.12. w głosowaniu jawnym zdecydował się odrzucić apel KKK NZS o zawieszenie strajku okupacyjnego. Uważamy, że decyzja KKK podjęta pod presją Konferencji Rektorów jest błędna merytorycznie i spowoduje szereg negatywnych konsekwencji o trudnej do przewidzenia wadze i zasięgu. Nie kwestionujemy autorytetu Konferencji Rektorów, lecz uważamy, że nie posiada ona realnych możliwości rozwiązania konfliktu władzy i środowiska akademickiego w sposób satysfakcjonujący naszą stronę.

Nastroje fatalne. Napływają wiadomości z innych uczelni. Podobne stanowisko zajmują KS AGH i AR. O 20.00 w auli Coll. Novum odbywa się posiedzenie MKS NZS. Kraków będzie strajkował dalej!

Na wiecu odczytane zostaje oficjalne stanowisko MKS i echa apelu KKK w kraju. Poznań, Rzeszów, Białystok, Szczecin, Gdańsk.

Kolejno UKS-y ogłaszają gotowość kontynuowania strajku. Rozpoczyna się dyskusja nad aktualną sytuacją. Rozbicie środowiska staje się taktem. Głos zabierają przedstawiciele uczelnianej „Solidarności”. Padają argumenty negujące sens dalszego strajku: Teraz społeczeństwo ma inne cele. Ludzie nie mają co jeść! Nie ma się co ludzi, nikt nie będzie nas popierał. Będziemy strajkować do wyczerpania!

Ale nastroje społeczne przecie nam sprzyjają. Jeden ze studentów mówi o atmosferze panującej na wiecach w zakładach pracy. O prawdziwym entuzjzmie i bynajmniej nie głośliwym poparciu. O niedosłownym strajku MPK i pogotwiu strajkowym w HiL. — Jak będziemy wyglądać wobec tych ludzi przerywając walkę bez uzyskania jakichkolwiek efektów?

Kolejny argument przeciw. — Dalszy strajk jest na ręce ministerstwu. Grozi nam przesunięcie semestru jesienno na wiosnę, co równa się niewypuszczeniu absolwentów i zrezygnowaniu z naboru kandydatów w przyszłym roku.

— Ale są przecież inne możliwości odrobienia zaległości.

— Jakie gwarancje na rozwiązanie konfliktu może dać Konferencja Rektorów, jeżeli przez miesiąc nie potrafiła rozwiązać sprawy prowincjonalnej uczelni?

— Po jaką broni będziemy mogli sięgnąć kiedyś, jeżeli ta, najcięższa, nie przyniesie żadnych rezultatów?

— Co wreszcie zrobić z katem moralnym po opuszczeniu w obecnej sytuacji „murów uczelni”? Przecież nikt nie ma wątpliwości co do zerowych wyników strajku.

Padła propozycja, aby kontynuować wysiłki z obu stron, bo tylko wspólna walka może przynieść efekt. Tylko działania rektorów połączone ze zdecydowaną postawą studentów dają gwarancję przyszłego powodzenia. Ten głos jednocy wszystkich na sali. Konczy się najcięższy, dziewiętnasty dzień strajku studenckiego na Uniwersytecie Jagiellońskim.

listy

Szanowna Redakcjo!

Po przeczytaniu rozmowy Edwarda Mi-szczaka z prof. Henrykiem Wereszyckim (nr 24/81) „Studenta” pt. „Miał jedną ideę powstańczą”, poświęconej osobie Marszałka Józefa Piłsudskiego, pragnę ex post zadać panu profesorowi kilka pytań uzupełniających, by nie zostało uronione z charakterystyki postaci Komendanta.

1. Kwestia zdolności fascynowania ludzi. Profesor mówi na ten temat: — *Dopiero tych śniących o Polsce młodzie-ków potrafił fascynować. Zyskał sobie z nich zwolenników oddanych na śmierć i życie...* Czyżby na zawsze? To w takim razie, czym wytłumaczyć opozycję w stosunku do polityki J. Piłsudskiego takich legionistów kadrowych i Brygady jak: kapitan Władysław Broniewski, jak major Andrzej Strug, jak Bolesław Drobosz, jak Marian Buczek, jak porucznicy Walerzy Bagiński i Wieczorkiewicz, jak oficera adiutantury Komendanta pika Januarego Grzędzińskiego, jak wreszcie marszałka Ignacego Daszyńskiego, senatora Bogusławskiego i posłanki Fieszarowej, Haliny Kraheńskiej i tysięcy innych byłych piłsudczyków? Dlaczego zerwał z legendą Piłsudskiego akademik Wincenty Rzy-mowski?

2. „Sprawy bardzo ciemne”, to według emerytowanego profesora uwiecznienie przy-wódców opozycji w Brześciu. Czyżby? Wszak na procesie tych przywódców (W. Witos, N. Barlicki, St. Dubois, H. Lieber-man, Popiel, W. Korfanty i inni) wyjaś-niono tę „ciemną” sprawę. Zapytuję, kto kazał w twierdzy brzeskiej płk. Kostkowi-Biernackiemu („Diabeł”) maltretować ka-walera Orderu Białego Orła, premiera Wincentego Witosa, przywódcę chłopów polskich? Kto oplugał własnego obrońcę z procesu legistów w Marmarosz-Sziged, posła i adwokata Hermana Lie-bermana i kto dał swoje licet na znęca-nie się i terrorizowanie tychże i innych więźniów legalnej opozycji? Czyż nie „socjalista” — Józef Piłsudski?!... A sprawa generała Zagórskiego, a zamordowanie polskich członków Radzieckiego Czerwo-nego Krzyża? A skazanie oficerów Bagiń-skiego i Wieczorkiewicza i zamordowanie ich na granicy przez policjanta Muraszkę, pracownika II Oddziału Sztabu General-nego? A nacięcie oficerów na Sejm? A znieważenie marszałka Sejmu Ignacego Da-szyńskiego, premiera pierwszego rządu II Rzeczypospolitej — kogo to obarcza?! To już nie jest enigmatyczna „Ciemna sprawa” a raczej ohydła!

3. „W zgodzie z interesami narodu i państwa”. Na zakończenie profesor twierdzi, że (Piłsudski): *prowadził politykę tak, jak uważał za zgodną z interesami narodu i państwa. Rzecz wysoce dyskusyjna. Chyba, że za „naród” będzie się uważać kontrahentów Marszałka Piłsud-skiego z Nieświeża (Radziwiłł et cons.) żu-brow wileńskich (Mejsztowicz, Mackie-wicz), członków skrytobojczych mafii (Bek, Miedziński et tutti quanti), przyjaciele oprawców hitlerowskich generała policji Zamorskiego oraz katów obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej i pacyfika-torów chłopów małopolskich bez względu na wyznanie...* Tak jest, działał zgodnie z „interesami” tych grabarzy II Rzeczypos-politej. A jeśli chodzi o interesy zmartwy-chwstałego państwa, to polityka federa-cyjna J. Piłsudskiego i innych zwolenni-ków rewindykacji majątków obszarni-czych na Ukrainie, Białorusi i Litwie roz-brajała politycznie państwo polskie, odda-ła je na łup anglo-sasko-niemieckiego kapitału, pokłóciła je z wszelkimi możli-wymi realnymi sojusznikami z Zachodu i Wschodu. Konsekwencje tej polityki są powszechnie znane w Polsce i na emi-gracji.

Wreszcie pan profesor pozwala sobie na skwalunkowanie bandyckiego zbombardo-wania przez prusaków Kalisza, jako *głu-pie wyczyny lokalnych dowódców nie-mieckich*. Tu już pan profesor przebrał miarę...

Szanowna Redakcjo, w myśl zasady *audeatur et altera pars*, proszę o opubi-likowanie powyższych uwag w poczytnym „Studentcie”.

Z poważaniem

ALEKSANDER

J. CZERWOŃSKI

Warszawa

Szanowna Redakcjo!

Po zapoznaniu się z uprzejmie mi przy-słanym listem p. Czerwońskiego pragnę wyjaśnić, że między mną a Nim powstało pewne nieporozumienie słowne. „Ciemna sprawa” użyłem w znaczeniu nie „niejas-na”, ale negatywna. Wszystko co pisze p. Czerwoński jest merytorycznie prawdziwe i słuszne. Ale ani Lieberman, ani Strug-Galecki nie byli młodzikami z ZWC, po-dobnie inni Ci młodzi zaś oficerowie, któ-rych wymieniał p. Cz. to byli komuniści, więc eo ipso odeszli od wpływu Piłsud-skiego. Zgadzałem się z tym co p. Cz. określa jako zgubne dla Polski, ale cho-ciaż to na pewno obarcza Piłsudskiego, to bynajmniej nie zmienia mojego przekona-nia, że Piłsudski pragnął dobra narodu i państwa, ale właśnie tak jak to rozumiał. To też określiłem jego postawę polityczną po zamachu majowym jako „zdegenero-waną”, co chyba jest dostatecznie jasne. Jeśli idzie o moje poglądy na tę politykę.

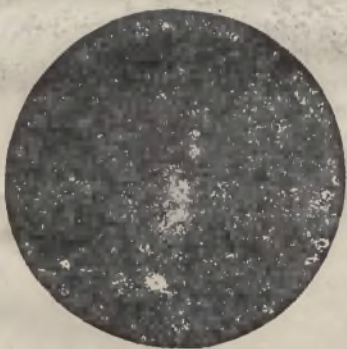
Oczywiście nie mam nic przeciw opub-likowaniu listu p. Czerwońskiego, bo przy-pomniał sprawy i mnie dobrze znane.

Oczywiście skoro teraz tak żywy staje się kult Piłsudskiego, to dobrze, że przy-pomni się i te „ciemne”, jak się wyrazi-łem, strony jego działania.

Pomimo wszystko jednak jestem zado-wolony, że można pisać w duchu kultu Piłsudskiego niż jak do niedawna kultu Dzierżyńskiego, czy Stalina lub nawet Bieruta.

Z poważaniem

HENRYK WERESZYCKI



Szanowna Redakcjo!

W 25 numerze Waszego pisma ukazał się list Artura Kotasia dotyczący spraw związanych z jego działalnością jako przewodniczącego Zarządu Uczelnianego Niezależnego Zrzeszenia Studentów Wyż-szej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie.

W swoim liście autor powołując się na anonim posługuje się półprawdowymi i nieprawdziwymi informacjami lub wręcz insynuacjami, finalizując rozgrywki perso-nalne, które zapoczątkował w okresie piastowania funkcji Przewodniczącego na-szej organizacji. Cała sprawa według nas rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Pierwsza to rozgrywki personalne prowa-dzone poprzez porównanie ludzi poza ich plecami, co znalazło swój epilog w decy-zji Komisji Rewizyjnej NZS WSP zawie-szającej A. Kotasia w czynnościach Prze-wodniczącego NZS WSP. Druga to budo-wanie swego autorytetu przez relacjono-wanie faktów związanych ze swoją osobą w sposób daleko odbiegający od prawdy. Przykładem jest ta bardzo przykra dla nas sprawa z medalikiem, który A. Kotaś — jak stwierdził jednoznacznie w gronie kilku osób — otrzymał dla NZS-u od Kar-dynała Macharskiego. W późniejszym okresie sprawa ta okazała się nieprawdą.

Redakcja w swoim komentarzu do listu pisze m. in. „Zdecydowaliśmy się na druk listu Artura Kotasia, ponieważ zgadzamy się z nim, że jest to jedyny sposób obro-ny brutalnie rozrabianego człowieka”. Uważamy, że twierdzenie iż „człowiek jest brutalnie rozrabiany” po zapoznaniu się z wypowiedziami tylko tego człowieka ma niewiele wspólnego z etyką dzienni-karską. Nam laikom wydawało się, że każda szanująca się redakcja przed za-mieszczeniem tego typu listu zawierają-cego również ataki personalne postarałaby się o poznanie opinii zarówno osób wymie-nionych z imienia i nazwiska, jak i opi-nii całego Zarządu Uczelnianego NZS na temat faktów tam zawartych.

W IMIENIU ZARZĄDU
UCZELNIANEGO NZS WSP
RZECZNIK PRASOWY
IRENEUSZ KUTRZUBA

D REDAKCJI: Publikowany tekst A. Ko-tasia zawierał nazwisko osoby, która była jego informatorem, nazwisko to było więc redakcji znane. Jednakże w ostatniej chwili przed drukiem, wobec pisemnego oświadczenia tej osoby zawierającego wy-raźne żądanie anonimowości, zdecydowa-liśmy się nazwisko to usunąć.

„STUDENT”

MAŁE SPÓŁDZIELNIE MIESZKANIOWE

W związku z dość licznymi listami i te-lefonami po moim „sygnałowym” artyku-le” pt. „Nasze pokolenie wyskakuje z pla-nu”, dorzucam garść informacji ogólnych i technicznych.

Ruch wokół małych spółdzielni mieszka-niowych trwa nadal (chodzi o budowanie domków jednorodzinnych). Centralny Związek Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego udzielił już kilkudziesię-ciu zezwoleń na założenie spółdzielni w ca-łym kraju. Bez większych trudności pow-stają w mniejszych miejscowościach (mniej kłopotów z lokalizacją). Wszędzie przełamują pierwsze lody wśród nie zawsze wiedzących, co z tym fantem zrobić, urzędników. Niemniej, trzymajmy się!

A teraz dwie uwagi techniczne. Wszel-kich informacji fachowych związanych z procedurą zakładania spółdzielni, przy-jmowania statutu itp. udzielają Wojewódz-kie Związki Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego, one też wydają opinię o celowości powstania spółdzielni potrzebna do przedłożenia w CZSBM, aby stamtąd z kolei wziąć podobne zaświadczenie nie-zbędne dla przedstawienia w sądzie rejo-nowym, gdzie spółdzielnia jest rejestrowa-na. I — może już wiecie — bardzo ważna sprawa: 9 października CZSBM wprowa-dził poprawki do ustawy 22 (tej o możli-wości powstawania małych spółdzielni), na mocy których nie jest konieczne posiadanie lokalizacji, by spółdzielnia mo-gła się zarejestrować, czyli posiadać moc prawną, co oczywiście znacząco ułatwia zakup materiałów budowlanych i przygo-towywanie się do budowy. No, to zaczniemy z wiosną budować, a teraz załatwiać, za-latwiać, załatwiać. Pamiętajmy o jednym — nie załamywać się, nie klócić, kiedy droga do własnego domku odległa.

Będę wdzięczny, jeśli członkowie pow-stających małych spółdzielni napiszą do „Studenta”, jak idzie praca. Do tematu wrócę.

LESZEK WOŁOSIUK

KONKURS NA ESEJ

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Ra-da Naczelna SZSP i Zespół „Integracje” ogłaszają konkurs otwarty na esaj i szkice krytycznoliterackie.

Konkurs ma charakter otwarty i skiero-wany jest przede wszystkim do krytyków literackich i krytyków sztuki młodszego pokolenia.

Preferowane będą prace podejmujące problematykę młodych środowisk artysty-cznych, problemy młodej sztuki i jej związków z przestrzenią społeczno-kultu-ralną. W grę wchodzi zarówno opracowa-nia syntetyczne, dotyczące wybranych problemów i zagadnień, jak i prace doty-czące jednego autora bądź — w szczegól-nych przypadkach — jednego dzieła.

Prace zostaną ocenione przez jury zło-żone z wybitnych krytyków oraz przed-stawicieli organizatorów. Teksty, uprzed-mio nie publikowane, w objętości do 20 stron znormalizowanego maszynopisu, opatrzone godłem (w osobnej kopercie na-

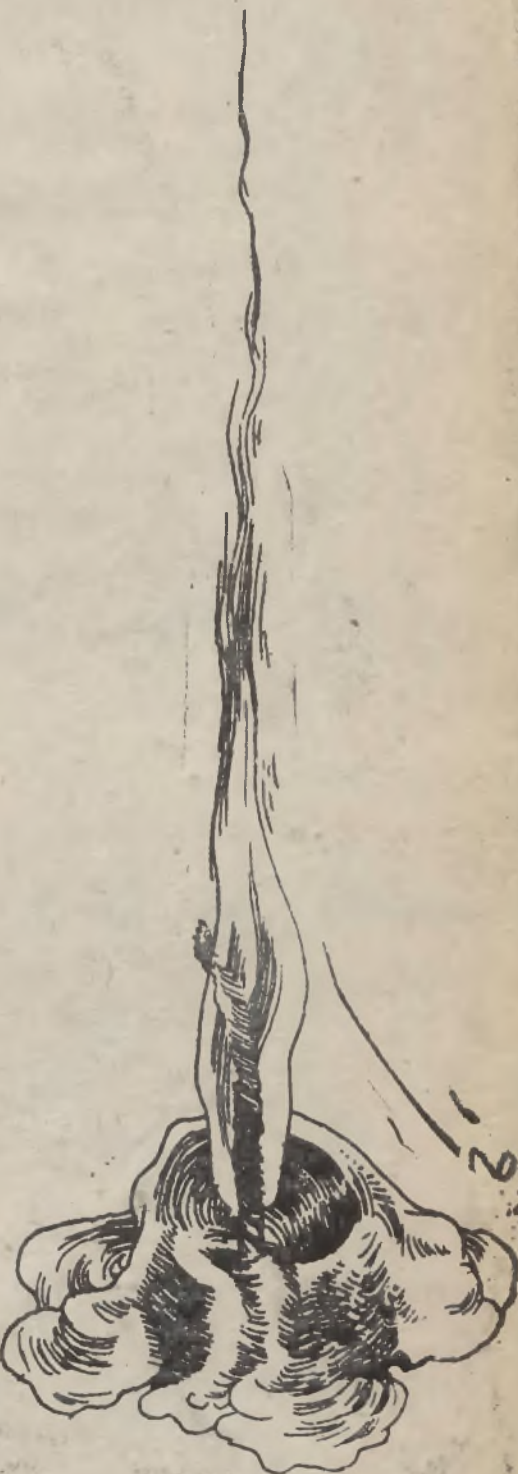
leży podać nazwisko i adres autora) nale-ży przesłać do 31.I.1982 r. na adres: Re-dakcja Młodego Ruchu Artystycznego „In-tegracje”, Młodzieżowa Agencja Wydaw-nicza, ul. Konopnickiej 6, 00-491 Warsza-wa.

Przewiduje się następujące nagrody i wyróżnienia.

I nagroda — 10 tys. zł., — dwie II na-grody — po 7 tys. zł., — dwie III nagrody — po 5 tys. zł., — trzy wyróżnienia — po 2 tys. zł., —

Jury ma prawo innego podziału fundu-szu nagród, bądź nieprzyznania którejś z nich.

Nagrodzone i wyróżnione prace opubliko-wane zostaną w „Integracjach” i ewen-tualnie w oddzielnej edycji książkowej.



STUDENT. Pismo Społeczno-Kulturalne Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Redaguje Kolegium: WOJCIECH BOREK (dział społeczny), WALDEMAR JANDA (redaktor naczelny), WACŁAW KRUPIŃSKI (p.o. sekretarza redakcji), JERZY ŁATKA, BRONISŁAW MAJ (dział kultury), JAN OCHALSKI (redaktor graf.-techniczny), JERZY PILCH, JAN POPRAWA, MAREK SIWIEC, MARIAN STALA, MAREK STRZALA, ARTUR TAJBER (redaktor graficzny), JANUSZ ZARĘBA (z o.o. redaktora naczelnego, dział nauki) — wraz z zespołem. Adres redakcji: 31-008 Kraków, Rynek Gł. 25. III p., tel. Prasa PL 032-24-92, Sekretariat czynny od 9.00 do 16.00 — tel. 22-56-82, 22-75-88, w. 141, tel. zast. red. ucz. — 22-41-39, 22-75-88 w. 142, sekr. red. 22-75-88 w. 143. Telefon działów: 22-87-16. Oddz. Gdańsk — 30-830 Gdańsk, Długi Targ 11, tel. 31-40-51, Oddział Katowice — 40-078 Katowice, Plac Wolności 12A (SEKT „Puls”), tel. 59-82-49. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca oraz zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A, tel. Dyrektor: 28-09-73. Dział Wydawniczy: 29-35-52, 29-56-19. Administracja: Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch” 31-007 Kraków, ul. Wiślna 2.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty w kraju i za granicą udzielają Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch” oraz urzędy pocztowe. Nr indeksu 37636. Drukują: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch” Kraków, ul. Wielopole 1. F-9

WOJCIECH BOREK

„Cóż to jest publicystyka? otwieranie sytuacji, przebijanie jej nowych granic, rozwijanie, ukazywanie perspektyw. Tymczasem robi się wszystko, żeby tę tak zwaną sytuację w naszym kraju ograniczyć, zamknąć w pewnych ramach. Wszyscy tylko trzęsą się ze strachu, żeby sytuacja nie rozwinęła się zbyt szybko i zbyt zdecydowanie. Co tu niby ma publicysta do roboty? Pokrzykiwać cagle jak to wszyscy robią: rozważ, spokoju, realizmu, rozważ, poczucia rzeczywistości!”

Cała trudność polega nie na braku odwagi w piszących, lecz na skrupowaniu obowiązującym wszystkich stylem. Jest on uboższymi ni mniej ni więcej tylko z kulturą polityczną. Tak więc kultura polityczna polega u nas na cenzurowaniu śmiałych koncepcji, zbyt daleko idących sformułowań, ostrych sądów, a nawet konkretnych określeń i słów — wszystko na poziomie języka polityki. Natomiast ta sama kultura przymyka wstydliwie oczy na to, co się r o b i i na nieuczciwe chwyt, manipulacje, kopanie dółków i podstawione nogi. Można załatwić przeciwnika, czy jakiś swój brudny interes — byle przy użyciu ogólnych słów, bez krzyku i w rekawiczkach. Sprzyja temu znakomicie o wiele jeszcze za daleko posunięta tajność życia politycznego.

Przyznam się szczerze, że takie pojmowanie kultury politycznej uważam za groźną anomalię. Zło, które niosą ostre słowa i bezkompromisowe sformułowania czy cięte i krzykliwe hasła, wydaje mi się o wiele mniejsze od zła brudnych czynów. Tymczasem nasza wrażliwość na słowa okazuje się znacznie większa od wrażliwości na czyny, co jest — by użyć terminologii K. Brandysa — reflekssem polskiej rzeczywistości. Ostatnio przykład tej pierwszej wrażliwości dała ciesząca się — i zasłużonym — autorytetem „Gazeta

Wielkość tych plakatów to kalambrzy, mniej czy bardziej zgrabne parafrazy znanych hasel. Większość zrodziła się w środowisku strajkujących (bo nie mających wystarczającego impulsu do przerwania strajku) studentów. Oprócz paru obraźliwych i budzących niesmak, większość hasel nie nadaje się do polemiki serio — są wyrazem strajkowego folkloru, należącego bardziej do dziedziny sztuki (ściślej: satyry), niż polityki. Inne, jak choćby te żądające uspołecznienia telewizji, są po prostu jednoznacznie słuszne.

Padają zarzuty, że akcja plakato-
wa podgrzewa niezdrowe emocje w
społeczeństwie, że sprzyja eskalacji
napiecia. Może to i prawda. Znając
jednak środowisko studenckie śmiem
twierdzić, że jest to raczej wentyl,
przez który ulatniają się nagroma-
dzone emocje. I bardzo dobrze. Le-
piej, by zmateriałyzowały się one w
formie hasel, rysunków, wierszyków,
niż barykad na ulicach.

**Powie ktoś, że od słów do czynów
krok niewielki, że słowa mogą stać**

się zaczynam nieodpowiedzialnego i zębego dzialania. To prawda. Jednak jak dotychczas cierpieliśmy z braku słów przystających do rzeczywistości. Najpierw trzeba osiągnąć stan no malności, by potem wprowadzać racjonalne ograniczenia. Nie można odbierać głosu potencjalnym awanturnikom przez odbieranie głosu całemu społeczeństwu. To jest prawda zdawaby się oczywista, a jednak jakże trudno wprowadzić ją w życie! Nie tylko dlatego, że na przeszkodzie stoi kilku panów kontrolujących telewizję. Przyczyny są głębsze. Wydaje się, że w świadomości społecznej od lat głęboko zakodowana jest obawa przed słowami, przed ich magiczną siłą. Przecież jeszcze dzisiaj wydaje nam się czymś normalnym wielka kampania polemiczna wywołana jednym artykułem opublikowanym za granicą, czy wręcz jednym stwierdzeniem. Jednak społeczeństwo odrzuca dziś dawny styl komunikowania się jak wąż który zmienia skórę. „Wojna plakatowa” jest fragmentem tego trudnego procesu.

PS. Studentom NSZ AGH w Krakowie pragnę tonem karcącym i pryncypialnym zwrócić uwagę, że naruszyli prawa autorskie OFF-GUT-u do hasła: „Czy zakaz zromadzeń obejmie również kolejki?” Ze swej strony NOSIT OFF-GUT kategorycznie zaprzecza, jakoby zmienił nazwę na NSZ AGH.

W.B.

SCIEGIENNY KALENDARZ
FIRMOWY NA ROK 1982 NIE
ISTNIEJĄCEGO OGÓLNO-
ŚWIĄTOWEGO SEMINARIUM
INTELIGENCJI TWÓRCZEJ
OFF-GUT.
KAZDE DODATKOWE POL.
PRZEDZIAŁOWEGO CUKRU KOLEJ-
NYM CIOSEM ZADANYM IMPERIALIZ-
MOWI AMERYKANSKIEMU!
NAGRODY I OZNACZENIA ZA
ROK 1981 NOSIŁ OFF-GUT

MYŚLI CZŁOWIEKA KOWALCZYKA
I coś z tego, że król nagi, skoro jego pod-
dani ubrani?

Najdoskonalszy produkt epoki — knebel, z którego ciągnie się soki.

Nade chwilej na równowagę — przy spo-
tkaniu na najwyższym szczeblu.

Raz pewien Turk z Medyny

Po czym podbił oko dziewczyny.

10

Tam, gdzie było słowo „Sprawa”, niewykluźone, że chodzi o proces.

Kajdany' laezai

Z strachu ział się. Z tłem.

Siedem dni trwało stworzenie świata. Z
jego końcem powinno nam pójść o wiele
szybciej.

ZYSKIEWICZ'S LIMERICKS:

Lecz powiedział mi Budda:
to się nigdy nie uddā.

Raz u pewnym kraju lud

było po rewolucji,
aże żaden nie stał się ciu!

KRONIKI CESARSKIE

Byłem zdumiony, że człowiek o takiej powierzchowności i manierach, nie mogący się pochławić ani pochodzeniem, ani sławą wojenną, ani nawet bogactwem, posiadał w sobie taką wielką siłę. Był najzwyklejszą figurą po Uralskiej i cieszył się ogromną popularnością wśród gwardii. Filizionia jego nie budziła najmniejszego zainteresowania; malował się na niechętne okrucieństwo. Rysy miał porażająco nieregularne, w jedną całość łączący się tylko wyraz zwycięskiej zaciętości i odważnej, jęstrzej wydawało mi się, że, jak słyszałem o wędzi jego rywalizacji całej szereg kobiet z kowalstwami.

Ja, Klaudiusz

WIEKSZ Z OKIENKA:

Dzień Górnika

**Samoznamię klucze między miłośnikami
ziarna nadziei spada
na odcisk Talmudu
Gdzieś na północy płonący aksjomat**

Mierzą zarostnych pogorzelisk
odchodzą w międzyczas globalne
pieniężne przysady ludzkości
Kolejno usychają galaktyki

04. 12. 1981 F.



PLAKAT
DO ZYWIENIA

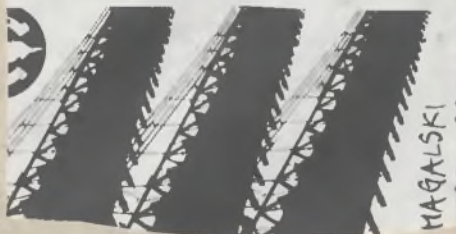


Wieloletnie doświadczenia
w pracy w przemyśle
i rolnictwie
dają nam
nieocenioną
świadomość
wartości
pracy
i odpowiedzialności
za społeczeństwo
i państwo.

jesteś żywioł

janusz koryl

dyktando



HABALSKI